



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

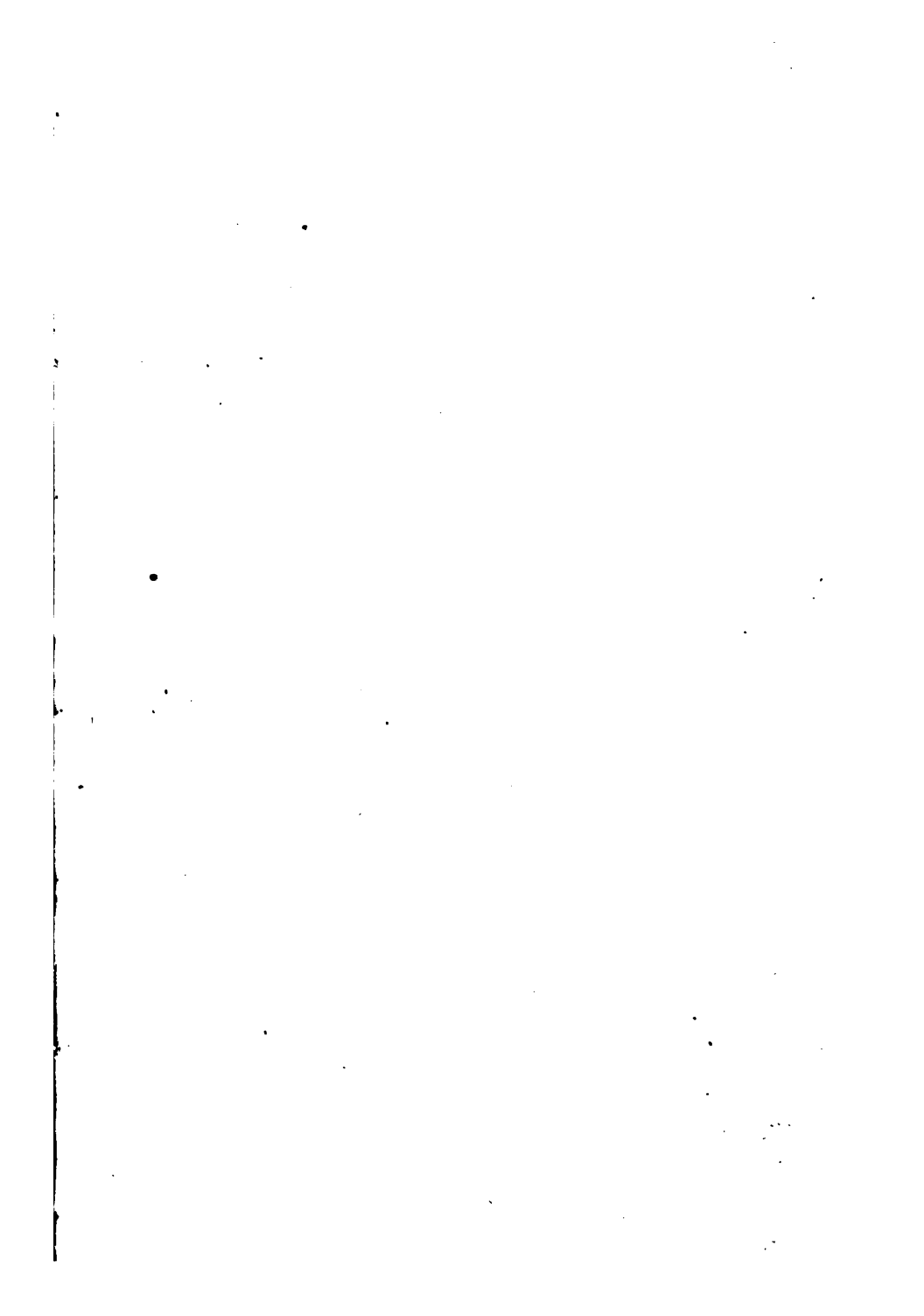
- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

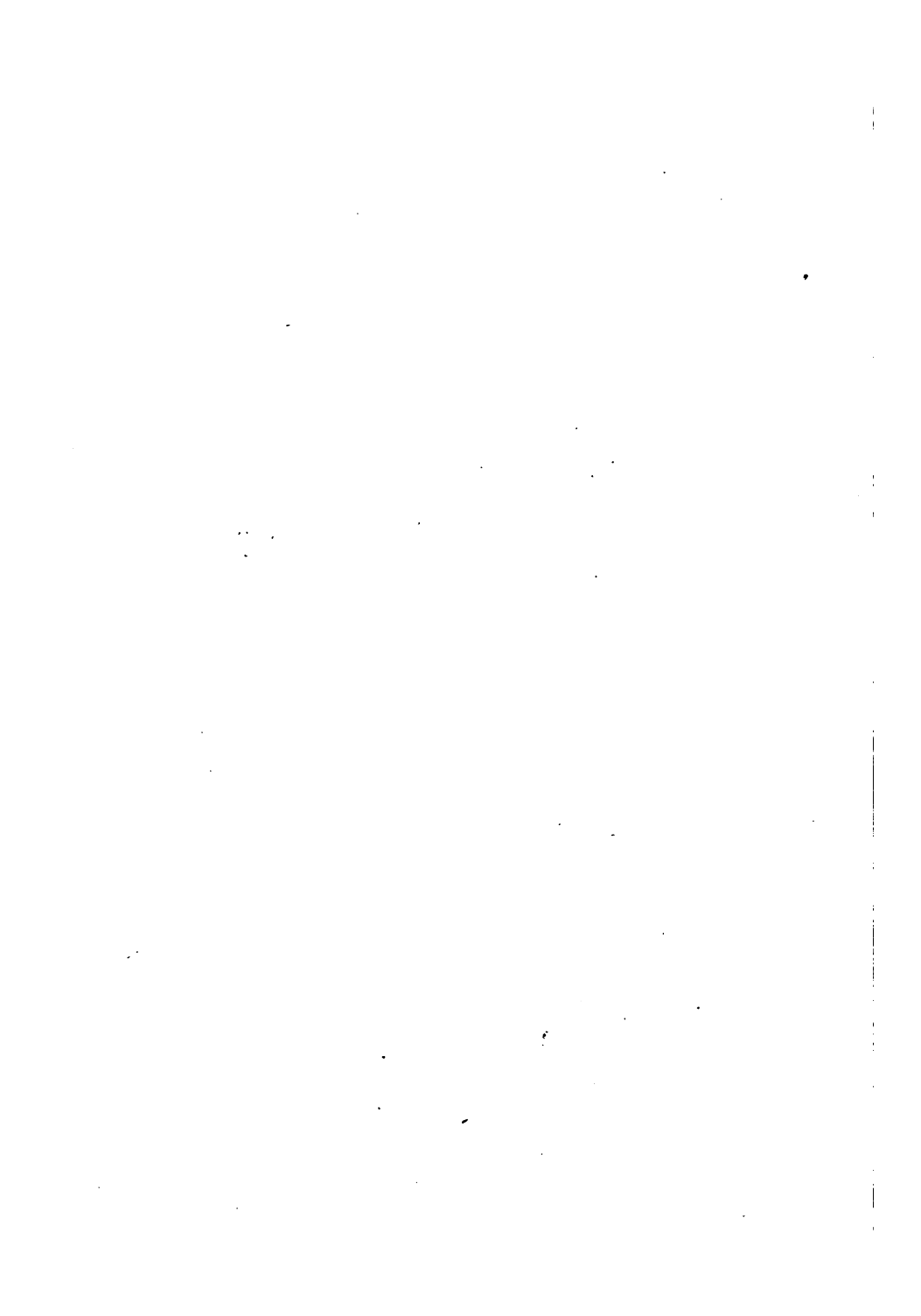
Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

A 951,138

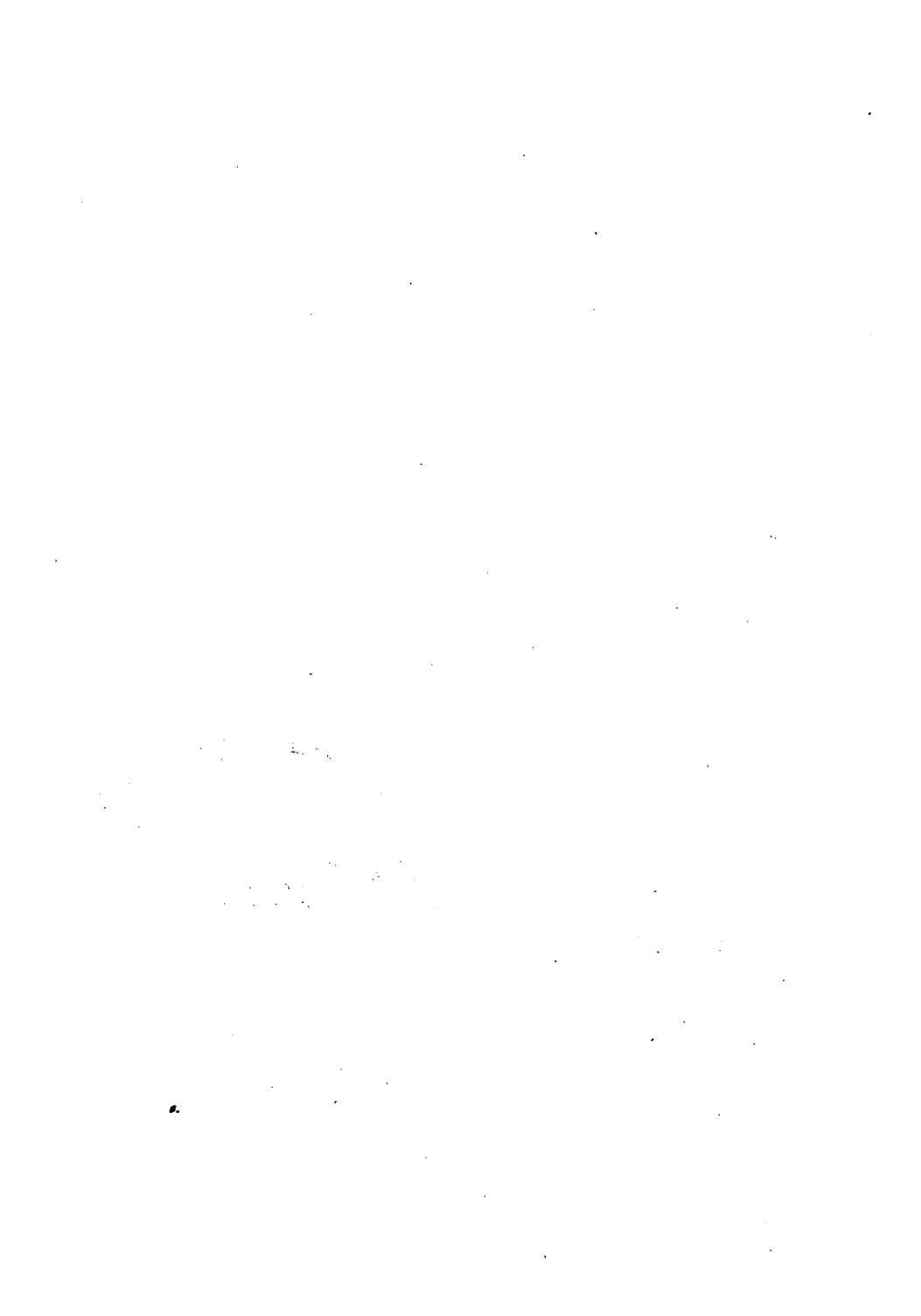








NARODZINY DZIAŁACZA



DNI POLITYCZNE

SERYA I

NARODZINY DZIAŁACZA

PRZEZ

JÓZEFA WEYSSENHOFFA



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1906

891.858
W55dni

61-107978

DZIEŃ PIERWSZY.

Pozwolę sobie przypomnieć łaskawym czytelnikom nikłą bardzo i trzeciorzędną postać pana Apolinarego **, który w rozdziale drugim mojego panegiryku o Zygmuncie Podfilipskim plamką zaledwie barwną odróżnia się od szarego tła otaczającego jasną postać pana Zygmunta. Nigdy nie ośmieliłbym się zajmować czytelników po raz drugi tym drobnym znajomym, gdyby gorączkowy pęd społecznych wypadków nie popchnął pana Apolinarego na tory publiczne, na których znalazł się prawie niespodziewanie i zdołał już uczynić to i owo.

Trzeba pamiętać, że elektryczność wynikająca z wielkich wstrząśnień społecznych, udzielając się pojedynczym członkom społeczeństwa, przyspiesza dziwnie procesy rozkwitu i dojrzewania. To, co pod spokojnem słońcem czasów zwykłych wegetuje tylko, lub przynosi ziarno za ziarno, pod rządem światłem błyskawic, przy wstrząśnieniach

piorunowych, zakwita nagle i wydaje plon podziętny. Stąd stara maksyma, że wypadki rodzą ludzi. Za dni naszych wypadki stworzyły, między innymi, i pana Apolinarego.

Tutaj nie mogę zamilczeć o jego nazwisku rodowem, które przekrada się już do nieśmiertelności. Pan Apolinary należy do zacnego rodu Budziszów, herbu Paparona, alias Gąska.

Nie jest to dzisiaj ów «szlachcic zadowolony z siebie, a nigdy z urodzaju», jakim wydawał mi się dawniej, gdym go widział tylko w stanie spokoju, a nie obserwował w ruchu. Najprzód, z powodu wojny, zaczął pilnie czytać dzienniki, a co ważniejsza, zaczął je oceniać. «Dalsze ciągi», które go niegdyś odstręczały od gazet, teraz pokleliły mu się cudownie z ciągami poprzednimi, i pan Apolinary jest już dzisiaj zupełnie biegłym politykiem, szczególnie w zakresie spraw wojennych, do których ma wrodzony zapał i talent. I nie dziw, bo jest rycerskiego pochodzenia. Materie polityki wewnętrznej krajowej poczytywał jeszcze do niedawna za mniej wdzięczny przedmiot i sądu o nich nie zdążył sobie wyrobić, ale ostatnimi czasy i pod tym względem uczynił postępy — jak się okaże — niepospolite.

Jak dawniej, pozostaje pan Apolinary Budzisz w ścisłej zażyłości z sąsiadem panem Janem Rokszyckim, mającym mir w okolicy. Czuje do niego instynktowne zaufanie, lubi go i poważa, pozwala

sobie tylko czasem stroić żarty z tego, co nazywa «niespokojnym duchem pana Jana». Bo Jan nie umie po ziemiańsku cicho siedzieć. To założy u siebie czytelną dla chłopów, to napisze artykuł do gazet o kasach rzemieślniczych.

— Znowu tam sąsiad majstruje — mówi Apolinary z odcieniem przyjaznej ironii.

Dobre są bowiem nowości, ale wprowadzać je trzeba bardzo ostrożnie. Przedewszystkiem w gospodarstwie. Pługi dwuskbowe, lokomobila, nawozy sztuczne (ostrożnie!), zmiana nasion i reproduktorów. Co grosz przynosi, to mi pożytek. A reszta — faramuszeki, dobrodziejstwo moi!

Jednak, jak już rzekłem, pan Apolinary, choć ulepiony po części z tradycyjnego ciasta, nosił w sobie zacyzn człowieka przyszłości, czego najlepszym dowodem jest, że odrazu urósł, gdy się dostał do pieca polityki wewnętrznej. Ma to być właśnie przedmiotem niniejszego opowiadania.

Uznawał naprzykład konieczność załatwienia stosunków serwitutowych i czuł pociąg do konstytucyi. Gdyby się pozbył serwitutów leśnych, podniósłby wartość majątku przez wprowadzenie ulepszeń, którym serwituty stoją na zawadzie. Gdyby miał konstytucję... obrałby posłem pana Jana i włożył do instrukcyi poselskiej obowiązek uregulowania serwitutów. To było jasne.

Mniej jasno przedstawiały się panu Apolinarowi różne kwestye, powracające coraz częściej

w pismach i rozmowach, krążące po kraju w luźnych pisemkach. »Precz z tem! Niech żyje tamto!« — to znowu: »Precz z tamtem, a to niech żyje!« Pan Apolinary przywykły wierzyć drukowanemu słowu, bardzo wrażliwy na ognistą wymowę, przejmował się hasłami, czuł w sobie nurtowanie wielkich pragnień społecznych, nie mógł tylko jeszcze uprzytomnić sobie, do jakiego stronnictwa on sam należy; czy stanowisko jego do sprawy ogółu ma być określone przez jedną, dwie, lub trzy litery? Napróżno starał się wybadać pana Jana, co jest zbawienniejsze z pomiędzy różnych kombinacji wielkich głosek: XY, YX, XYZ, czy jeszcze co innego? Rokszycki odpowiedział wymijająco:

— Jeżeli miałbym już koniecznie należeć do jakiejś organizacyi, to wstąpiłbym do »związku rozumu narodowego«. Ale ten jeszcze się nie zorganizował.

— Cóż to? żart? Nawet niegrzecznie...

Łamał sobie głowę, lecz o bliższe objaśnienia nie pytał, bo nie są to już te czasy, kiedy on się z sąsiedzkich gawęd informował »de publicis«; on teraz czytuje dzienniki, wie zatem mniej więcej wszystko, co wiedzieć potrzeba: to, czego nie wie, powinien sam przeniknąć obywatelską swą intuicyą.

— Ciągłe zgadywać! Niczego nie być pewnym! Ciężko, dobrodzieje moi!

Chociaż więc doszedł mozolnie do znaczenia słów pana Jana, nie posiadał równowagi w objęciu wszystkiego, co się dzieje w kraju, zaniedbał bowiem oddawna, jak się już rzekło, politykę wewnętrzną z powodu zajęć, jakie miał na dalekim Wschodzie.

A jednak sprawy krajowe rosły, mnożyły się i docierały ze wszech stron do uszu pana Budzisa, jak rój much natrętnych i pszczoł miododajnych i os niebezpiecznych. Trzeba je było odróżniać, odpędzać albo osadzać w ulach. Pan Apolinary pod wiosnę tego roku niespokojnego, zaczął cierpieć coraz częściej na polityczny ból głowy: cisnęły się bowiem do uszu przeróżne zagadnienia, a rozwiązanie ich wisiało gdzieś daleko w powietrzu, poza sferą jasnych pojęć pana Apolinarego. Czuł w sobie powołanie na statystę, mającego gotową radę na każdą ewentualność, ale chciał też czasami i odpocząć, zdrzemnąć się. Pęd idei i wypadków nie dawał mu zasnąć.

Politykowanie wprowadziło pewne zmiany do przyzwyczajeń i dyety budzącego się statysty. Zamiast poobiedniej drzemki czytywał teraz dzienniki i pił więcej piwa, niż dawniej. Czytywał i wieczorem, zaczęm później wstawał i zaniechał porannego obejścia gospodarstwa. Felczer miejscowy odradzał mu tych innowacyi, dowodząc uczenie, że około pięćdziesiątki zmiany trybu życia nie są zalecane, zwłaszcza, że apoplektyczna

kompleksya pana dziedzica wymaga ruchu, umiarkowania w mocnych napojach, a przede wszystkim oszczędzania mózgu, organu nie przyzwyczajonego do takich wysiłków. I pan Jan radził podobnie.

Ale pan Apolinary oburzył się:

— Nacóż się ma zdrowie i rozum, dobrodzieju mój, jeżeli nie na usługi publiczne?

I zabrał się do wertowania dzieła »Nasze stronictwa skrajne przez Scriptora«, na przekór zdaniom przyjaciół. Czytanie to znacznie pogorszyło stan pojęć i zdrowia pana Budzisa.

Wysiłek jednak i poświęcenie osobiste nie zdołałyby może wynieść pana Apolinarego na wyżyny, gdyby nie dzień pewien ewolucyjny, o którym obszerniej wypada pomówić.

Upał był ciężki, z zapowiedzią burzy. Usnęły powiewy, usnęły ptaki, przyroda wołała do snu i pana Apolinarego. Ciche, drobne fale światła, dające się dostrzedz na odległej, wybielonej ścianie obory, przypominały wprawdzie o istnieniu wiecznego niepokoju świata, lecz zarazem kłoniły powieki na omdlone oczy. Natarczywość spraw bieżących uprzytomniały głównie owady, obficie rojne tego roku, które i teraz obległy brzęczącą czeredą wczesnie zakwitłe lipy, glicyny rozpięte nad werendą dworu i głowę pana Apolinarego. Głowa ta, sama niby kwiat trwale kwitnący, widniała po-

środku werendy w słonecznych okach zielonego półcieniu, walcząc ze snem i z owadami za pomocą wielkiej drukowanej płachty, zdatnej zarówno do rozbudzenia umysłu, jak do opędzania much. Na stole, zamiast »pisanego dzbana« Kochanowskiego, stał wzorzysty kufel monachijski z glinki utrzymującej piwo w chłodnej temperaturze, nabytek kultury zachodniej.

Lubą kołysankę poobiedniej ciszy zamącił naraż turkot kół nieznajomy. Wprawne ucho wieśniaka rozróżnia bowiem swój turkot od cudzego, a nawet wróży z kołatania, czy gość pożądaný, czy nieproszony. Pan Apolinary, ujrawszy obcą bryczkę na zakręcie stanowczym, tym, który już tylko do domu prowadzi, stwierdził, że furmanka jedzie z daleka, od kolei, a turkocze raczej złowrogo.

Gdy niebawem bryczka zajechała przed dwór, wysiedli z niej dwaj panowie i wymienili dwa nazwiska panu Budziszowi nieznane: Kotulski i Hyc. Kotulski był cichy, twarzy pociągłej i ascetycznej, w oczach i na ustach nosił ogromne cierpienie, społeczne czy żołądkowe. Hyc, przeciwnie, odznaczał się torsem trybuna i wzrokiem, który bez wahania nazwać można »orlim«. Na uprzejme zaproszenie gospodarza, aby podróżni orzeźwili się piwem, jeden nic nie odpowiedział, tylko spojrzenie głębokich swych oczu bardziej jeszcze udu-

chował, przyczem pan Apolinary nie omieszkiał zauważyć »in petto:«

— Widzi mi się, że Mason?...

Drugi odpowiedział odważnie:

— Nie piję.

— Nie może być — pomyślał znowu pan Apolinary, a w duszy jego zaczęła kiełkować nieufność do gości.

Kotulski przystąpił odrazu do rzeczy, albowiem wiele, bardzo wiele miał jeszcze do czynienia, prawie tyle, ile już uczynił. Stał pozornie w połowie drogi żywota swego, ku dobru ogólnemu wysiłonego, w połowie jakiegoś obywatelskiego rozpędu, wymagającego objaśnień. Czy wytrwa? — niewiadomo. Budziła takie wątpliwości twarz jego napiętnowana rozrzewniającem utrudzeniem, niby z krzyża zdjęta. Ale obawy o przyszłość uspokajała pełna obietnic powierzchowność «szanownego kolegi i współdziałacza», pana Hycy, który potężnie zaciśniętą pięścią ugiął blaszany stół na werendzie, a wzrokiem autentycznie orlim przeszywał jednocześnie spoconego gospodarza.

Pan Apolinary usłyszał najprzód, że wkrótce, w najbliższej przyszłości, otworzy się pole działania dla wielu wybitnych obywateli kraju, a także dla niego samego, Apolinarego.

— Słyszysz pan jako człowiek dobrej woli i użyteczny — mówił Kotulski — kraj ma oczy na pana zwrócone, powołuje go do usług...

Pan Budzisz mimowolnie rozejrzał się po wendzie, jakby szukał oczu tego kraju, który na niego patrzy i woła. Oczywiście nie mógł natrafić na nic innego, jak na zagadkowe spojrzenie pana Kotulskiego i na imponujący wzrok pana Hycy. Nie chcąc jednak ujść za prostaka, odchrząknął i odpowiedział, chociaż bez zwykłej pogodnej stanowczości:

— W istocie, dobrodzieje moi, czasy są bardzo ciekawe. Każdy powinien... niby jak ten powiada: »czyń każdy w swoim kółku, coć każe Duch Boży...«

— Powiedz pan raczej: co każe duch czasu — odezwał się pan Hyc. A te działania pojedyncze pragniemy skupić, zrzeszyć, zorganizować. Co do tego trzeba się przedewszystkiem porozumieć.

Mówił poważnym basem, w którym dźwięczały hamowane, ale gotowe na rozkaz grzmoty.

— Otóż właśnie — podchwycił pan Kotulski — zrzeszenie, porozumienie — to pierwsze warunki owocnej pracy społecznej. A po ścisłym porozumieniu dopiero, po usunięciu rozstrzelonej inicjatywy, po dokonanej, że tak powiem, centralizacji pragnień i działań, może powstać ta dzisiaj tak pożądana obywatelska zasada, że nie waham się jej nazwać cnotą społeczną, ta rzecz tak prosta, której jednak nikt, oprócz nas, nie postawił wyraźnie...

Tu pan Kotulski wywody swe zawiesił, pra-

gnąć zapewne, aby prozelita sam wynalazł i nazwał pożądaną obywatelską zasadę.

Ale pan Apolinary dawał dopiero przystęp pierwszym promykom orientacji co do osób, treści i zamiarów apostołstwa, którego stał się przedmiotem. Pauza mówcy zmuszała go tymczasem do odezwania się wprost do rzeczy. — Zdobyl się na niewiele:

— Chyba wogóle... staranie o dobro ogólne?...

— To przedewszystkiem. Ale zasadą wszelkich sprężystych działań zbiorowych cóż może być i powinno, jeżeli nie —

Kotulski poczekał jeszcze chwilę. Gdy jednak pan Apolinary nie dawał po sobie żadnej poszlaki pomysłowości, kolega Hyc dokończył niecierpliwie:

— Nie co innego, jak zasada absolutnej solidarności.

— A prawda — rzekł nieco skonfundowany Budzisz.

Tu obaj mówcy na chwilę umilkli i poprawili się na siedzeniach. Rzekłbyś, że odwalili znaczną część złotego ciężaru, który w to miejsce przynieśli, że zakończyli jeden z kapitalnych paragrafów swego programu, a przynajmniej tej jego części, którą pożytecznie jest wyklądać nowym adeptom.

Apolinary zaś, czując potrzebę ratowania swej

reputacyi biegłego polityka, rozwinął tymczasem dalsze swe zapatrywania na solidarność:

— Święta prawda, dobrodzieje moi. Kupą do celu — to mi robota. I żeby raz się już pozbyć tych wszystkich haseł, liter, stronnictw, — człowiek-by odetchnął.

— Za pozwoleniem! — zawołał pan Hyc — stronnictwo nasze abdykować nie może ze swojej preponderencyi w kraju.

Ten cios prosty kolegi pan Kotulski starał się zagoić kojącą maścią swej wymowy:

— Nasze... zrzeszenie ku wspólnej pracy przestaje już w pewnej mierze być stronnictwem. Ogarnia kraj cały. Jest jedyną organizacją na prawdę istniejącą i opartą na szeroko wybadanej woli całego społeczeństwa. Jak więc pan zapatrujesz się na współdziałanie z nami?

— Ha, skoro zapewniacie, że kraj cały... Ale! Więc już zapisaliście do waszego grona sąsiada mego, pana Jana Rokszyckiego? Byliście u niego w Ziembowie?

Pan Kotulski spojrzenie swe znowu uduchownił, jak uprzednio na propozycję piwa. Pan Hyc zaś postąpił, jak zwykle, odważnie i rzekł stanowczo:

— Nie znajduje się na naszej liście.

— On?! Rokszycki?! A kogóż tedy werbujecie?

Idący już rażniejszym krokiem ku zrzeszeniu

i solidarności, pan Apolinary zatrzymał się. Coś go niby szarpnęło za poję, a razem i za serce:

— Zmiłujcież się, dobrodzieje moi! Człowiek taki światły, powszechnie u nas szanowany. A już co do spraw publicznych, to pierwszy u nas, po prostu: pierwszy.

— Bardzo być może. Nie zagradzamy mu drogi do połączenia się z nami.

— Jednak...

Tu poczuł pan Apolinary dotkliwe ukłucie pierwszego ćwieka w głowie. Jakżeż to? Zrzeszenie ogarnia kraj cały, a nawet nie próbuje pociągnąć pana Jana, luminarza powiatowego, bez którego nic dotąd się nie obeszło?... Pomijając tę wątpliwość kapitalną, zakłopotany i niepewny adept usiłował pozbyć się, za pomocą pytań, chociażby wątpliwości teoretycznych:

— A więc mówicie panowie, że te partye XY, ZY, ZYZ i jak się tam wszystkie wabią — straciły już wszelkie znaczenie?

— Zlewają się coraz bardziej z nami.

— Więc będzie wkrótce jedno takie...

Pan Apolinary gładził powietrze szerokim ruchem niwelacyjnym obu dłoni. Tak zapewne chciał wyrazić wewnętrzną wizję zjednoczonego, solidarnego społeczeństwa.

— Dążymy do tego — odpowiedział Kotulski wymijająco.

— Tem już prawie jesteśmy — zadzwieczętał uroczyście bas kolegi Hycy.

— No, a inni... ci naprzykład niewyraźni stronnicy tego lub owego?

Pan Kotulski pierwszy raz się uśmiechnął (uśmiech miał chwytający za serce, choć bolesny) i położył dłoń na rękawie pana Apolinarego.

— Przyjdą do nas, kochany panie, przyjdą. Nie może być inaczej.

— Kto wie? może i przyjdą? — pomyślał ujęty dobrotliwym tonem Apolinary i taką przed oczyma duszy zobaczył fantasmagoryę: Gdy on sam przystąpi do zrzeszenia, nakłoni i zwerbujecie pana Jana. Gdy Jan stanie się członkiem i będzie miał już swój głos między nimi, to im tam pieprzu zada, to już tam wszystko będzie w porządku... Tylko czy Jan zechce?...

Tak się zapamiętał w rojeniach, że nie zauważył, jak pan Hyc począł wymownie dowodzić o zasadzie wyborczej. Stracił nawet coś z pierwszych, prawdopodobnie cennych, słów mówcy. Posłyszał jednak dosyć, aby się połapać.

— ...po dyletancku. Wysuwali się naprzód samozwańczo na ochotnika. Dość mamy tych niepowołanych przedstawicieli! My zaś działamy wręcz przeciwnie. Chcąc usłyszeć głos, wyrozumieć pragnienia całego narodu, opieramy się na zasadzie wyborczej. Nietylko do parlamentów, do każdego żywego stowarzyszenia należy wybierać człon-

kow przez głosowanie. Kiedy zaś chodzi o działanie tej doniosłości co nasze...

Pan Apolinary wytrzeszczył oczy. Nie spodziewał się, aby działanie tych panów było aż tak doniosłe...

I przestając znowu słuchać o zasadzie wyborczej, począł rozważać w duchu: co to za figura ten pan Hyc i do jakich granic posuwa się jego wielmożność?

A nieświadomy dezercyi pana Apolinarego od przedmiotu, pan Hyc tracił dalej swą wymowę. Mówił z rosnącym zapałem, niby do licznych słuchaczów:

— ...Gdy więc na zasadzie wyborów pozyskałszy liczny poczet mężów zaufania ze wszystkich stron kraju, chodzi o to, jakim sposobem to zaufanie ogółu spożytkować dla ogólnego dobra, rzekłbym, jak je spieniężyć? Warunki nasze nie pozwalają licznych zgromadzeń, a tem bardziej publicznych obrad. Pozostaje droga jedyna —

Pauza. Pan Apolinary, obudzony ze swych pobocznych medytacyi, chwytą uchem ostatnie, drżące jeszcze w powietrzu, wyrazy i powtarza je nawet półgłosem:

— Droga jedyna... no — no ?

Mówca, podniecony oddźwięcznością słuchacza, tem świątniej wygłasza swój wniosek:

— To zaufanie wyrażone przez pierwsze wy-

bory przelać na grono osób wybranych z wybranych.

Wtrąca się kolega Kotulski z gładko wypowiedzianym maleńkim dodatkiem:

— I temu ciału centralnemu powierzyć ster spraw krajowych.

— Bagatela! — nie mógł powstrzymać okrzyku pan Apolinary.

Ale czując na sobie badawcze spojrzenie obu kolegów, pomiarkował się:

— Więc to niby... komitecik centralny?

Odpowiedział Kotulski:

— Tak... sługa sług narodowych... surrogat w pilnej potrzebie.

Ale Hyc dumnie się uśmiechnął.

— W każdym razie jest to komitet, który stoi na straży dobra publicznego. Należy mu się co najmniej — uznanie. Wyście nas wybrali, my — czuwamy.

— »My!«

To pojęcie pozyskał pan Apolinary nareszcie dla swej niezaprzeczonej świadomości. Chociaż nie zadrżał (gdyż był rycerskiego pochodzenia), zrozumiał, że ma do czynienia z panami, którzy są lub będą członkami komitetu, a przynajmniej z ramienia jakiejś potęgi są tutaj przysłani.

Wymowa zaś pana Hycy płynęła dalej:

— Przełomowe czasy wymagają akcji sfornej i szybkiej. Gdy każdy dzień wschodzący przynosi

z sobą wołanie: co zrobić?! nie ma czasu na długie rozprawy, na odwoływanie się do zdań prawyborców. Tu trzeba czuć i działać. Komitet centralny, posiadając par excellence zaufanie publiczne, musi brać szczególne akty na swoją odpowiedzialność. Naród zaś, będący z komitetem w najściślejszym porozumieniu — bo przez podwójne wybory — powinien się ze swymi centralnymi przedstawicielami solidaryzować bezwarunkowo. Uda się, czy się nie uda — pozostaniemy razem i jednomyślni.

To się panu Apolinaremu podobało.

— A pozwólże się uściskać, kochany... Jakże mam pana tytułować?

— Nazywam się krótko swoim nazwiskiem — odparł Hyc, łagodząc uśmiechem orle swe spojrzenie i przychylając się do uścisku pana Apolinarego — mam zato wielu tytułowanych panów na swoje usługi.

— Kolego! szkoda czasu na żarty! — przerwał Kotulski, zauważył bowiem cień zgorszenia, przeciągający przez pogodną twarz pana Apolinarego. — Ludzie możni, którzy trzymają z nami, są pełni dobrych chęci, niektórzy istotnie użyteczni.

Ale pan Hyc wpadł już w werwę i prawil:

— Nie mówię o ludziach możnych wogóle, lecz o arystokracji rodowej. I od tej nie stronię, bo wszelkie przesady są mi obce. Ma się rozumieć, że tak zwani »wielcy panowie« są nam uży-

teczeni: wysuwać ich można na posterunki, czasem na honorowe, czasem na stracone. Główną ich zaletą jednak pozostaje, że mają środki.

Kotulski kręcił się, a oczy mieniły mu się męczeńsko: widocznie wątpił o potrzebie takiego odśłaniania się przed nowym adeptem, w którym przewidywał pewną pobłażliwość dla arystokracji.

Nie mylił się. Pan Budzisz, choć oświadczał się, zgodnie z tradycją, za równością szlachecką, a nawet, skłaniając się do nowszych poglądów, uznawał równouprawnienie ludzi inteligentnych przy stanowieniu o sprawach ogół obchodzących, — odczuwał jednak przyjemność osobistych stosunków z autentycznymi panami, żywił dla tych starszych braci uczucia poniekąd pokrewieńskie. Nie przeszkadzało mu to piorunować na ich bezczynność, zwyrodnienie, a nawet zgniliznę — taką niezależność zdania poczytywał sobie za ozdobę — ale lubił z nimi obcować, gadać, i — o dziwo! — porozumiewał się z nimi bardzo łatwo. Był bowiem typowym polskim demokratą rycerskiego pochodzenia.

Zgadując to, pan Kotulski przerwał rozruchaną swadę towarzysza kilku pochwałami osób z arystokracji należących do stowarzyszenia. Ten jaki miły! Tamten jaki ofiarny! Trzeci jakie ma tradycje form dyplomatycznych!... Zbierał co mógł przypomnieć...

Uspokoilo to trochę pana Apolinarego. Odru-

chem myślowym niespodziewanym zwrócił się do pana Hycy:

— Pan dobrodziej czy nie z naszych stron pochodzi? Zdarzyło mi się już słyszeć nazwisko pańskiej rodziny.

— Mogłeś pan słyszeć tylko o mnie. Mój ojciec był kowalem.

— Aa!...

W tym wykrzykniku było tyleż zdziwienia, ile zażenowania. Czart go skusił na dociekanie prozapii gościa, tak nieprzyjemnej... Nie wiedział bowiem ten wiejski demokrat, że dla tamtego centralnego demokrata »ojciec kował« był nie tylko ulubioną ozdobą rozmów, ale talizmanem, piedestalem, autentycznym patentem na »dziecię ludu« i samorodnego olbrzyma, jednym słowem — prawdziwym klejnotem.

Gościnny gospodarz chciał zaś naprawić to, co poczytywał za swą niezręczność:

— A pańskie rozległe stosunki i stanowisko zawdzięczasz pan dobrodziej... szczęśliwym okolicznościom?

— Przedewszystkiem — sile własnej.

Syn kowala mlasnął rozgłosnie, rozpromienił się i zaczął głosem epickim:

— Kiedym był jeszcze małym...

Ale pan Kotulski znał na wylot towarzysza. Poznał symptomata i przewidział niebezpieczeństwo. Wiedział, że nastąpi niechybnie anegdota

z lat dziecinnych samorodnego olbrzyma: ucieczka z kuźni do szkoły — pierwsza kropla krwawego potu — rozmyślanie w zamknięciu — cykl przypominający dzieciństwo Napoleona, w mniejszych oczywiście rozmiarach. Pan Kotulski zapragnął sprzeciwić się energicznie zabłąkaniu rozmowy na te niewczesne tory. Gdy więc pan Hyc zaczął:

— Kiedym był jeszcze małym...

Kotulski rzucił się niemal rozpaczliwie wpoprzek tej anegdoty i zawołał:

— Nie zapominajmy, kolego, że czas nagli, a wiele jeszcze, bardzo wiele mamy do czynienia. Nie pozyskaliśmy dotąd pewności o akcesie pana Budzisa do naszego stowarzyszenia.

Pan Hyc pohamował się i ostygl. Był to jeden z najtrudniejszych jego wysiłków pro publico bono.

— Rzeczywiście, o tem potem.

Ale z powodu może tego zaparcia się siebie, stał się bardziej jeszcze zamaszystym. Obcesowo zwrócił się do pana Apolinarego:

— Przyjechaliśmy więc, aby zapytać, czy zgodzisz się pan być przedstawicielem swego powiatu w naszym Stowarzyszeniu.

Apolinary spoważniał, przełknął powoli ślinę, jakby próbował smakiem tego, co mu powiedziano. Zacerwienił się i dość długo milczał. Wreszcie odrzekł niepewnie:

— Gdyby moja kandydatura postawiona była na wyborach, namyśliłbym się... pomówiłbym z Rokszyckim...

— Już się wybory odbyły; jesteś pan wybrany.

Tu Apolinary podskoczył na krześle.

— Gdzie?! jakie wybory?! Nie czytałem, nie słyszałem...

— Byłeś pan wskazany przez swą nieposzlakowaną opinię i przez komitet centralny. Zresztą głosowali za panem panowie Gawłowski i Pawłowski, ludzie zaufani.

— Ach, ci?!... bardzo mi pochlebia... ale jakżeż to? przecie wyborów naprawdę nie było.

— W naszych warunkach nie może być naprawdę wyborów. Były takie, jakie być mogły.

Pan Hyc powiedział to szybko, byle zbyć; traktował tu widać wybory jako materię podrzędną, wobec wyjątkowych warunków. Wyjątki bowiem potwierdzają regułę (byle nie zbyt liczne). Zato następujące słowa wyrecytował tonem uroczystej inwestytury:

— Zaufanie współobywateli powołuje pana do przedstawicielstwa. Mamy nadzieję, że nie zechcesz się pan uchylić od tak zaszczytnej posługi?

— Nie uchylam się... zapewne... ale dajcie mi trochę czasu do namysłu, dobrodzieje moi... to jest: do rozmowy z Rokszyckim.

Tu zabrał głos pan Kötulski:

— Nie chcę bynajmniej zniechęcać pana do sąsiada, ale należy on do rzędu ludzi, którzy do szerszych działań użyć się nie dadzą. W wielu wypadkach nie solidaryzował się z narodem...

— Co też pan mówisz! Z jakim narodem? ze swoim — chyba zawsze.

Kotulski przetaił wolno ręką, jakby je umywał od odpowiedzialności osobistej za czynione zarzuty.

— Trudno to objaśnić... trudno wszystko powiedzieć. A jednak tak jest, bo my dobrze, bardzo dobrze wiemy. Wierzej nam pan. Sąsiad pański lubi też działać wyłącznie w kółku ludzi od siebie zależnych. Odmówił także po dwakroć ofiary na cele publiczne najpilniejsze. Nie uwłaczam więc jego zaletom, ani dobrym chęciom, ale mniemam, że nie jest na wysokości zadań chwili obecnej.

Ta charakterystyka wcale nie przekonała pana Apolinarego; upierał się przy obronie pana Jana:

— Jeżeli mowa o mężach zaufania i przedstawicielach, to od nas nie kto inny, tylko pan Jan Rokszycki.

— Co tu długo gadać! — przerwał porywczomie — pan Rokszycki nie jest dobrze notowany w naszym słowniku obywatelskim. Daj kolega słownik!

Kotulski, rozejrzawszy się misternie dookoła, z wyrazem twarzy namaszczonego (oj, Mason!...) dobył z podręcznej walizy dość grubą książkę,

w której zdumione oczy Apolinarego ujrzały kolumny z tysięcy nazwisk ułożonych wedle alfabetu. Przy każdym nazwisku była wpisana krótka, lapidarna charakterystyka, w rodzaju cenzury. Gdy odnaleziono z kolei cenzurę Rokszyckiego, okazała się w głównych zarysach zgodną z uprzednio wygłoszonem zdaniem pana Kotulskiego.

— Hm... niby to samo — mruknął Apolinary. Ale, że nie skąpy, to już pozwólcie, dobrodziejze moi! Założył własnym kosztem u siebie szkołę wiejską, zbudował szpital, poprowadził własną szosę. A w cudzej nawet stalowni, kiedy chodziło o kasę emerytalną...

— Wiemy, i to wiemy — odpowiedział Hyc — jednak nie posiada kwalifikacyi na dzisiaj. Dzisiaj szukamy ludzi solidarnych z nami. Nie chodzi nam o niesforne indywidua — my operujemy ilościami.

— Masami — poprawił Kotulski.

— Innemi słowy: opieramy się na wielkiej liczbie, na przeważnym głosie ogółu... Przytem pan Rokszycki należy pod pewnym względem do ludzi zupełnie nam obcych.

— Obcych? a to co znowu?

— Do pogodzonych z losem.

Pan Apolinary wytężał przez chwilę swe zdolności oryentacyjne, nareszcie zrozumiał i wybuchnął:

— Co to, to przepraszam. A któż wystąpił pierwszy przeciwko Hektorowi Zawiejskiemu?

— Pozornie, pozornie tylko — przekładał pan Kotulski.

— Jakto: pozornie?! Naraził się nawet hrabiemu Szafrąncowi z tego powodu. Miał mu Szafraniec puścić w dzierżawę swoje domy przy szosie na jakieś tam herbaciarnie dla chłopów, — no i puścił je żydom za bezcen, gdy się dowiedział, że Rokszycki jest... z innego obozu. Wiem to dokumentnie.

— My zaś inne mamy dokumenta — odparł twardo pan Hyc. Wiemy także coś jeszcze o panu Rokszyckim, co nas zniechęca ostatecznie: jest to ukryty Mason.

Pan Apolinary zamilkł i popadł w przykrą wątpliwość. Wistocie bardzo trudno dowiedzieć się, kto jest Masonem, a kto nim nie jest... Gdyby to jednak była prawda o zacnym panu Janie — co za szkoda!... Zato innej wątpliwości pozbył się pan Apolinary: skoro ci panowie piętnują masoneryę, jako przywarę, sami nie należą oczywiście do sekty. Nawet pan Kotulski ze swem nienaturalnie głębokiem spojrzeniem... Jak to się można jednak pomylić!.

— Phi, dobrodzieje moi, skąd-że ta pewność o panu Rokszyckim?

— Na wiatr nie mówimy. Jest Masonem, i to szkockiego obrządku.

— Szkockiego?... no, proszę...

Gdyby nazwano pana Jana po prostu Maso-

nem, byłoby to jeszcze znośne. Mówi się niejedno. Ale »szkocki obrządek« przygnębił pana Apolinarego. Pierwszy raz o nim słyszał i pomyślał, że muszą oni jednak coś tam wiedzieć...

Nie chciano przeszkadzać tym razem zbawiennej medytacji pana Budzisa, dopiero więc po dłuższej pauzie odezwał się pan Kotulski:

— Porzućmy tę dyskusję. Nie o sąsiada pańskiego nam chodzi, lecz o pana. Tamten jest dla naszych obecnych zamiarów wątpliwej wartości, pan zaś jesteś wskazany nie tylko przez swą nieposzlakowaną opinię, lecz i przez wybory. Pragniemy pana dla naszej pracy pozyskać; chcemy wiedzieć, czy pan przyjmujesz stanowisko delegata swego powiatu?

— Chwileczkę jeszcze... powiedzcie mi, czy ja tam jestem zapisany w waszym słowniku?

Pan Hyc przewrócił karty i odnalazł nazwisko Apolinarego Budzisa. Stał przy nim jeden tylko epitet:

»Użyteczny«.

— Widzi pan — rzekł Kotulski — nie działamy bez zasady, lecz na podstawie ścisłych informacji.

— Widzę... a kto zbierał te informacje?

— To musi do czasu pozostać tajemnicą.

Pan Apolinary kiwał poważnie głową, fałdując obfity podbródek, na znak porozumienia. W istocie coraz mniej rozumiał. Walczył przytem w sumieniu swem z alternatywą: przyjąć i zostać wiel-

kim? czy nie przyjąć? — Stanowczą chwilę postanowienia oddał zapomocą drobnych wybiegów. Okazał znowu ciekawość zajrzeć do »słownika«.

— Co tam wasz słownik mówi o moich wyborcach? O Gawłowskim na przykład?

Odnaleziono Gawłowskiego i jego cenzurę:

»Użyteczny«.

— Tam do licha! tyle, co o mnie.

O Pawłowskiego już pan Apolinary nie pytał.

Ale chwila odpowiedzi nadchodziła nieuchronnie. Kandydat pocił się coraz bardziej. Przyszło mu wreszcie do głowy pytanie, nawet bardzo stosowne:

— A powiedzcie, dobrodzieje moi, jakież byłyby moje obowiązki?

— Tymczasem bardzo proste — rzekł pan Hyc — przystąpić do nas i solidaryzować się z uchwałami komitetu.

— Właściwie — rzekł pan Kotulski — obowiązki stowarzyszonego nie są jeszcze dokładnie określone. Uchwalono dotychczas tylko zasadę absolutnej solidarności, która jest o-bo-wi-ą-zu-ją-ca.

— Czyli że, kiedy komitet się wypowie — cicho — szal trzeba słuchać. Co?

— Jest to istotą solidarności. Ogólnie zaś mówiąc, zrzeczyliśmy się w celu wspólnej pracy nad podniesieniem kultury narodowej. Rozpierzchnione dotychczas dobre chęci, trafne pomysły pojedyn-

czych obywateli, pragniemy skupić i poprowadzić szeroką rzeką ku jaśniejszej przyszłości.

Zdanie to, wypowiedziane muzykalnie, odbiło się w oczach mówcy iskrą demoniczną, a jednak rzewną. Pan Apolinary był wzruszony. Mówca zaś, przychyłając się do pojęć mniej wyrobionych, jął coraz przystępniej, coraz dobrotliwiej tłumaczyć:

— Chcesz pan na przykład przeciwdziałać siłom wstecznym, nurtującym społeczeństwo i psującym nasze roboty..

— Masz pan komitet! — dokończył tryumfalnie Hyc.

— Masz pan... sposobność — poprawił cierpliwie Kotulski. — Poweźmiesz pan zamiar uświadomienia ludu okolicznego, zechcesz karczmę i wódkę zastąpić przez książkę i herbatę —

— Masz pan komitet! — ozwał się znowu pan Hyc.

— Chcesz pan wogóle wejść w porozumienie z włościanami co do wspólnie nas obchodzących reform...

— A to może — zaryzykował nieśmiało pan Apolinary — i co do układów o zamianę serwitutów?

Pan Kotulski skrzywił się, a towarzyszy jego wzruszył ramionami.

— To kwestya ekonomiczno-prawna, stojąca na dalszym planie. Ale może być kiedyś przed-

miotem naszych obrad. Dlaczego nie? Zajmiemy się nią później, gdy pilniejsze sprawy wprowadzimy w ruch należyty.

— Ach, dobrodzieje moi! — westchnął pan Budzisz — serwituty to dla ziemian taka klęska, że nie daj Boże gorszej.

— Wszystko w swoim czasie — mówił na zmianę pan Hyc — a obecnie zestrzelić w jedno ognisko wszelkie dążenia prywatne, skojarzyć stronnictwa, zaniechać szermierki na ochotnika, utworzyć natomiast społeczeństwo jedno, stokroć do pracy dzielniejsze — czyż to nie szczytne zadanie?

— W istocie — odrzekł Apolinary, przyciśnięty wymową.

Tu pan Kotulski, przybrawszy na się postać węża (dla społeczeństwa można to uczynić) jął kusić pana Apolinarego jeszcze jedną ponętą tego raję, do którego go zapraszał:

— A co pan myślisz, gdy przyjdą wybory do Wielkiej Rady?... Gdzie pan szukać będziesz orientacji co do kandydatur? Gdzie znajdziesz pan wskazówki, jak przeprowadzić najgodniejszych?

— W komitecie! — zawołał pan Hyc.

— W komitecie — potwierdził tym razem pan Kotulski.

Obaj mówcy na chwilę umilkli i utkwili w pana Apolinarego oczy, jakie kto posiadał: jeden uduchowione, drugi orle. Nowicyusz zaś otworzył usta, potem zanurzał po kilkakroć myślącą twarz

w podbródek i doszedł wreszcie do wniosku, że trzeba się tu z jakimś osobistym pomysłem odezwać. Wybrał pierwszy z brzegu:

— A to może, kiedy komitet jest... niby z wyborów i, jak mówicie, posiada zaufanie... możeby tych komitetowych machnąć i na posłów do Wielkiej Rady? co?

— Hm — odchrząknął pan Hyc po przełknięciu śliny — jest to pomysł...

I rzucił wymownie głową w kierunku od Budzisa do Kotulskiego, brwi podniósł, chcąc widocznie wyrazić przyjemne zdziwienie i przekazać towarzyszowi tę niemałą uwagę:

— Tęgi nasz nowy kolega? he?

Ale pan Kotulski nadzwyczaj uprzejmie i z niezwykłym ożywieniem podniósł obie ręce ku uszom i zaczął od nich odpędzać ponętny dźwięk słów pana Apolinarego:

— Ach nie, nie! to zawcześnie. Szanowny pan wyprzedzasz nasze... czyli raczej:... nasz program. Nie omieszkamy jednak przedstawić pańskiego zdania na najbliższym posiedzeniu. Tymczasem cicha praca kulturalna... Co nie przeszkadza mi zauważyć, że projekt pański połączenia obu zaszczytów w osobach raz już wybranych przedstawicieli, świadczy o bystrem wnikięciu w zasadę wyborczą i solidarność. To jedno możemy niemal gwarantować, że z łona naszego, a nie skądinąd, wyjdą posłowie do Wielkiej Rady. Każdy stowa-

rzyszony żywić może tę ambicję. A zwłaszcza tak wybitny, jak pan... Bo nie wątpię już, że zechcesz pan do nas przystąpić w charakterze delegata?... Należy się to krajowi od szanownego pana... A tu są niektóre publikacje — dla bliższego wniknięcia w nasz program.

Wydobywszy z kieszeni paczkę drukowanych świstków, dawał je kolejno panu Apolinaremu.

— To dla kolegi.

Apolinary uklonił się.

— To dla ludu.

Apolinary pokiwał protekcyjonalnie głową.

— To na przyszłość!

Apolinary przyjął do łona swego papier z namaszczeniem już niemal kapłańskim.

Rozmowa przybierała charakter poufny, koleżeński. Nowy adept czuł się coraz bardziej zrzeszonym, zsolidaryzowanym, powołanym. Chodziło już tylko o drobne szczegóły: o to, co właściwie w chwili obecnej czynić wypada. Te zaś instrukcje miały przyjść niebawem z Warszawy.

— Czy pocztą? — pytał rozpłomieniony Apolinary.

— Poczta otrzymasz kolega tylko zaproszenie na kawę. A ta kawa! — mówił pan Hyc, wznosząc tajemniczo palec wskazujący.

— Rozumiem.

Akt użyteczności publicznej był dokonany: pan

Budzisz przystąpił do Stowarzyszenia. Zaczem i dwaj działacze nie chcieli tu dłużej popasać. Komu w drogę... i to jeszcze w jaką drogę...

Nowoobрани pozostął znowu sam na przyzbie domu swego w atmosferze letniego wieczoru, ochłodzonej do stopnia orzeźwiającej ciało i umysł kąpieli. Marzył. Komu to w wiejskiem zaciszu coś podobnego się przytrafiło?...

Kraj pierwotny, niby prastary. Lato nowe, a takie jak przed wiekami. I strzechy jednakowe, jak najstarsi zapamiętają. I głosy rozbudzonej przyrody na odwieczną polską nutę. Głosy opowiadają legendę, wiążą się w znajome rymy... Nagle zajaśniało żywo w pamięci pana Apolinarego stare podanie, wcielone w strofy »śpiewu historycznego«. Oto dwaj aniołowie, w postaci podróżnych, nawiedzają Piastą, wołając go do wielkich przeznaczeń.

Cieni lepiankę jawór wiekui sty,

— Tutaj jest dwór i lipa — prawie to samo.

A na nim bocian gniazdo swe zakłada

— Bociana niema... to drobny szczegół.

Gdzie wielkie mnóstwo ciężko szukać zgody,

Na głośnych sporach czas upływa drogi...

— Znowu jakby dzisiaj pisane!

Zastanawiał Apolinarego dalsze analogie między podaniem o Piaście, a jego własną przygodą. Został obrany prawie z Bożej łaski... Piast równie

mętne musiał mieć zrazu pojęcie o rządzeniu krajem, jak on, Apolinary, o swoim nowem dostojenstwie.

Najgorzej jednak wypadło porównanie między dwoma aniołami, a dwoma podróżnymi, którzy tu niedawno odprawiali zwiastowanie. Gdy zniknęli tamci, zapewnia Niemcewicz:

Słodki się zapach w powietrzu rozchodził,
Jak woń fiołków po deszczu wilgotnym.

Urok zaś panów Kotulskiego i Hycy zmniejszał się w stosunku odwrotnym ich oddalania się od progów Apolinarego. Tutaj niedawno jeszcze byli kochani; gdy zacichł turkot ich bryczki — wydali się już dziwnymi; po upływie zaś godziny przedzierzgnęli się w zupełnie zagadkowe postacie.

— Dyabli ich wiedzą, co za jedni?!...

Nowy dygnitarz reasumował w pamięci szczegóły swej przygody... Zaszczycony został zaufaniem współziomków, ale jakichś współziomków, których przed sobą nie widział. Nie odnajdywał we wspomnieniach lubego gwaru wyborów, stugębnego krzyku braci szlachty: vivat pan Apolinary! górą nasz Apolinary! — Wybrał go... jakiś nieznajomy komitet, no i — Gawłowski z Pawłowskim..

— Żeby przynajmniej ktoś trzeci... żeby tak

pan Jan!... Oj, Janie, Janie! dlaczego cię niema przy tej robocie?

Z prawd kardynalnych, zasłyszanych od zwia-
stunów, utkwiała mu najmocniej w pamięci zasada
obowiązującej solidarności. Pan Apolinary nie lu-
dził się, że po staropolsku taka solidarność na-
zywa się posłuszeństwem. Dobrze i posłuszeństwo,
ale komu?... Nie wiedział nawet dokładnie, kto
zasiądzie, czy już zasiada w komitecie. Miał tylko
jakieś uporczywe, choć nie dość jasne wrażenie,
że ten komitet »wybrany z wybranych« istniał już
dawno przed wyborami...

— Dylemat, dobrodzieje moi!

Tu na szczęście przypomniał sobie, że do Sto-
warzyszenia należą, oprócz Hyców i Kotulskich,
ludzie inni, wielcy panowie, sławni mężowie, któ-
rych o niewłaściwą machinację posądzić nie mo-
żna. Ci zapewne są między kierownikami, a skoro
zaś są tacy, solidarność staje się lżejszą i przy-
jemniejszą.

Ten wzgląd uspokoił znacznie obywatelskie
sumienie pana Apolinarego.

Pierwszy zatem dzień swego niespodziewa-
nego dostojenstwa dokończył Apolinary w do-
statecznej równowadze i pogodzie ducha. Do po-
duszki przeczytał wszystkie otrzymane druki.

— Rzeczy piękne, wyborne, dobrodzieje moi.
Któżby tego nie chciał, mój Boże!... Jak wy
to tam przeprowadzicie — wasza głowa. Solida-

ryzuję się... solidaryzuję się rękami i nogami...
A gdy kiedy zaświta lepsza przyszłość... niech-że
wie potomność, że i ja... czem mogłem... rękami
i nogami...

Tu pan Apolinary zasnął snem twardym, oby-
watelskim.

DZIEŃ DRUGI.

Nie zdążył pan Apolinary oswoić się ze swym nowym charakterem reprezentacyjnym, nie zdążył jeszcze porozmawiać z panem Janem Rokszyckim (którego, jak na złość, znów jakaś sprawa robotników fabrycznych pognęła aż za granicę), gdy kraj powołał uprawnionego przez wybory przedstawiciela do Warszawy. Natychmiast! na drugi dzień po odebraniu wezwania obecność pana Budzisa w Warszawie na kawie (politycznej) u pana Gwiazdowskiego okazała się niezbędną. Tajemnica i solidarność!

— Niema rady — kraj woła. A no, poco czekać? Nadeszła pora rozwinięcia skrzydeł.

Nowy działacz przeciągnął ramiona, oczywiście nieupierzone, ale mimowolnie przy tym wykrzykniku nasuwające myśl o rozmiarach i kunsztownej budowie skrzydeł, które należałoby zastosować do tych ramion na wypadek, gdyby pan Apolinary istotnie gotował się do wzlotu.

Nie zwlekał zatem. Przywdział długi surdut, strój uroczysty, który nosił z wdziękiem zupełnie narodowym, bynajmniej nie angielskim. Pożegnał żonę Teklę zafrasowaną pośpiechem i tajemniczością wyjazdu; pożegnał syna Janka, baraszkującego oddawna w domu rodzicielskim z powodu bezrobocia szkół miejskich — i wyruszył na stację kolei żelaznej.

Tam spotkał oczekujących na pociąg Gawłowskiego i Pawłowskiego. Powitał ich uprzejmie, jako swych wyborców, zdalnych może i na przyszłość, ale gdy się dowiedział, że jadą do Warszawy, wezwani na kawę do pana Gwiazdowskiego, osowił nieco, urażony pewną równoległością swych przeznaczeń do losu tych drobniejszych sąsiadów, dobrych ludzi, to prawda, ale do polityki — żał się Boże!

Hołdując jednak zasadzie solidarności zwyczajnej (w odróżnieniu od solidarności radykalnej, wynalezionej przez twórców Stowarzyszenia) usadowił się z sąsiadami w jednym przedziale wagonu i zajął tylko lepsze miejsce przy oknie, zwrócony twarzą do lokomotywy. Wyborcy nie myśleli nawet zazdrościć tego miejsca swemu elektowi.

— Jakżeż! panie delegacie! należy się z urzędu.

Ale chcieli go zato wybadać co do przedmiotu i celu zebrania, na które jechali pospołu,

gdyż byli pod tym względem, krótko mówiąc, jak tabaka w rogu. Łaknęli zaś światła.

— Czy sąsiad-delegat znasz osobiście Gwiazdowskiego?

— Któżby go nie znał!

Oczywiście, ktokolwiek miał w rękę choć jeden rocznik polskiego pisma ilustrowanego, musiał znać lwią głowę naszego filozofa i matematyka, archeologa i poety, które to wszystkie charaktery skupiał w sobie, na podobieństwo Lionarda da Vinci lub Michała-Anioła, Joachim Sternstein-Gwiazdowski. Musiał znać choćby jeden wynalazek mistrza w dziedzinie nauk ścisłych lub oglądać przynajmniej w księgarniach liczne dzieła jego, cenione bardziej przez specjalistów, niż przez publiczność. Powinien był nawet słyszeć, że powstała już sprzeczka międzynarodowa o niemieckie lub polskie pochodzenie Sternsteina-Gwiazdowskiego, którą sam mistrz rozstrzygnął na korzyść naszą, drukując swe dzieła najprzód po polsku, z uszczerbkiem pieniężnym, a może też przeczuwając, że nigdzie na świecie nie będzie mu cieplej i sławniej, niż w Polsce. Lepiej obeznany z działalnością tego męża wiedziałby nadto, że Gwiazdowski zaniedbał ostatnimi czasy oczekiwaną swą pracę o drogach handlowych Greków i Rzymian przez ziemie słowiańskie, a przerzucił się do polityki bieżącej i w tej materii ogłosił już kilka odezwn, nacechowanych uniwersalnością. Z powodu zaś

rzadkości i zapotrzebowania powag przez cały kraj uznawanych i, rzec można, symbolicznych, Gwiazdowskiego chwytały przemocą ludzie rozmaitych barw społecznych, potrząsając nim jak buńczukiem hetmańskim, lub używając go za zwornik sklepienny do neo-gotyckich pałaców budowanych na łodzie.

Pan Apolinary nie przestudował jeszcze wszystkich arkanów polityki wewnętrznej. Był tylko przekonany o wyższości umysłu Gwiazdowskiego i o jego uzdolnieniu w każdym kierunku, nie wyłączając polityki. O machinacyach, niewinnych zresztą, wysuwania polskiego uczonego na czoło pionierskich robót różnego gatunku, słabo był powiadomiony. Gwiazdowskiego zaś nie znał osobiście. Dlatego też poprzestał na krótkiej odpowiedzi dyplomatycznej:

— Któżby go nie znał!

Jednak pomniejsi sąsiedzi, podróżujący z panem delegatem, radziby czegoś się dowiedzieli o zebraniu, na które jechali. Gawłowski, który o posiedzeniach miał niejakię pojęcie, zagadnął nieśmiało:

— A czy sąsiadowi niewiadomo, jaki tam będzie porządek dzienny?

Pan Apolinary uczuł potrzebę otoczenia się obłokiem.

— O porządku dziennym dowiemy się na miejscu. Będzie tam głównie jedna sprawa wiel-

klej doniosłości i pilnej potrzeby. Co do tych rzeczy obowiązuje nas wszystkich zasada absolutnej solidarności. Pamiętacie, dobrodzieje moi?

— A jakże! a jakże!

Pan Apolinary przejmował się już rolą i tonem wyższego chóru przedstawicielskiego. Tajemniczość zaś była mu tem bardziej na rękę, że sam wiedział nie wiele więcej, niż to, co po krótkce ogłosił rodakom, dążącym do wspólnego celu.

Otrzymał wprawdzie, razem z wezwaniem, jakąś kartę drukowaną — projekt nie projekt, odezwę nie odezwę?... Rzecz była tak pięknie i śmiało napisana, że przejęła zapałem czytelnika. Nareszcie coś napisanego z siłą i godnością! Ale do kogo? w jakim celu? — tego nie podejmował się rozstrzygnąć przed zasięgnięciem światła od kolegów centralnych. Pokazał więc tylko z daleka sąsiadom papier, dobyty z pugilaresu, potem zaś go schował, pomimo nalegań.

— Nie mogę, dobrodzieje kochani. Powierzono mi w zaufaniu. Ale ja nie wiem.... to jest: nie wiemy jeszcze, czy komitet czego nie zmieni w ostatniej chwili.

Rozmowa ograniczyła się zatem do zwykłej sąsiedzkiej o kłopotach i sperandach gospodarskich. Żywe ilustracje do tej prastarej gawędy mieniły się malowanym w pasy wachlarzem przed oknami wagonu. Mijały zielone i płowe łąny zbóż,

radujących oczy urodzajem; przesuwaly się mokre łąki z olszynką i smutne, jałowe karczunki; to błysnął folwark ocieniony, to znów szczątek starszego lasu. A słońce świeciło tak obiecująco nowym porostem starej ziemi, że, zdawało się, wyłoni z niej w tym roku, obfitym w zboża i wypadki, więcej, niż kiedykolwiek bogactwa i otuchy na przyszłość.

Podróż była niedługa. Pan Apolinary, usadowiony na najlepszym do obserwacji posterunku, spostrzegł pierwszy na widnokręgu ciężką kuzawę, wiszącą nad wielkim miastem, potem komin, potem wieże warszawskie. Niecierpliwy dreszcz dojazdu udzielił się podróżnym, połączony tym razem z ciekawością, niepozabawioną obawą. Dzienniki bowiem pełne były sensacyjnych, choć nie krytycznych, wzmianek o bezrobociach, ruchach i represjach.

Ogólnemu nastrojowi pierwszy dał wyraz Pawłowski, człek niepokaźny, chuderlawy i szczerzy:

— Dawno nie byłem... Czy już tam bezpiecznie w Warszawie?

- Pan Apolinary, bardziej rycerskiego animuszu, uspakajał solennie słabnącego towarzysza:

— Ależ, dobrodzieju mój! Od czegoż my jesteśmy? Wszystko urządzone, wszystkie stronnictwa kojarzą się z nami. A co się nie skojarzyło dotąd, to przyjdzie, przyjdzie... Nie może być inaczej.

Dworzec kolejowy miał pozór jeszcze mniej gościnny, niż zazwyczaj. Panowała tu dzisiaj dziwna ospałość; nikt nie rzucił się do wagonu po ręczne [manatki. Aż pan Apolinary, poznając tragarza, krzyknął niecierpliwie przez otwarte okno:

— A cóż u licha, Stanisławie, ruszycie się?! Obżarł się skurczybyk i przytomność stracił!

Stanisław ruszył się wprawdzie po kuferek, z niskim ukłonem, ale miał minę mocno zafra-sowaną.

— Jaśnie pan do »Saskiego«?

— A gdzieżby?

— Tylko, że dzisiaj trudno będzie... Doróżki nie przyjechały.

— Doróżki?! — cóż to u was Wielkanoc? czy co?

Stanisław blado się uśmiechnął:

• — He, he... proszę jaśnie pana. Kazali im znowu sztrajkować.

— Kto kazał?!

— Ich tam jakieś »naczalstwo«.

— A niech ich... — chciał przekląć pan Apolinary, ale się pomiarkował, zwłaszcza, że na peronie stał, nieruchomy jak posąg, żandarm kolejowy, a około pociągu kręciło się kilka postaci odartych, głodnych i zuchwałych, należących może także do jakiejś władzy wykonawczej.

Nie było innej rady, jak wziąć kuferki do rąk

i taki niepyszny czynić ingres piechotą do »urządzonej« Warszawy.

Klnąc i sapiąc postępował objuczony pan Apolinary. Obok szedł Gawłowski z niemą rezygnacją, Pawłowski zaś winszował sobie ustawicznie, że nie uległ namowom żony, która mu radziła wziąć w podróż większy kufer na pomieszczenie sprawunków. Byłaby z tem robota, no, no!

— A dajże sąsiad pokój z większym kufrem, skoro dźwigasz mniejszy! I z tymi dość biedy — oburknął się pan Apolinary.

Dopiero o dobre pół wiorsty od dworca wynurzyła się z bocznej ulicy krzywa doróżka jednokonna, powożona przez woźnicę bez liberyi. Trzej podróżni niemal przemocą opanowali wehikuł i usadowili się w nim ze względną wygodą na przejazd do hotelu. Po drodze spotkali zaledwie kilka wozów, bryczkę pocztową i parę jeszcze nędznych furmanek typu dorózek, ale bez oznak służby publicznej. Większa część sklepów i mieszkań parterowych miała zamknięte drzwi i okiennice. Po chodnikach włóczyły się kupy złowrogie oberwańców i niedorostków; środkiem zaś ulic podzwaniały niepokojąco podkowy konnych patroli. Dopiero śródmieście okazało się weselszem, choć nadzwyczaj mało ruchliwem. I zniżone słońce świeciło spokojniej nad okazalszym grodem, dodając otuchy.

Pan Budzisz spojrzał na towarzyszków: Ga-

«łowski był ponury, a Pawłowski po prostu zielony od strachu. I sam pan delegat nie mógł powściągnąć głośnego westchnienia:

— Dużo jeszcze, dużo jest do roboty w polityce wewnętrznej!

Zaraz po przyjeździe do hotelu dowiedział się pan Apolinary nietylko o adresie Gwiazdowskiego, ale i o miejscu schadzki głównych stowarzyszonych (delegatów) na śniadanie, dla narady wstępnej. Nie potrzebował pytać, zastał okólnik pod swoim adresem. Mocno go to uradowało.

— Jest wprawdzie trochę jeszcze nieporządku w społeczeństwie, ale »nasi« jak się zwijają, jak pamiętają o wszystkim! ho, ho! co za organizacya!

Długo nie mógł zasnąć. Układał w myśli różne przemowy: jedno na jutro, do rodaków, którym okazać należało, że pochodzi się, dobrodziej mój, z rasy nietylko rycerskiej, lecz i parlamentarnej. Drugie szkicował trudniej, w języku państwowym, na wypadek gdyby doświadczone już zaufanie współziomków powołać go miało do Wielkiej Rady. Wszystko być może. Z językiem państwowym był nieźle obeznany: niejedną już napisał własnoręcznie »bumagę« do powiatu; raz nawet upił się w klubie oficerskim i przez całą noc rozmawiał z oficerami, aż grzmiało. Roił, kombinował, a w pół-śnie składało się wszystko łatwiej: obejmował całokształty, ogarniał nieprzejrzane wi-

dnokręgi. Nareszcie zasnął tak twardo nad ranem, że omal nie przespał godziny, wyznaczonej na śniadanie.

Zerwał się, ubrał w uroczysty surdut i poszedł nawet do fryzjera, aby kunsztownie ułożyć przedzone włosy. Przedstawiciel winien dbać i o postać zewnętrzną, której okazałość niepoślednim jest czynnikiem przy działaniu na tłumy. Apolinary zaś coraz wyraźniejsze miał przecucie, że pisano mu w przyszłości — działać na tłumy.

W osobnej, zamkniętej dla niepowołanych, sali restauracyjnej zebrało się już liczne grono przedstawicieli. Twarze poważne, nader rozmaite; długie, czarne, jednostajne chomąta społeczne. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że ci panowie jedzą i piją; na drugi — wzrok najmniej postrzegawczy stwierdziłby, że zasiada tu starszyczna i radzi. Gdy kto nawet rozstrzygał proste pytanie: »barszcz albo konsoma?« — widać było, że nie odzywa się zwyczajny gość restauracyjny, lecz personat, żywiący się nie tylko chlebem.

Mniemał Cyneasz królów w majestacie,
Kiedy na rzymskie patrzył senatory,
Twój to jest obraz, zacny delegacie,
Wasz, bakatarze kraju, redaktory...

Niema już panegirystów! Trzeba sięgać aż do

Krasickiego i cytaty przerabiać dla potrzeb chwili obecnej!

Gdy wszedł pan Apolinary, nieco spóźniony i rzucił okiem po sali, ogarnęła go chwilowa bezradność, gdzie usiąść, do jakiego stołu, do jakiej grupy się przyłączyć? Poznawał kilka twarzy, ale każda była odęta taką uroczystością, że ani przystąpił ze zwykłym powitaniem: »jakże się miewasz! Kopę lat!...« Pan Apolinary poczuł gorąco w karku i za uszami; stał i gładził czuprynę, psując nieopatrznie świeże dzieło fryzjera. Wtem z gęsto zwartej kupy głów podłysiałych podniosła się ujmująca, choć bolesna postać pana Kotulskiego i podążyła ku nowo-przybytemu delegatowi. Ujął go za ręce, spojrzał mu głęboko w oczy, jakby chciał wyrazić:

— Ten ci jest syn mój najmilszy, w którym sobie upodobałem.

W istocie zaś przedstawił delegata Budziszę cyrkularnie i posadził go przy stole, w promieniu swojej wymowy.

Pan Apolinary miał wenę: znalazł się obok dawnego znajomego, pana Zimnickiego, delegata z sąsiedniego powiatu. Było to już pewnem oparciem. A że dojrzał w ręku przeważnej liczby biesiadników papier jednobrzmiący z otrzymanym wczoraj na wsi, dobył poważnie swój egzemplarz z pugilaresu i rozłożył przed sobą na próżnym

talerzu. Tak się zapamiętał w odczytywaniu, że aż Zimnicki trącił go:

— Jadłeś już kolega śniadanie?

— A prawda — nie. Dajcie mi tam cokolwiek.

Zwrócił się do sterczącej nieopodał postaci, ale zauważywszy, że nosi długi surdut, strój przez służbę restauracyjną nieużywany, mniemał, że się omylił.

— Przepraszam... kolegę. Szukam służącego.

Pan Kotulski uśmiechnął się bez ironii, owszem przychylnie, i wytłómaczył:

— Służbę mamy dzisiaj inną, zaufaną. A śniadanie zamówiliśmy jedno dla wszystkich: bigos po polsku — bifszyk po angielsku. Menu parlamentarne. Czy dobrze?

— Wszystko mi jedno — odrzekł pan Budzisz.

A w duchu pomyślał:

— Co za organizacya!

Nie poznawano pana Apolinarego. On, który do niedawna uchodził za smakosza, wybierał długo zakąski po wódce, lubił rozprawiać o podsmażaniu i sosikach, określał temperaturę piwa i t. d. Teraz — zapomniał nawet o wódce, zbywał paru słowami kwestyę śniadania dla wyższych celów społecznych. Urósł istotnie na służbie publicznej.

Pan Kotulski był już w połowie swej przemowy przygotowawczej do wielkiej akcji, którą za parę godzin mieli obecni sankcyonować solidarnie swymi podpisami w mieszkaniu Gwiazdow-

skiego. Zrazu pan Apolinary nie mógł nic zrozumieć.

— Ten program sformułować już dzisiaj, a jego artykuły postawić jako niewzruszone narodowe Credo jest sprawą najpilniejszą, podwaliną całej budowy przyszłości.

— A jeżeli nie będzie kongresu? — zagadnął jakiś niewierny, może tylko niedouczonego Tomasz.

— Ze wszelkich konjunktur i wiadomości zdaje się wynikać, że taki kongres musi przyjść do skutku. A wtedy nasi przedstawiciele na kongresie — jacykolwiekby byli — będą mieli zasadę operacyjną niewzruszoną, bo zbudowaną na zdaniu całego społeczeństwa, wyrażonem przez akt, który dzisiaj mamy podpisać.

— Tak, to prawda. Jeżeli jednak wypadki historyczne, od nas wcale niezależne, inaczej się rozwiną, niż to przewidujemy, jeżeli nie będzie kongresu pacyfikacyjnego, naco my dzisiaj formułujemy i ogłaszamy program? — oponował uporczywie wyżej wspomniany Tomasz.

— I w takim nawet wypadku akt dzisiejszy pozostanie dokumentem najwyższej doniosłości; co mówię? — czynem politycznym najwyższej ceny. Essencya naszych zbiorowych pragnień, sformułowana przez wybrańców narodu, złożona zostanie do jednej z naszych skarbnic duchowych i stamtąd promieniować będzie naszemu i przyszłym pokoleniom. Jako autentycznego źródła

światła użyć jej będzie mocen każdy prawy przedstawiciel narodu, na wszelką okazję, kongres czy nie kongres, na jasną czy na chmurną przyszłość.

Pan Kotulski mówił z niezwykłym ferworem: zdawał się bronić swego ukochanego, najbardziej rodzzonego pomysłu.

A pan Budzisz zwrócił się cicho do sąsiada Zimnickiego:

— Ale jaki kongres? — bo nie słyszałem od początku.

— Ma być podobno kongres europejski po ukończeniu wojny. Zdaje się, że znowu w Wiedniu.

Pan Apolinary oniemiał.

Więc ten papierek, który nosił w kieszeni, jest programem na kongres europejski??... Dokąd my się wznosimy! Dokąd on sam, Apolinary, dolata, niesiony przez potężne Stowarzyszenie!... To nie faramuszkę — kongres!

Gwar w sali się wzmacniał, bo i od innych stołów dolatywały podniecone dyskusją głosy:

— Poco się wyrywać z programem? Wiedzmy, czego pragniemy, a mówmy to tylko, co na razie potrzebne — mówił jeden.

— Program źle sformułowany. Do jednego użytku za mało, do drugiego za wiele — przekładał drugi.

— A cóżbyś pan zmienił? pytał trzeci.

— Tę trzeba przedyskutować regularnie.

— Przepraszam! — zawołał pan Kotulski, po-

wstając. — O redakcyi aktu niema dyskusyi. Redagował go komitet po długim i mozolnym namyśle. Obowiązująca u nas zasada absolutnej solidarności z działaniami komitetu pozostawia jedną tylko alternatywę: akt podpisać lub nie podpisać.

— To chyba dyktatura, a nie solidarność?! — zawołał porywczo jeden pan żółciowy, który dotychczas gryzł nerwowo kromkę chleba, po śniadaniu, czując potrzebę gryzienia.

Wtem z rogu sali ozwał się potężny głos tribuna. Pan Hyc, na czele kilkunastu włościan w kapotach odświętnych, wszedł właśnie na zebranie.

— Panowie! — zagrzmał. — Pierwszy akt siły, pierwszy błysk jasnej myśli narodowej, trafiłby jeszcze między nami na zamglone pojęcia, na kunktatorskie ociąganie się — ba — nawet na veto, podane w ohydę pokoleń? Nie wierzę temu. Nie, panowie. Zrzeszyliśmy się nie dla pustych rozpraw, lecz dla sprawnej oryentacyi w tytanicznym pędzie wypadków, dla szybkiego, zbiorowego czynu. Wola narodu jest w nas i z nami!

Ozwały się oklaski i wołania: bravo! ten to prawil! Wszystkie nieme dotychczas oblicza ożyły, a była ich przeważna liczba. Oblicza zaś oponentów zbladły i wykrzywiły się. Mówca nie skłonił głowy przed aprobacją ogółu, służył bowiem sprawie, nie ludziom. Tak zakończył:

— Zrzeszony, zsolidaryzowany w osobach swych wybrańców naród uchwalił akt, który nie-

bawem podpiszemy. Nie ociągajmy się. Dostojny mistrz oczekuje na nas. Jego to dłoni sądzono dzisiaj policzyć głowy wiernych synów tej ziemi!

Ruszono z miejsc tłumnie. Nawet niewierny Tomasz, skruszony płomienistym przemówieniem o solidarności, abdykował i okazał gotowość pójść za kupą. Tylko ów pan żółciowy powstał i poprosił o głos:

— Pozwalam sobie tuszyć, że wiernym i starszym od wielu synem tej ziemi, a jednak głowy mojej nikt nie nagnie do takiej lub owakiej akcji, póki ta głowa do tejże akcji przez namysł i sumienie własne nie zostanie przekonana. Widzę, że śpieszno panom, aż nadto. Nie wdaję się więc w roztrząsanie potrzeby i stosowności proponowanego aktu. Oświadczam się tylko stanowczo przeciwko ryczałtowemu głosowaniu przez tak lub nie w materyach więcej niż wątpliwych. Z tej wychodząc zasady, rzeczzonego aktu nie podpiszę.

Skłonił się lekko i pierwszy opuścił salę. Za nim wyniosło się chyłkiem kilku cichych stronników.

Pan Hyc pokiwał wymownie głową:

— Muszą być i tacy!

W ogólnym gwarze mało kto zwrócił uwagę na pana Apolinarego. A przecież godzien był podziwu. Skoczywszy pierwszy do drzwi, wznosił prawicę, w której kurczowo zaciśniętych palcach

zdawał się trzymać drzewiec idealnego sztandaru i wołał głosem nieswoim:

— Za mną, panowie bracia! Kraj ma oczy na nas zwrócone! kraj nas powołuje! niech żyje solidarność!

Ale pan Kotulski dopadł do drzwi jeszcze zamkniętych i jął moderować zapaly:

— Panowie! panowie! spokojnie... Czasy są przejściowe i nic jeszcze się nie dokonało. Nie narażajmy osób naszych, ani osoby mistrza. Bez processyi, panowie! Udajmy się do mieszkania Gwiazdowskiego pojedynczo, najwyżej parami. Wszak tam już tylko chodzi o podpisy... A więc rozerwanym szeregiem, różnemi ulicami...

Tak studził zbytni ferwor pan Kotulski i znalazł posłuch u zgromadzonych.

Pan Apolinary, czując szum w głowie, niby po libacyach, poszedł samotny przez ulice, sapiąc i rojąc podniośle. W tem usposobieniu doszedł do mieszkania Gwiazdowskiego.

.

Jakże opisać stan duszy pana Apolinarego, gdy po parugodzinnem czytaniu i podpisywaniu, opuszczał progi dostojnego mistrza, utwierdzony w przekonaniach, uskrzydłony do działań?...

Wspominał.

W pokojach dużo ksiąg, parę portretów. Meble proste, tyle tylko, ile potrzeba dla pomieszczenia dużej biblioteki i dużej osoby mistrza. ...Tłum był

ogromny. Oprócz delegatów kilkaset osób stowarzyszonych. Przyciszone głosy zsolidaryzowanego ostatecznie grona, i miernie podniesiony głos kolegi Kotulskiego, który wykladał znaczenie aktu młodszego braci (nie-delegatom). Mówił chyba przez cały czas?... tak — Apolinary nie przypominał sobie ani chwili bez szmeru tej nieustającej retorycznej fontanny... Mąż pełen poświęcenia! A podpisywanie aktu szło ciągle swoim porządkiem. Najprzód my, wtajemniczeni: potem nowoprzekonani, jeden za drugim, lub gromadkami. Coraz to kogoś ruszyło do aktu... I tak do końca. Akt spisany na pięknym papierze, może na pergaminie?... Nic dziwnego, skoro ma pójść, jak ten mówi, do jakiegoś muzeum. I on tam pośród nich, Apolinary Budzisz... Będzie oglądał kiedyś mój Janek, a może i prawnuki?...

— A Gwiazdowski! co za powaga i spokój! Nie słyszałem wprawdzie jego głosu. Może był zmęczony? Mówią, że gdy raz spojrzy uważnie na kogo, zna na wylot jego myśli. Taki człowiek!

Przypomniat jednak pan Apolinary, że i na zebraniu i w podpisach brakło niektórych znacznych osób, nawet z góry zapowiedzianych.

— Nic to — pomyślał — przyłączą się później.

Gdy wchodził już do hotelu, przerwała mu nastroj pospolitsza rzeczywistość, a zwłaszcza wesoła napaść Gawłowskiego z Pawłowskim. Obaj

sąsiedzi, podpisani na akcie, przeniknięci do szpiku zasadami Stowarzyszenia, w podniesionej temperaturze duchowej, wydali się panu Apolinaremu nie-smacznymi. Proponowali nadto swemu delegatowi, aby wieczorek razem spędzić — i zacierali rozkosznie ręce.

— Nie mogę, dobrodzieje moi. Jestem wieczorem u pana Kotulskiego. Narada specjalna dla delegatów.

Dał odprawę zbytnej poufałości i wzbił się tymczasem na piętro hotelowe.

W istocie pan Apolinary był zaproszony na wieczór do pana Kotulskiego i cieszył się tą perspektywą, mając nadzieję otrzymać poufne instrukcje, może osiąść jakieś niewyjawione dotychczas tajemnice? Spodziewał się też uporządkować sobie w świadomości rozmaite, a tak olbrzymie cele Stowarzyszenia, że głowa po prostu pękała od ich różnolitego ogromu. Przed kilku dniami — praca kulturalna. Wkrótce potem ambitna ponęta Wielkiej Rady. Dzisiaj — kongres! Masz babo redutę!

Niezupełne, chociaż cenne, otrzymał objaśnienia od pana Kotulskiego, który w tym dniu pamiętnym mówił przez dwanaście godzin z rzędu, od południa do północy — i nie ochrypl.

Z objaśnień tego, »co już uczyniliśmy«, zapamiętał pan Apolinary następujące punkty wytyczne:

1. Zrzeszyliśmy cały niemal naród. Mamy komitet.

2. Ustanowiliśmy zasadę bezwzględnej solidarności z komitetem.

3. Stworzyliśmy społeczeństwo gotowe w jednym dniu dokonać czynów najtrudniejszych, na zawołanie komitetu.

4. Jaskrawym tego dowodem, że sformułowaliśmy dzisiaj trwale ideały nasze, na wszelki wypadek, tymczasem zaś do użytku komitetu.

5. Możemy nadal sterować sprawami krajowymi, wywoływać wszelkie pożądane przewroty w społeczeństwie — za pomocą komitetu.

— Ale delegat, albo i prosty stowarzyszony co ma czynić u siebie i od siebie? — bardzo roztropnie badał pan Apolinary.

Odpowiedź nie mogła być kategoryczna.

— Jeszcze kojarzyć, jeszcze zgarniać maruderów do wspólnego sztandaru, jeszcze bardziej uświadamiać niechętnych i maluczkich co do konieczności zrzeszenia się...

— A co do tych... wyborów do Wielkiej Rady?

— Cóż do akcji wyborczej i kandydatur komitet ogłosi wkrótce dokładny okólnik.

— Dobrze — pomyślał pan Apolinary — więc na to trzeba poczekać. A szkoda! bo to zajmujące.

Głośno zaś zapytał:

— Cóż ja mam naprzykład robić po przyjeździe do domu?

— Działać w duchu Stowarzyszenia. Jak zaś? —

to pozostawione jest waszej inicjatywie. Jeździć, zjednywać, notować objawy i postępy... Możesz pan wreszcie budować szkołę, ochronę, szpital...

— To wiem, to mogę i bez Stowarzyszenia. Rokszycki dość się tego nabudował, a przecie do nas nie należy.

— Można robić wszystko — dokończył Kotulski — byle w duchu naszym.

Taka instrukcja nie zupełnie zadowoliła pana Apolinarego. Czuł zwłaszcza dotkliwie opadnięcie poziomu swojej działalności za powrotem na wieś. Dzisiaj podpisał program na kongres mocarstw — dzisiaj żył. Ale jutro?... Nawet wyborami do Wielkiej Rady zajmować mu się nie wolno, aż do wydania bliższych wskazówek... Pozostaje tylko praca kulturalna, to, od czego się niby rozpoczęło... Praca kulturalna?... to dla drobniejszych ludzi.

Pan Apolinary skrzywił się nieznacznie i spochmurniał, jak zasłużony już na wojnie pułkownik, gdy mu powierzają dowództwo załogi pomniejszej miejsciny.

Pan Kotulski zauważył może ten czasowy odlot »naszego ducha« od istoty duchowej nowego delegata, więc przy pożegnaniu dodał takiego bodźca:

— Nie zapominajmy, że okazana teraz miara gorliwości obywatelskiej da normę przyszłych kandydatur poselskich i innych.

Pan Apolinary rozwinął znowu skrzydła — i pojechał do domu. Dłuższy pobyt w Warszawie

nie był nawet delegatom zalecony przez komitet, ze względu na niedostateczne jeszcze »urządzenie« miasta, oraz z powodu, że po użyciu siły kilkuset koni do zatoczenia takiej maszyny, jak akt dzisiejszy, siła pociągowa obywatelska pozostawała na razie bez przeznaczenia. Doradzono więc, zwłaszcza wieśniakom, powracać do siebie na trawę.

DZIEŃ TRZECI.

Nikt nie zaprzeczy, że praca kulturalna wygodna, bez wysiłków nieprzyjemnych, bez nadmiernego nakładu pomysłów i pieniędzy, jest funkcją obywatelską, pełną wewnętrznej słodyczy. Z tych względów lepiej ją sprawować na wsi, niż w mieście; w lecie, a nie w zimie; nie w zamkniętych biurach i gabinetach, lecz na świeżem powietrzu. Działanie na lud, połączone z przechadzką po wsi, w jakiś wieczór świąteczny, pośród wyszywanych sukman mężczyzn i sznurówek dziewczyn, dyszących świeżością grządy i polnego kwiecia — jest zajęciem niemal idyllicznem. Działanie na współobywateli, zasadzające się na objeździe sąsiedzkim, w wygodnym koczu i przy sprzyjającej pogodzie — jest również zabawą obywatelską pełną podniosłych wzruszeń.

Tę ostatnią formę pracy kulturalnej, obrał sobie po namyśle pan Apolinary.

Po przyjeździe z Warszawy i ochłonięciu z upojenia wielką polityką, ujrzał się bowiem pan de-

legat zmuszonym do osobistego wyboru jakiegoś działania w duchu Stowarzyszenia, wobec luźno przez komitet naszkicowanej dyrektywy.

— Skojarzę resztę mego powiatu, niech ich kule biją! — postanowił sobie i niebawem rozpoczął swą missyę.

O takiej missyi miał przynajmniej niejaki wyobrażenie ze świeżego przykładu, doświadczonego na własnej osobie; pamiętał sporo zdań wytycznych, poznał niektóre sposoby i obroty apostołskie; był też napojony gorliwością prozelity, zaczerpniętą z centralnych źródeł warszawskich. Trudności jednak przewidywał nie małe. Pierwsza — to niewiadomość listy imiennej stowarzyszonych.

— Ogarniamy już prawie kraj cały... ba! tak się to mówi, ale ja wiem napewno dopiero o Gawłowskim i Pawłowskim w moim powiecie. Pan Jan nie należy... o innych nie mam wyobrażenia.

Następującą więc wykoncypował taktykę. Pojedzie do znaczniejszych sąsiadów i z rozpoczęcia rozmowy wymiarkuje, czy sąsiad jest lub nie jest stowarzyszony. W pierwszym wypadku podzieli się z nim wrażeniami z Warszawy (akcja utwierdzająca w wierze, uczta wiernych, — agape); w drugim — postara się pozyskać nowego adepta (akcja apostołska właściwa). Przysporzenie kilku członków będzie zasługą, która nie omieszka ściągnąć oczu kraju na gorliwego delegata, a że kraj miał już poprzednio oczy na niego zwrócone,

obecnie... No, zobaczymy listę kandydatów do Wielkiej Rady.

Pośpiesznie załatwił najpilniejsze sprawy domowe. Gospodarstwo, spoczywające już od roku w ręku ekonoma, szło jak młocarnia dawno nie-regulowana, z podrygami i kołataniem. Nie było czasu dojrzeć i naprawić. Trudno — służba publiczna! Urodzaj tegoroczny powetuje niedokładności dozoru. — Ale były i inne pilne sprawy domowe.

Przed tygodniem przyjechał nauczyciel do Janka, pan Demel, młodzieniec zaledwie pełnoletni, a już wielce uczony. Cała rodzina oczekiwała z upragnieniem tego przyjazdu, bo Janek opuściwszy z konieczności piątą klasę gimnazjalną, kształcił się już od pół roku samodzielnie w domu rodzicielskim, jak Bóg dał. Z początku wziął się żarliwie do nauki z nowych podręczników, ale, przywykły do feruły szkolnej, nie mógł sobie dać rady bez nauczyciela, coraz bardziej zniechęcał się; wreszcie począł tęsknić nawet za tą szkołą, którą skądinąd krytykował — za nauką obowiązkową i wspartą żywym słowem, za emulacją koleżeńską. Coraz mniej pracował i nudził się na wsi. W osobie pana Demla chciał znaleźć teraz kierownika i towarzysza, przyjął go z dziecięcym zapalem. Ale pan Demel nie bardzo okazał się przystepnym dla serdecznej poufałości, zamykał się raczej w swym charakterze profesorskim. Wymó-

wił też sobie solennie pół dnia wolnego na osobiste, samotne studia.

Pan Apolinary uznawał potrzebę bliższego wniknięcia w metodę pana Demla oraz objawienia mu życzeń i wskazówek co do wychowania Janka. Ale nie łatwa była ta sprawa, bo pan Demel nosił w swej głowie filozofa, pokrytej rudymi włosami, taki arsenał nomenklatur imponujący, że pan Apolinary, będąc ze starej szkoły i raczej praktykiem, niż teoretykiem, bał się zapuszczać z młodym uczonym w rozmowy ściśle naukowe. Przysięgł więc trochę inspekcji nad wychowaniem Janka na żonę swą, której ufał.

— Tekluniu — mówił przed wyjazdem — musisz teraz w dwójnasób czuwać nad domem. Demla mi przeniknij — rozumiesz? czy on czasem nie jest z tych, co to w Boga nie wierzą, a od dyabła nauczyli się socjologii, Darwina i różnych tam... rozumiesz?

Pani Tekla odpowiedziała, zafrasowana:

— Mam oko na wszystko, ale co do nauk trudno mi sprawdzić. Tylko już wiem, że pan Demel nie chce jeździć z nami do kościoła.

— Patrzcie go — filozof... Ale religię wymówiłem sobie: Demel o religii nie ma gadać dziecku ani dudu. I przecie Janek ma już wpojone zasady? co? Chłopak przecie bogobojny?

— Nawet pobożny. Tylko z tą nową nauką...? Najlepiej sam go zawołaj i zapytaj, czego się uczy.

Natychmiast to uczyniono.

— Od czego zaczęliście lekcye z panem Demlem, mój chłopcze?

— Od fizjologii, proszę tatki, i od pochodzenia człowieka.

Pan Apolinary zaperzył się. Jest! — pomyślał — wjechał mu już do głowy Darwin z małpą!

— Więc niby od kogoż to mamy pochodzić, ja i ty, na przykład?

— Ja pochodzę od tatki, tatko od swego ojca i tak dalej. Ale wszyscy my pochodzimy od protoplasmy.

— Masz tobie! — trzepnął się po udach pan Apolinary i zwrócił się z niemem pożałowaniem do żony.

Znowu rzekł do syna:

— A glina gdzie? Zapomniałeś, że Pan Bóg ulepił pierwszego człowieka z gliny?

— Glina może się dzisiaj nazywać protoplasmą — odparł roztropny Janek.

— A! to co innego... tak mi więc gadaj! Kaptaplazma czy protoplazma — to wolno. Tylko mi nie zapomnij, synku, o religii ojców twych i twojej. Jednego cię mamy, nie uczynisz nam wstydu.

Przygarnął syna, potem pocałowała go matka, i na tem rozrzwinięciu poprzestano tymczasem

dla zabezpieczenia chłopca od błędów nowej nauki. Gdy małżeństwo pozostało sam na sam, rzekł Apolinary do żony:

— Pocziwe nasze chłopczyko; nie da się tak łatwo na ich wiarę przekabacić. Ale zawsze, Tekluniu, miej oko na Demla, bo ja... muszę wyjechać. Kraj woła.

— Cóż robić! muszę sama... Janek mi zresztą powtarza wszystko. Dzisiaj mi koniecznie chciał pokazać abemy.

— Abemy? co za lichy?

— Jakieś maleńkie stworzonka. Patrzą na nie przez mikroskop. Ale naco to potrzebne, nie wiem.

— Może do egzaminów? — rzekł Apolinary — teraz egzamina trudne, Tekluniu, nie masz pojęcia. Niech się zresztą bawią mikroskopem; chłopcu mniej łatwo co innego przyjdzie do głowy. Bo to rok szesnasty, krew nie woda...

Pani Tekla głos zniżyła i dała dowód, że już dawno pomyślała o niebezpieczeństwie:

— Powyganiałam z domu i z kuchni wszystkie do ludzi podobne. Chyba by najemna jaka się zdarzyła?... W domu z kobiet jest tylko Justynowa.

Pan Apolinary zwykł był dworować sobie ze starej klucznicy — i teraz nie ominął sposobności:

— O tej sylfidzie toby już chyba dyabeł w usposobieniu nie pomyślał.

— Nie śmieję się, mój drogi. Justynowa nasza najwierniejsza; może się nawet przydać do wywiadów.

— Ma się rozumieć. A Janka niech Bóg ustrzeże jak najdłużej!

Nie było czasu na dłuższe omówienie wszystkich spraw domowych wobec naglącej potrzeby wyjazdu pana Apolinarego do sąsiadów, w sprawie Stowarzyszenia.

W pachnącym pyle wiejskiej bocznej drogi toczył się cicho kocz pana Apolinarego, zaprzężony czwórką »rozjazdową«. Zwalniał czasem biegu i dawał elastycznego nurka w większym jakimś wyboju, pozostałym z wiosennych roztopów, gdyż uważny woźnica powoził umiejętnie, wiedząc, że pan dziedzic nie lubi nagłych podskoków po obiedzie. To znowu opieka Boża, objawiająca się w cudownej tego roku pogodzie, wygładziła, bez udziału rąk ludzkich, polną drożynę na rozciągłości staj kilkunastu i kocz sunął równo, sennie, łaskotany po skrzydłach przez nachylone ku drodze kłosa dojrzewającego żyta. Uragając wszelkim teoryom o kosztownych nasypach, droga ciągnęła się kapryśnym szlakiem wklęsłym, miejscami tak wązka, że spotykające się furmanki musiały jednym bokiem wdrapywać się na przeciwległe brzegi drożnego łożyska, skłaniając się ku sobie dośrodkowo, niby dla wymiany utyskiwań nad niedostatkami

komunikacji lądowych; to znów tak szeroko rozlana, że pozostawiała woźnicy istne pole do wyboru: czy na prawo zagrznąć? czy na lewo złamać dyszel? Ale suchy wiatr i słońce, urzędnicy Opatrzności, pomimo tylu innych zachodów, naprawili nadetatowo i drogi do tego stopnia, że pan Apolinary jechał bezpiecznie, ufając roztropnemu sternikowi, i nie myślał wcale o sprawie drogowej. Myślał owszem o pracy kulturalnej.

I symbolicznym wydawał się ten poważny rydwan, falujący postępowo przez kraj świeżością swą malowniczą. W rydwanie — biała opończka oblekająca, niby »toga praetexta«, krzepką postać pana delegata. W panu delegacie — przyszłość i ostoja kultury tego kraju...

Delegat Anglik, gdyby się cudem znalazł na tej drodze i był przejęty celami kulturalnego Stowarzyszenia, roiłby o tym samym kraju za lat parę przeciętym dobrą żwirową drogą drugiej klasy, obsadzoną drzewami owocowymi; wywołałby na tych mokrych łąkach fabryczkę prasowanego torfu; a za lat dziesięć, dwadzieścia — wioska widniejąca za łąkami jak rząd stogów zapadłych i załęchłych, śmiała się do słońca szeregiem białych murów, czerwonych dachów pośród świeżej zieleni; widać byłoby aż stąd okazańsze gmachy gminne: szkołę, szpital, klub wiejski, i na placu środkowym budynek ozdobny, noszący na froncie wielki napis: »the Commune of Bładaczka«.

Ale pan Apolinary, ukołyszany wielkim snem o Stowarzyszeniu, ogarniającem kraj cały od skrajnych delegatów zachodnich aż do skrajnych wschodnich, spał solennie w falującym koczu na poobiedni odpoczynek działacza.

Niezwykłe szarpnięcie powozu i złowrogi krzyk: wio! wio! nuże, Łysa! — zbudziły Apolinarego do nieprzyjemnej rzeczywistości. Okiem starego praktyka opanował sytuację: powóz wjechał na torfową, grząską łąkę, po której zielonem tle czarna pręga znaczyła wprawdzie tradycję drogi, ale była to właściwie ta sama łąka, w tym pasie rozjeżdżona. Pan Apolinary milczał, aż powóz wydostał się na twardszą powierzchnię i wtedy dopiero wytoczył proces woźnicy:

— Gdzieżeś do licha polaził, skurczybyku?! nie znasz drogi naokoło przez starą Biadaczkę, co?

Skurczybyk, z imienia Kazimierz, niezadowolony z własnego pomysłu skrócenia drogi, jak również zachwiany w swej reputacji biegłego topografa okolicy, odpowiedział opryskliwie:

— Ktoby jej tam nie znał, cholery... dwie wiorsty objazdu po próżnicy i most zepsuty na Mieninie. A tędy jeździliśmy w lecie, jak człek zapamięta. Tylko teraz pewnikiem zastawiły juchy szluzę we młynie, to łąka rozmaka jak żur, cholera.

Pan Apolinary uznał trafność wywodów Kazimierza, dla którego umiejętności miał poszanowa-

nie, pomruczał tylko: »no, no, jedźmy już« — zamilkł. A stary famulus, ujęty wyrozumiałością dziedzica, odwrócił do niego twarz wypogodzoną już, oprawną w uczernione klamry bujnego zarostu i, wskazując biczyskiem na lipy poza wsią wyrastające na widnokręgu, odezwał się dwórsko:

— Tędy droga na kuźnię, a potem już sucha droga aż do pałacu. Trzy wiorsty bliżej, proszę jaśnie pana.

Dojazd do »pałacu« pana Adama Pruszczyńskiego, właściciela fundum Biadaczki, przedstawiał, oprócz niektórych przyrodzonych przeszkód drogowych, pewne jeszcze trudności oryentacyjne. Wśród pól sterczały kawałki starych alei lipowych. powstających bez powodu i nie prowadzących nigdzie. Znać było przedwiekowy czyjs zamiar postawienia Biadaczki na stopie prawdziwie pańskiej rezydencji. Śmierć, czy odmiany fortuny, pohamowały te zamiary. Zakrój zaś okólnika i domu mieszkalnego był mniej okazały. Nadto, mury były odrapane, niektóre wątpliwego pionu, a dachy wcale przemakalne. Widać, że władca starożytny, nosząc się z wizją wspaniałej Biadaczki, zaczął od alei. Ale obecni właściciele zapewne klepali zwykłą biedę.

— Tę oborę pewno wiatr przewróci przed zimą; nie to, co nasza — odezwał się pan Apolinary do woźnicy.

— Ii, proszę jaśnie pana, przed zimą krowy żydzi wyprowadzą, wtedy i obora na nic. Wiadomo, że nasza — co innego.

Pan i sługa nie mieli złudzeń co do dobrobytu sąsiada; tem cenniejszym wydał im się ich własny dobrobyt.

Jednym urywkiem alei trafili wreszcie podróżni do pałacu, tak bardzo zaniedbanego, że aż kilka okien było zabitych deskami.

Niebawem spotkały się w sieni dwie pobratymcze postacie, bardzo jednak różne z pozoru, i rozległo się tradycyjne, podwójne cmoknięcie w powietrzu, krzyżową sztuką.

— Chwałaż Bogu! nasz brat, a nie komornik — zawołał pan Adam, dając przystęp promykowi radości do swych oczu znękanych, zapadłych w pożółkłej twarzy.

— Widzę, że kłopoty... Urządzi się, sąsiedzie dobrodzieju, urządzi.

— Dyabła tam urządzi! 29-go sierpnia licytuje mnie Towarzystwo, a Żydzi oprócz tego spokoju nie dają.

Pan Pruszczyński mówił popędliwie, poruszając ustawicznie wystającą na chudej szyi grzdyką, jakby pił bez przerwy kielich goryczy.

Ale pan Budzisz był uosobieniem otuchy.

— Na wszystko jest rada. Przyjeżdżam nawet tutaj z szerokim planem na przyszłość.

Pan Adam spojrzał na dobrego zwiastuna roz-

wartemi błędnymi oczyma, a tymczasem zaprosił go do pokoju:

— Bądź-że łaskaw, kochany panie Apolinary.

Najpierw wypadło się przywitać z pięciu młodymi przedstawicielami rodu Pruszczyńskich, którzy zjawili się w sieni w celu obejrzenia gościa. Dwaj starsi, w mundurach gimnazjalnych, synowie gospodarza z pierwszego małżeństwa, ukłonili się z męską niezależnością, mocno ściskając podaną im rękę.

— Jak się macie, obywatele — pozdrowił ich Apolinary, tonem i postawą wcale nieźle znamienując ducha czasu.

Drobiazg zaś pochodzący z drugiego łóża, szurgał już oddawna z rozmaitych kątów bucikami rozgłośnie po naniesionym piasku, usiłując zwrócić uwagę na swe ukłony. Aż spostrzegł gość ich grzeczne zamiary i zawołał wesoło:

— A smykił iluż was tu jest?!..

Wybrał najmłodszego malca, patrzącego z po-
dełba figlarnie, podniósł go do góry, ucałował i zapytał:

— Jak-że się ty nazywasz?

Chłopię patrzyło przez chwilę z ukosa, jakby oceniało pojętność gościa; nareszcie wypaliło, skandując dobitnie wyrazy i potrząsając dziarsko jasną głowiną:

— Maciek — Polak — delegat koronny.

— A bodaj cię!... ha, ha, ha... cudowne dziecko! śmiał się ubawiony pan Apolinary.

— Widziałeś sąsiad — mówił pan Adam w zamkniętym już od dzieci pokoju — widziałeś choćby te żywe moje utrapienia. Dwaj starsi chodzili do gimnazjum, wyrobiłem im stypendya. Teraz — basta! nie wolno!

— Nasze Stowarzyszenie załatwi tę sprawę w najbliższej przyszłości — rzekł uroczyście pan delegat.

— Jakie Stowarzyszenie?

Pan Apolinary przełknął ślinkę i pomyślał: »Aha! więc Pruszczyński nie należy — więc to jest ten pierwszy, którego mogę zwerbować... W to mi graj!«

I zaczął nawracać pana Adama według wszelkich przepisów. Mówił obszernie o pracy kulturalnej, o solidarności, o wielkich widokach na przyszłość i powołaniu do działań wszystkich ludzi użytecznych. Światło, przejęte od mistrzów, rozsiewał w tym kącie ziemi, gnuśniejącym dotąd w ciemnościach. Miał zaś dobrą pamięć nie tylko do wierszy, lecz i do prozy. Udało mu się więc zastosować kilka płynnych zdań apostoła Kotulskiego i niektóre jędrne, niby świekiem wchodzące w głowę, formy retoryczne apostoła Hycy. Skorzystał też z innych klasyków, słyszanych w Warszawie. Mówił, mówił — aż podano mu kawę.

— A ta kawa!... — przypomniał Apolinary, lecz się powstrzymał.

Była to zwyczajna kawa, z bułką i z masłem, nic wcale symbolicznego w sobie nie zawierająca.

Do kawy nie przyłączyła się akcesorycznie postać pani domu, gdyż pan Pruszczyński był po wtórnie wdowcem. Zatem dwaj sąsiedzi mieli wszelką swobodę dalszej rozmowy, przerywanej tylko czasem chlipnięciem słodkiego napoju lub drobną przeszkodą wymowy spowodowaną przez ładunek chleba z masłem.

Pan Adam słuchał i dziwił się:

— Ho, ho! widzę, że sąsiad głęboko zabrnął w politykę.

Tu pan Apolinary chciał wymienić swój nowy tytuł. Ale wierny przykładom, wołał otoczyć się tajemniczością. Ten sposób podnieca wyobraźnię słuchacza, dając mu do zgadywania, czy mówca nie jest przypadkiem delegatem, może członkiem komitetu, może nawet twórcą Stowarzyszenia. Odpowiedział panu Adamowi:

— Istotnie zabrałem się do roboty i teraz wiele jeszcze, bardzo wiele mam do czynienia. Ale nie o to chodzi, dobrodziejmo mój. Chodzi nam o udział twój w Stowarzyszeniu, kochany panie Adamie. Kraj ma oczy na was zwrócone, powołuje was do usług.

Pruszczyński skrzywił się i parsknął po kilkakroć, jak głodny koń, któremu zamiast owsa dano by naprzykład — ryżu.

— Gdzie mnie do tego mój łaskawco! Gdy kto ma nóż na gardle, i nie jeden, a kilkanaście...

— Na wszystko znajdzie radę komitet — rzekł pan Apolinary z takim przekonaniem, że aż zbudził iskrę nadziei w słuchaczu. — Chcesz sąsiad, na przykład, przeciwdziałać siłom wstecznym, nurtującym społeczeństwo, — masz komitet. Chcesz wejść w porozumienie z chłopem — masz komitet. Chcesz... no wogóle, co tyłkobyś chciał zrobić, możesz się udać do komitetu — i to za moje pośrednictwem.

Tu pan Apolinary wskazał palcem na swą pierś potężną, uznawszy za niezbędne odsłonić coś więcej ze swego dostojeństwa.

— Ale mnie, mój łaskawco, sprawy osobiste gnębią. Nie wiem na przykład co mam począć z moimi basałkami. Siedzą mi w domu od pół roku, widują się z kolegami z ich tam »kompletu«, rozprawiają o polityce, o nauce zaś — głucho. A zharzdzieli, a rozbisurmanili się! Długoby gadać.

— Przecie, dobrodzieju mój, kwestya szkolna cała jest w naszym ręku! — zawołał delegat z ujmującym zaufaniem w ten aksjomat.

— Taak?... więc pójdą chłopcy do szkoły po wakacyach?

— Pójdą do szkoły innej, do szkoły idealnej.

— A czy będzie tania?... bo rozumiesz pan, gdy kto ma pięciu synów i jedną licytację...

Delegat nie zdążył się jeszcze powiadomić w tej

materyi. Wziął jednak na swą odpowiedzialność zapewnienie:

— Będzie tańsza od dzisiejszej.

Pewna otucha wstąpiła w znękanego ojca.

— To dobrze. To i ja skorzystam. Bo co do reformy szkoły, jestem najgorliwszym stronnikiem reformy. Któżby tego nie pragnął?!

Pozostawał jednak niezaspokojony poszukiwacz środków na odwrócenie drapieżnych wierzyteli.

— Róbcie, co możecie, byle prędko. Szczyć wam Boże! Ale rozumiesz sąsiad, że ja czasu nie mam na osobiste współdziałanie z wami... Najgorzszy ten termin 29-go sierpnia!

Pan Apolinary zamyślił się. Poczuł nowy brak znajomości programu Stowarzyszenia. Czy w programie tym zawiera się i akcja ratunkowa zrujnowanych obywateli, czy niema takowej?...«

Dobył notatnik podróżny i zapisał:

»Zapytania do komitetu. (Podkreślił). Primo: Wysokość opłaty w nowej szkole. Secundo: Jak się zapatruje komitet na akcję ratunkową?

— Co tam sąsiad zapisujesz? czy wolno wiedzieć?

— Zapisuję... tak sobie. Zapisałem termin waszej licytacji.

Ten rys działalności trafił wprost do serca za-biedzonemu Pruszczyńskiemu.

— Aa, gdybyście tam mogli w waszym Komitecie pomódz... Bo widzisz, kochany panie Apo-

linary, wstyd szlachcicowi żebrać... ale jak czasem obśiądą człowieka kłopoty i terminy...

Pruszczyński poruszył kilka razy grzdyką i zapatrzył się w wytarty, leżący pod kanapą dywan tak wymownie, że i pana delegata zdjęło proste, niezależne od komitetu, wzruszenie. Przypomniał, że ma wielu znajomych radców Towarzystwa Kredytowego, że w ostateczności mógłby sam pożyczyć sąsiadowi sumkę. Wziął go więc za rękę i rzekł:

— Urządzi się to, panie Adamie. Albo raty do następnego terminu, albo... już ja to biorę na siebie.

Pan Adam ścisnął serdecznie podaną mu rękę.

— Nie wątpię nigdy, że zacny z was sąsiad, panie Apolinary. A otwarcie mówiąc, nabieram przekonania i do waszej zbiorowej roboty, skoro pan w niej jesteś.

— Toż to, dobrodzieju mój, akcja czysto obywatelska, nasza!

— A no widzę.

— Więc, co tam długo gadać, zapisać sąsiada do naszego grona? co?

— Jak sobie chcecie.

Uściskali się, podpisali. Świeży akt użyteczności publicznej był dokonany.

Oczywiście nowy stowarzyszony dopytywał się o swe obowiązki.

— Bardzo proste: — odrzekł delegat — solidaryzować się z uchwałami komitetu.

— Dobrze. A czy nie będzie przypadkiem jakich kosztów?

— No... niby... jakaś ofiara z włóki na cele ogólne.

— Tego nie mogę. Znasz moją sytuację, kochany panie Apolinary.

— Rozumiem. Już ja tam przedstawię — zrobimy wyjątek.

Pruszczyński otworzył szeroko oczy.

— Widzę, że sąsiad posiadasz nie byle jakie wpływy.

— A no, jestem tymczasem delegatem z naszego powiatu.

— A toś się pan rozwinął!

Pan Apolinary miał chwilę słusznego zadowolenia miłości własnej. Ale dodał skromnie:

— Sługa sług narodowych...

Przyszło z kolei wtajemniczenie w ściślejszy program, oddanie drukowanych odezw, opowieść o wypadkach warszawskich — uczta wiernych (agape).

Już powiew chłodniejszy wchodził przez otwarte okna i łagodne oświetlenie wieczoru tonowało krajobraz wdzięczniej, przysłaniając otwarte rany budynków, kładąc dyskretne cienie na mniej porządne zakątki gospodarskie. Stare lipy w alei wyglądały teraz wyższe i bogatsze w barwę. Pan

Apolinary, chociaż użył już dzisiaj do syta powietrza, poczuł pragnienie przechadzki. Ale zrozumiał zarazem, że Pruszczyński nie ulega powszechnej manii oprowadzania gościa po swych dobytках i urządzeniach, gdyż poprostu nie ma się czem chwalić. Pan Apolinary umyślił przeto wprowadzić małą zmianę do marszruty swego delegackiego objazdu. Nie będzie nocował tutaj, ale pojedzie na noc do Garbatki, majątności pana Ryszarda Gałązki, o milę stąd odległej. Tym sposobem nie jutro, jak zamierzał uprzednio, ale już dzisiaj będzie na nowem miejscu przeorywał rolę przyszłości. A i kolacya u tego szelmy Rysia będzie na pewno lepsza, niż tutaj.

Oświadczył więc panu Adamowi, że śpieszy w dalszą drogę.

— Nie łaska u mnie zanocować? — zapraszał Pruszczyński tak miękko, że dodał jeszcze bodźca nieopohamowanemu rozpędowi obywatelskiemu Apolinarego.

— Nie mogę, dobrodzieju mój. Wybrałem się na objazd waszej okolicy. A tu pilno, a i w domu czeka robota, a do Warszawy zajrzeć wypadnie do komitetu.

— To sąsiad nie do siebie wracasz?

— Jadę od was do Garbatki.

Pruszczyński uśmiechnął się zawistnie, ale i pogardliwie.

— Oho, tam wesoło... pieniądze są — zawsze

ma szelma pieniądze, choć wstaje popołudniu, a kładzie się spać nad ranem... A czy to i jego myślisz pan zapisać do Stowarzyszenia?

— Dlaczegożby nie? wszyscyśmy powinni należeć. Ryszarda nie na jakiegoś tam delegata, albo kandydata, ale tak sobie... dla zasady. My operujemy ilościami, dobrodziejmo mój.

— Hm... A Wapowskiego w Wojewodzicach odwiedziś pan?

— Wapowskiego — oczywiście.

— Ten, to człowiek niezależny, ambitny, no i — lepszego gatunku, niewątpliwie. Na mój rozum — lepiejbyś sąsiad upewnił się najprzód o akcesie Wapowskiego. A na Gałązkę zawsze czas będzie. Nawet nie wiem, czy zdołacie się rozmówić, bo to ciągle goście u niego... Ma także swoje zajęcia, ale... raczej partykularne.

Pan Adam zaśmiał się ironicznie, nerwowo, a pan Apolinary, zachwiany, spytał po jakimś namyśle:

— A do Wojewodzic stąd dalej, niż do Garbatki?

— Jak tylko sąsiad wyjedziesz na szosę za Starą Bładaczką, sześć wiorst na prawo do Wojewodzic, sześć na lewo do Garbatki.

— A to może i lepiej do Wapowskiego... W każdym razie każ tam, kochany panie Adamie, aby moje koniki...

Pruszczyński wstał i słysząc było z dalszych

pokojów jak wołał na starszych synów, chcąc jednego z nich posłać do stajni. Ale wkrótce doleciały gniewne wyrazy:

— Gdzie znowu powędrowały gałgany? Poszukać mi ich zaraz! A to skaranie boskie!

Pan Adam wrócił do salonu bardziej wzburzony, niż oczekiwaiby można z przyczyny, że starszych synów nie znalazł pod ręką do posyłki. Rozmowa sąsiadów ucierpiała na tem złem usposobieniu gospodarza. Wyszli przed dwór, a Pruszczyński wciąż gniewnie i niespokojnie strzelał oczyma ku bocznym zabudowaniom dworskim.

Wtem z za krzewów bzu ocieniających oficynę ukazała się postać najstarszego syna. Wyrostek postępował wolno, z książką w ręku, zatopiony niby w czytaniu, ale spoglądał z ukosa na ojca. Stary Pruszczyński nie wytrzymał i pomimo obecności gościa zawołał porywczo:

— Jak cię raz jeszcze zobaczę, błźnie, że chodzisz się uczyć do praczek, to ci wszystkie kości połamię! słyszysz?!

Groźnie przez chwilę przeprowadzał oczyma syna, który, nie przyspieszwszy kroku, zaczerwieniony tylko mocno, wszedł z godnością bocznem wejściem do domu.

— Daruj, sąsiedzie — tłumaczył się pan Adam — bo też to prawdziwa zaraza z tem bezrobociem! Kształci się chłystek samodzielnie i zajmuje się polityką... Masz pan politykę.

Panu Apolinaremu żywo stanął w pamięci Janek. Ale po Janku nic podobnego nie pokazało się. Janek ma też dozorcę i kierownika... Pruszczyński zgryźliwy i przesadza, a jego chłopaki wierutne urwipołcie. Zawsze jednak rozwiązanie sprawy szkolnej należy przyspieszyć... Zapytanie do komitetu.

Tymczasem zajechał kocz pana delegata. Sąsiedzi ze względów przyzwoitości rozjaśnili obliza i przez chwilę jeszcze gawędzili pogodnie:

— Więc tedy, dobrodzieju mój, ściślejże jeszcze łączą nas węzły.

— Osobiście nie można było nic dodać do mojej przyjaźni i poważania. Daj Boże, aby węzły pro publico...

— No. bywaj zdrów, kolego i dobrodzieju mój.

— Bywaj zdrów, kochany delegacie.

Młyniec pocałunków ogłosił rozłączenie.

— A nie zapomnij o mnie, zacny sąsiedzie — termin 29-go sierpnia — były ostatnie słowa pana Adama do siedzącego już w kocz panu Apolinarego.

— A jakże; zapisałem do komitetu... to jest... w sercu i pamięci — odrzekł Apolinary. — Ruszaj, Kazimierzu!

Gdy przejechali różnym klusem aleję i znaleźli się na rozstajach, woźnica zapytał:

— A dokąd, proszę jaśnie pana?

— Na starą Biadaczkę i na szosę. Sześć wiorst na prawo do Wojewodzie, sześć na lewo do Garbatki.

Kazimierz nie zrozumiał rozkazu, gdyż był to dopiero namysł, dyskusja wewnętrzna przed ogłoszeniem rozkazu.

— Do Wapowskiego wypadałoby najprzód, jak ten mówi — doradzał mieszkający w panu Apolinarym działacz społeczny.

— Z Gałązką jestem w dużo lepszej komitywie — szeptała nieodłączna od ochoty ducha mdłość cielesna.

— Wapowski to poważny nabytek dla Stowarzyszenia.

— Ale ten wisielec Ryszard może się także przydać.

— Wapowskiego tak z rozpędu nie łatwo będzie namówić. Trzebaby dowodzić...

— A z Gałązką można się i upić. Czy to pierwszy raz?!

Tymczasem dojeżdżano już do szosy. Kazimierz odwrócił się na koźle:

— Więc proszę jaśnie pana, czy na prawo? czy na lewo?

Tu mdłość cielesna wynalazła naraz cały szereg argumentów. Do wizyty u Wapowskiego trzeba się lepiej przygotować. Wieczór zapada i nie politycznie zajeżdżać do mało znajomego tak późno.

Ryszard da napewno kolację, co się zowie, a czuję apetyt.

— Pojedziemy do Garbatki.

Kazimierz się ucieszył, dom bowiem pana Gałązki znał także jako gościnny.

— Wyrywaj, Łysa!

DZIEŃ CZWARTY.

Dni pana Apolinarego, jak dni Stworzenia, nie należy brać dosłownie za okresy czasu, liczące po 24 godziny. Gdy mi kto zarzuci, że są to raczej epizody i rozdziały mojej opowieści, przyznam, ale nie pozbędę się przekonania, że wolno z takich epizodów złożyć całość, zestrzeloną konsekwentnie do jednego celu, czy nim będzie pochwała pana Podfilipskiego, czy uczczenie zasług pana Apolinarego Budzisa dla Stowarzyszenia. Zresztą i sam komitet, mając wiele, bardzo wiele do czynienia, nie wypowiedział się dotychczas ani słowem w sprawach piśmienniczych. Więc i co do budowy powieści brak nam tymczasem wszelkich rozporządzeń.

Czwarty zatem dzień polityczny pana Apolinarego rozpoczyna się pod wieczór, zapadający nad dniem trzecim.

Kocz wjechał na drogę bitą, zawrócił na lewo i mknął bez przeszkód ku krainie pagórkowatej,

wesołej, ciepło zarumienionej złotem zachodzącego słońca. Ryszard Gałązka miał od urodzenia szczęście, więc i po rodzicach odziedziczył wioskę w okolicy urodzajnej i malowniczej, jak również szczęśliwy charakter.

Nie jest to właściwie charakter, ale talizman. Za pomocą tego skarbu wszystko mu się udaje. Kochany przez mężczyzn, kochany przez kobiety, ma też niepospolity talent dobywania środków bez wysiłku, z ziemi i z powietrza, przeważnie z powietrza.

Kupił na przykład niegdyś za marne pieniądze klacz pełnej krwi, ale z takim defektem, że dawała nieżywe źrebięta. W Garbatce ta sama klacz dała trzy źrebce, które przyniosły szczęśliwemu hodo-wcy każdy po kilkanaście tysięcy rubli na torze wyścigowym. Gałązka przypisywał to powodzenie głębokiemu swemu znawstwu natury konia, ale powszechnie cytowano klacz »Aurorę« jako przykład »bajecznej weny« Ryszarda. Wydobyła go bowiem pierwsza radykalnie z kłopotów pieniężnych. Miewał i on takie kłopoty, gdyż potrzebował normalnie dziesięć razy więcej pieniędzy, niż normalnie przynosiła Garbatka. Ale potykał się z kłopotami mężnie i pogodnie, wiedział bowiem z góry, że wypali nie jeden, to drugi z jego finansowych pomysłów.

Innym razem nabył od wynalazcy za tysiąc rubli »piłę samochodzącą«, czyli tartak przenośny,

opatentował ten wynalazek i odprzedał go udziałami za kilkadziesiąt tysięcy. Mniej zręczni nabywcy stracili na owej pile swe wkłady, gdyż przyrząd okazał się za wątlým do tarcia kłóców, a za ciężkim do przenoszenia. Ale Gałązka dowodził, że opieszałość i konserwatyzm naszych techników spowodowały zaniechanie eksploatacyi »piły samochodzającej«, w pomysłę genialnej, która, po dokonaniu drobnych ulepszeń, dałaby milionowe zyski.

Te sposoby, zwane czasem »kawałami«, cechowały głównie przeszłość pana Ryszarda Gałązki. Spostrzegłszy, że jego obrotność finansowa budzi w niektórych podejrzliwość i zazdrość, porzucił jaskrawe operacye, gdyż przedewszystkiem był człowiekiem sercowym i dbał o dobre stosunki z ludźmi. Obecnie, jeżeli się trudni przemysłem, to rolnym, naprzykład dostawami dla wojska; jeżeli operuje bez podstawy realnej, to w karty, ale przyjaźnie i wyrozumiale: nie ogrywa nikogo nadmiernie, czeka uprzejmie na wypłaty. A że przytem ma dar asymilacyjny do każdego towarzystwa, w mieście, czy na wsi, epitet jego zwykły: »ten szelma Ryszard« znaczy, co do wartości, tyle co »paradny, pożądaný, kochany Ryszard«.

W tym sensie rozmyślał pan Apolinary, zbliżając się do rezydencyi Gałązki, ozdobnie zarysowanej na łagodnym stoku pagórka. Właściciel był bywalcem po swoim i cudzym kraju i przyswajał

sobie łatwo innowacye dobrobytu. Po Biadaczce i jej okolicy, Garbatka z przyległościami wyglądała jak kawałek południowej Francyi. Zdała w ogrodzie widniała świeżutka japońska altana. W innem miejscu biła fontanna. Budynki gospodarcze były dość pospolite, ale tak odgradzone od oka wysokimi szpalerami, że przejezdny samą tylko rozkosz miał z patrzenia na dwór wyświeżony, z dodaną do starych murów ornamentacją stylu przypadkowego, jednak nie bez wdzięku; z wjazdowego efektu kamiennego mostu nad wyschłym potokiem — i z tym podobnych wspałości.

W otwartych drzwiach głównych stał wysoki, suchy mężczyzna, dobrze już podstarzały, o rysach twarzy regularnych i okazałej postawie. Pan Apolinary długo się wpatrywał w tę postać, nie odpowiadając wcale rysopisowi właściciela Garbatki — aż, dojeżdżając, poznał.

— A! pan Śniegotajski dobrodziej. Witam. Czy pan Gałązka w domu?

— Do usług pana delegata.

Tytuł ten w ustach Śniegotajskiego zadziwił pana Apolinarego. Czyżby i ten należał do Stowarzyszenia? Nie na wieleby się przydał, bo chociaż powierzchowność miał dostojną i mógł w zamieszaniu uchodzić za ministra, w okolicy znany był powszechnie jako karciarz i nic więcej. Nawet nie pośłyszałbyś o nim, ani od niego nic, jak tylko:

»szłem w karo«, »bank z pięciuset« i t. p. Majątek swój, wielce ruchomy, nosił w dwóch rzemiennych kopertach: mniejszej, umieszczonej w wierzchniem ubraniu, i większej, przepadającej w poufnych głębiach jestestwa, okazywanej tylko czasem, przy poważnych partyach. Był zresztą bardzo układny i dobrze wychowany.

Z wnętrza domu dolatywał silny śpiew kobiety przy fortepianie.

— Gości macie? — zapytał pan Apolinary.

— Nie, sami domowi — odpowiedział pan Śniegotajski, zapraszając pięknym gestem na pokój, niby w roli marszałka dworu.

Pan Budzisz pomyślał:

— Ryszard przecie nieżonaty?...

I od progu już ogarnęła go przyjemna, grzeszna ciekawość. Błysnęły w pamięci wzruszenia lat młodszych, uciech dzielonych niegdyś choćby z tym samym Ryszardem. Były to czasy! W stosunku zaś odwrotnym słabła gorliwość misjonarza kultury, chociaż o misyi swej nie zapomniał.

— Jeżeli już Ryś stowarzyszony — dobrze; nie zechce być — także nie wielka bieda. Zobaczmy tymczasem, co porabia.

Gdy się ukazał we drzwiach drugiego saloniku, kobieta w stroju porannym, niedbałym tylko ze względu na liczne przezrocza, zerwała się od fortepianu i uciekła.

— Ah, mój Boże! nigdy nie meldują!

Z kanapy zaś, na której leżał, powstał zwawo Ryszard Gałązka w postaci swej zwykłej, umiarkowanej w okrągłości, promiennej energią i ożywieniem.

— Apolcio, jak mamę kocham! Apolcio-delegat! Chodźże w moje objęcia!

Po uściskach zaczęli się sobie wzajemnie przyglądać pod światło, że to dawno już się nie spotkali.

— Wyglądasz, jak tur dziki, Apolciu. Odmłodziłeś na politycznem piwie, słowo honoru.

— A ty?

Z uwagą zlustrował twarz dawnego, nieco młodszego kompana. Twarz ta w ożywieniu była młoda, zmarszczki nikły w uprzejmych fałdach uśmiechu. Jasne włosy i wąsy nie miały wcale przymieszki siwizny.

— Ty bajeczny jesteś, Rysiu! masz ciągle trzydzieści pięć — sześć lat.

— Bo też i nie wiele więcej.

— No, no — nie mnie opowiadaj.

— Przyjeżdżasz do mnie na tydzień przynajmniej?

— Żartujesz? spieszę się, jak nigdy. Mam mnóstwo zajęć.

— Prawda, prawda. Ale nie jadłeś kolacyi, mam nadzieję?

— Kolacyi nie jadłem.

— Chwiał Tobie Paniel — Śniegotko, złotko

moje, każ dawać kolację ze wszystkimi przystawkami. Grand wystompé na przyjazd naszego delegata — starka Nr 1 — burgund od księcia Kocia wygrany o zakład. Ananasa każ podać.

— Masz ananasy w domu?

— Dlaczego nie miałbym ananasów? Do miasta pięć wiorst. Śniegotko, bądź łaskaw dać stosowne rozkazy, bo mnie ani oderwać od naszego luminarza.

— Jakiego tam luminarza — odparł skromnie Apolinary — sługa sług narodowych... A skądże to już wiesz o mojej funkcji?

— Jabył czego nie wiedział! Stugębna sława trąbi o twojej działalności, a jabył nie wiedział? Zastanów się człowiecze, aczkolwiek delegacie!

— To może już należysz? podpisałeś?

— Co to, to nie.

— A dlaczego?

— Zwietryłem tam jedną jarzynę, której nie znoszę.

— Co znowu? jaką jarzynę?

— Karotkę... no, nie rozumiesz? — składkę pieniężną.

— A, mój Rysiu, przyznam ci się — rzekł gorąco pan Apolinary — że gdy kto ma na ananasy, to może znaleźć grosz i na cele publiczne.

— Ananasy — to podtrzymywanie handlu krajowego. A składka — to podtrzymywanie jaśnie wielmożności komitetu.

— Nie można tak mówić, Ryszardzie. Nie po-
sądzasz przecie, aby kto z naszych chciał z tych
składek coś urwać.

— Ani mi się śni. Ale ja daję, kiedy wiem,
na co i komu. Tutaj — nie wiem.

Rozmowa przybrałaby może charakter polemi-
czny, gdyby nie zbliżający się głos i szelest ko-
biocy.

Zanim weszła, Apolinary cicho zapytał:

— A prawda — kto ta pani?

— Kuzynka moja, pani Melania... wiesz? z domu
...ciecieska, a wyszła za tego gałgana ...lewskiego.

Kończył bardzo cicho i niewyraźnie, bo pani
Melania, w falistych podrygach, zbliżała się już
do rozmawiających. Czarną i wielką, w stroju po-
wiewnym i jaskrawym, dyszała nawskróś przejm-
jącą ponętą.

Odbyła się prezentacja. Pan Apolinary, odrazu
oczarowany, przetarł zgrabnie wąsy chustką i wy-
konał pocałunek w pachnącą rączkę zamasyście,
jednak z dystynkcyą.

— Pani dobrodziejka dawno w naszych stro-
nach?

— O, nie. Przypadkiem tylko zabłądziłam tu
w przeszłym tygodniu i oczekuję na mego pana
i męża.

Głos jej altowy przelewał się przez zdanie
w dziwnie śpiewnych kombinacjach. Zdawało się,
że wyrazy nawet drugorzędne, jak: »nie«, »tylko«,

»tu« — nabierają w ustach pani Melanii ceny drogich pereł. Wyrazy zaś większe, jak: »zabłądziłam«, »pana i męża« — stawały się same w sobie frazesami muzycznymi, pełnymi wzruszających niespodzianek chromatycznych. Panu Apolinaremu stały żywo w pamięci najlepsze czasy młodości, kulisy teatrów warszawskich, łube łaskotanie uszu przez głosy podobne na maskaradach; rozwierał nozdrza na zapachy, przynoszące z sobą wspomnienia minionych szatów. Olśniony był i odmłodził.

— Kobieta jak rzepa! — powtarzał w duchu, lustrując dyskretnie bogate włosy, brązowe cienie około oczu i uśmiechu, falujące pod jedwabiem przeguby kobiecego smoka w wieku dojrzałym, w postaci stworzonej na pokuszenie zarówno Adamów, jak Apolinarych.

Rozmowę zaś snuł przepisaną przez dobre wychowanie: o pogodzie, o wojnie. Posunął się nawet do tematów co przebrańszych, do rewolucyi i literatury. A pani Melania dawała piękne odpowiedzi zaczarowaną arfą swego głosu.

— Pan masz w sobie iskrę Bożą...

— O, pan!

Ryszard milczał, przeciw swoim zwyczajom. Chciał, widać, aby kuzynka i delegat rozłamali między sobą lody pierwszej znajomości. Ale gdy o lodach nie mogło już być mowy, bo Apolinary płonął, jak pochodnia, a pani Melania dała mu

już klapsa — odezwał się w stosownej chwili Gałazka:

— Schowaj swą iskrę, mężu Boży, albowiem nadeszła chwila pomyślenia o potrzebach ciała. Drzwi otwierające się wołają nas do biesiady. Mela! podaj rękę naszemu posłowi i prowadź go na kolację.

O chwilo rozkosze obiecująca! W gościnnym domu, na łonie przyjaciela dobrze zaopatrzonego, przy boku wybitnej kobiety! Co właściwie tu porabia kuzynka Mela, pan Apolinary nie zdążył sobie uprzytomnić. Ale kobieta, co się zowie. Wio- nie od niej czemś takim, co przyćmiewa urok nawet pracy kulturalnej.

Kolacya nie przypominała wcale wieczerzy wiejskiej z zapraszaniem do powtórzenia zrazów, »bo już więcej nic nie będzie«. Lekkie potrawy francuskie, wino od księcia Kocia, kwiaty na stole, w ramie jadalni świeżo i bogato umeblowanej — wszystko to było nawet dla Apolinarego, który nieraz już spotykał się z przepychem — odurzającą nowością. Zwłaszcza na wsi, w tem podniecającem towarzystwie i pośród mozolnych zabiegów polityki wewnętrznej, uczta wydawała się panu delegatowi rozkoszną oazą, a zarazem zasłużoną nagrodą szermierza uspołecznienia.

Wyłączono zgodnie i bez uprzedniej zapowiedzi dyskusye zasadnicze o potrzebach krajowych odkładając je do jutra. Dzisiaj krążyły tylko ła-

two strawne tematy, zastosowane do smaku towarzystwa.

— Daję ci słowo, Apolciu — mówił Gałązka — że takimi hetkami, jak twoje »rozjazdowe«, nie może delegat, albo i kandydat na posła, jeździć po powiecie. Ubliza to instytucji. Czy nie mam racji, Śniegotko?

Śniegotajski, ujrawszy się przed alternatywą zadowolenia jednego tylko ze współbiesiadników, połykał długo i odezwał się niestanowczo:

— Zapewne, panie radco (Gałązka był agentem jakiegoś towarzystwa ubezpieczeń), zapewne. Ale z drugiej strony, praca forsowna pana delegata, jak również koni...

— Co on tam wiel! Mówię ci, Apolciu, mam dla ciebie czwórkę dobraną złotych kasztanów. Łopatka — taka, zady — takie; po Ardeńczyku z Angielek. Oddam ci je po cenie kosztu. Jak takie cztery zaprzęgniesz, to zajedziecie w pięciu do nieśmiertelności, słowo daję.

Pan Apolinary proponował kwestyę tę odłożyć do jutra, jak sprawy krajowe. Wspomniał też o rzadkości gotówki.

— Pojmujesz, najdroższy — mówił od serca Gałązka — że nie chcę gwałtem... tylko przez przyjaźń radzę. Pieniądzy nie wezmę aż po żniwach. Albo wiesz co? zagramy o czwórkę po kolacyi. Wygraj ją sobie, a ja będę miał pociechę, że się przyczynię do wspaniałości naszych repre-

zentantów. A kasztany — szczere złoto. Powiedz, Mela.

Pani Melania popadła w sentymentalne wspomnienie:

— Zupełnie taka, jak dawna czwórka Freda Zbarazkiego. Powoziłam nią raz w Warszawie. Mieliśmy pojechać gdzieś za miasto, do jednej z tych zakazanych, ponętnych budeczek — ale cóż? Mój mąż nie pozwolił.

Gałązka nie chciał bynajmniej wywoływać wspomnień z przeszłości pani Melanii, usiłował więc zagadać:

— A my to nie możemy mieć czwórki książęcej? Tamtę kupił Fred od mego znajomego; zapłacił siedem tysięcy. Moja kosztuje dwa tysiące, a co do wartości realnej, słowo honoru, że lepsza.

Ale pan Apolinary był ciekawszy szczegółów z życia pani Melanii, o której wiedział tyle, co widział.

— Pani dobrodziejka poznała księcia Zbarazkiego w Warszawie, czy może za granicą?

Gałązka przenikliwym spojrzeniem porozumiał się z kuzynką. Ta więc odrzekła, krygując z trudnością wielkie czerwone usta, stworzone do śmiechu:

— Mój mąż i ja poznaliśmy Zbarazkiego przypadkowo na jednym zebraniu. Nie znam go bliżej.

Oprócz ananasa, podano na wety wyborne tru-

skawki. Pan Apolinary, nie pominąwszy żadnej potrawy, ani napoju bez pochwały — stosownie do reguł dobrego wychowania — zapragnął przy mieszać do tej ostatniej pochwały jagód słodką alluzję do pani Melanii.

Przechylił się uprzejmie do jej krzesła i rzekł z lubością:

— Truskawki... jak buziaki.

Mela zafalowała kibicią i odrzekła:

— A przesadzaliśmy je z Rysiem własnoręcznie tej wiosny. Te same łapki je sadziły...

Wyciągając do sąsiada obie ręce wypieszczone, przechyliła się ku niemu i dodała, niby dziecko, które przychodzi na skargę:

— Żeby pan widział, jakie były cza - arne...

Apolinary zaś, poruszony do żywego, jął udawać troskliwą niańkę:

— Oj, joj, joj... biedactwo!

Ucałowanie obu łapek, po zgrabnem przetarciu wąsów, zakończyło to ładne rozrzewnienie. Ale gdy ochłonał, odchrząknął i powrócił okazale do swego poważnego charakteru, pan delegat zadał sobie pytanie, które wkrótce głośno powtórzył:

— To pani dobrodziejka już od wiosny w Garbatce?

— Ach tak... ach nie... byłam tu chwilowo i na wiosnę.

Nie uszły bystrej uwagi Apolinarego pewne niedokładności w odpowiedziach pani Melanii. Ale

kolacya była tak wesoła, niewiasta tak zajmująca — i dobrze wychowana — że delegat postanowił patrzeć przez szpary na pozorną bezzasadność przebywania pięknej Meli w domu kuzyna. Wszyscyśmy słabi. I on sam teraz, pod wpływem przyrodzonego optymizmu i burgunda czuł rżewne pragnienie dobrych stosunków z kochanymi bliźnimi wogóle, a w szczególności — z panią Melą.

Ale ostatnią chwilę ucztę zamąciła mu wizyta natarczywa. Tam, o kilka mil, zaczęła jego Tekla spożyła już zapewne skromną wieczerzę z Jankiem i z panem Demlem... Czytają pewno teraz »Biesiadę literacką...« Ten przeskok myśli tak rozrzewnił pana Apolinarego, że osowiał i nawet oczy zaszyły mu rosą.

— Cóż się nagle namurmuszył, Apolciu? — zagadnął Ryszard.

— Tak sobie... wspomniałem ogólną biedę.

— A to mi kompan! nie poznaję cię. Ogólna bieda jest dla ogółu, a my sobie po kawie palniemy buteleczkę Grand vin sec. Jak myślisz, Śniegotko, będzie jeszcze płakał dziś nasz delegat, czy nie będzie? Może to na deszcz?...

Śniegotajski poczuł nagle taki przyptyw wesołości, że zatrząsł się od śmiechu, śmiał się aż do łez, choć bez głosu, krztusząc się i ukazując tragiczne żyły na skroniach. Zarażeni tym śmiechem, zaśmiali się inni. A gdy pani Melania zain-

tonowała perlistą gamę wesołości, pan Apolinary począł się także śmiać głośno, bez powodu, patrząc na mokre zęby sąsiadki.

I strofował się w myśli po epikurejsku:

— Baba ze mnie. Cóż ja tu złego robię? Dają jeść — jem; dają pić — piję; dają patrzeć — patrzę. A przecie Meli nie świsnę Rysiowi. Chyba nie?

Rozkosznie drżącym ramieniem odprowadzał damę od stołu do salonu, gdzie przygotowano już kawę, butelki różne i stolik do kart.

— Grasz w bridge'a, Apolciu złoty?

— Nie gram. Grywałem w preferansa, w winta.

— Cóż, kiedy Mela gra tylko w bridge'a.

— I pani gra? — a to kapitalne!

Odpowiedź kuzynki uprzedził Ryszard:

— Ona do wszystkiego. Sadzi truskawki, gra w karty... czwórkę mi ujeżdżyła, słowo honoru.

Pan Apolinary powziął nagłe postanowienie:

— No, to i ja gram w bridge'a.

— Dziękuję — szepnęła gorąco pani Melania, dygając lekką falą całej postaci.

— To mi delegat! to rozumiem — mówił Gałązka, mieszając już karty.

Pan Śniegotajski bardzo się ożywił. Stercząc przy stole w postawie stojącej, wyłożył technicznie drobny odskok bridge'a od powszechnie znanych zasad wista, okazał na przykładach, wyegzaminował pana Apolinarego z nabytej nauki, niby

profesor. Karty chodziły mu w rękę gładko i posłuszenie. Usiadł potem naprzeciwko pana Apolinarego, a pani Melania zajęła miejsce naprzeciw Ryszarda.

Urozmaiconą kawą, likierami i winem, gra ciągnęła się wolno, bez godnych uwagi czytelnika wypadków. Panu Apolinaremu darowywano błędy, pomagano po kolei — nie chciano go ogrywać. Gdy doradczynią była pani Mela, oparła mu się o kark i plecy tak nieostrożnie swym pachnącym frontem, że Apolinary ledwo kart z rąk nie upuścił. Kiedy znowu usiadła do gry ta uniwersalna kobieta (dziwnie, doprawdy dziwnie ujmująca!) poczuł pan Apolinary tak silny prąd magnetyczny pod stołem, że albo musiał przebierać nogami, jak na rozpalonej blasze, albo znów unieruchomić swe dolne kończyny, aby nie spłoszyć cudownego wrażenia przypadkowych dotknięć.

Nie czuł się wcale ociężałym po obfitej kolacyi i wciąż dolewanych kielichach, owszem żwawym i w zupełnem posiadaniu swych przyrodzonych zdolności. Licytował, rozgrywał z wielką werwą.

— Grasz, jak anioł, Apolciu — powtarzał Ryszard.

Po obrachunku bridge'a okazało się, że pan Apolinary wygrał kilkanaście rubli, które przegrała pani Melania i gospodarz. Śniegotajski doszedł do zera.

Pan Apolinary proponował unieważnić partię ze względu na niepożądany wynik:

— Cóż to? panią ogrywać będziemy? To nie po kawalersku.

Ale Ryszard zaprotestował:

— Nie, przepraszam. Płacić — to rzecz święta.

I wyliczył Apolinaremu pieniądze za siebie i za kuzynkę.

— Schowam na pamiątkę — rzekł pan Budzisz, coraz rzewniejszym okiem spoglądając na piękną Melę.

Nie było jeszcze późno — gawęda szła w najlepsze. Delegat przypomniał sobie około północy swe powołanie i zaczął jakąś ułamkową perorę o solidarności.

— Daj pokój działaczowi niezmordowany — przerwał mu Ryszard. — Całe jutro mamy przed sobą. Teraz lepiej rozgrajmy się o te konie. To ci bardziej potrzebne, niż statuty Stowarzyszenia, słowo honoru.

— Tee, możemy zagrać i o konie — nie upierał się podochocony delegat.

— Dobrze. Więc ja dam bank, ty sobie siadź z Melą na prawem »tableau«, a Śniegotajski na lewym. Mela ci szczęście przyniesie.

— Doskonale. Chociaż to mówią: szczęście w kartach...

Apolinary zawstydził się niepomału, że ledwo się nie wyrwał z tem, co w przystępie niepoaha-

mowanej ochoty pomyślał. Ale zadziwił się jeszcze bardziej, gdy Mela, błysnąwszy ku niemu zmysłowym uśmiechem, odpowiedziała najswobodniej:

— Ha, zobaczmy.

— Więc co stawiacie na prawo? — zagadnął Gałązka, zwracając się do ściśle skojarzonej grupy Apolinarego z Melą.

— A cóż? chyba tę czwórkę kasztanów? — odrzekł Apolinary, nurzający się w błękitach.

— Na pierwszą kartę?! Czy nie zawiele? To znaczy: dwa tysiące rubli.

— A uchowaj Boże! Stawiam rubla.

— To znów nie warto grać...

— Więc stawiam moją wygraną z brigde'a. Oto jest.

— No... dobrze. A Sniegotka?

.
.

Zapraszam czytelnika, aby wyszedł ze mną trochę na powietrze i popatrzył na noc gwiazdzi-
stą, rozpostartą nad pięknymi wzgórzami Garbatki. Pusta szosa przepada bielejącą wstęgą w krainie, uśpionej, równo oddychającej świeżym tchnieniem, tu i ówdzie błyszczącej zapóźnionymi oczyma kilku okien. Nie tak, jak górna kraina. Tam także bieleją szosa mleczna, odpowiednia ziemi, ale obudziły się wszystkie nocne oczy światów i mrugając nęcą do marzeń o nieskończoności. Dach maleńkiej ziemi prześwieca na nieskończoność.

Wobec tego wszystko marne. I to, że pan Apolinary przegra parę, czy kilka tysięcy — i to, że jest delegatem od pracy kulturalnej — nawet marna sama praca kulturalna! Największych ludzi, najszczytniejsze ludzkie powołania niebezpiecznie równać z gwiazdami i orbitami ich ogromnych krążeń. Niebezpiecznie z tak bardzo wysoka spoglądać na życie nasze, mrowiące się wielką lub małą polityką, na całej ziemi, lub tylko w Garbatce. Myśl, ogarniając wszechświat, rozrzedza się i gaśnie; nie pozostaje w niej dosyć siły do objęcia tej części życia, którą jej sądzono zapłodnić do rozkwitu i owocu, aby potem połączyła się, pomimo naszej wiedzy i woli, z ogromnem życiem wiekuistym.

Zasłońmy więc oczy od widoków zbyt wielkich, a swawolną myśl ściągnijmy od gwiazd, od wzlotów zakazanych, do kąta ziemi, na którym się krzątamy.

DZIEŃ PIĄTY.

Dopiero na trzeci dzień po południu wyrwał się pan Apolinary z Garbatki, czując, że praca dla społeczeństwa postępuje niesporo, a jego własna gorliwość obywatelska traci hart przy niewłaściwym zastosowaniu. Pobyt delegata w Garbatce nie minął jednak bez pożytku dla kraju, gdyż pan Ryszard Gałązka przystąpił do Stowarzyszenia. Uchylił się od ofiary pieniężnej, co prawda — ale zapewniał, że w trójnasób odsłuży się za to instytucji. I było to bardzo prawdopodobne. Ryś, ze swoją weną i łebkością, mógł być użyty do wydziału skarbowego, do szczególnych poruczeń finansowych. Gdyby naprzykład zaszła potrzeba zfinansowania jakiej pożyczki zewnętrznej, albo ubezpieczenia Stowarzyszenia od jakich przypadków, Gałązka byłby jedynym do tego agentem.

Reszta wrażeń, które pan Apolinary wywoził z Garbatki, była, że tak powiem, natury mieszanej. Przegrał grubo po pierwszej kolacyi, ale na-

zajutrz odegrał więcej niż połowę, tak, że po zapłaceniu kilkuset rubli gotówką, miał dopłacić sąsiadowi jeszcze tysiąc rubli, po żniwach. Za to czwórki kasztanów nie kupił. Gdyby zaś ją kupił, rachunki z Gałązką stałyby na tych samych liczbach. Koni paradnych, odpowiednich dla dygnitarza, nie miał, ale nie miał i kosztu ich utrzymania. A »hetki rozjazdowe« wcale jeszcze nie złe, trochę tylko przymęczone.

Natomiast czystą poezją jaśniało wspomnienie pani Meli. Jak ona, biedactwo, martwiła się z przegranej Apolinarego! Jak nagradzała mu brak szczęścia w grze gorącą i niekłamana sympatią!... Ten urywek rozmowy o pokrewieństwie atomów — jakie to było wyszukane, wstrzemięźliwe, a jednak chwytające za serce!... Pyszna kobieta!... Gdyby była brzydsza, mniejsza, nie tak pokaźna, nikt by nie miał nic do nadmienienia, że w braku własnego ogniska, szuka ciepła przy cudzych. Pomijając wreszcie moralne uzasadnienie pobytu pani Meli w Garbatce, pan Apolinary rad był fizycznie z poznania tej wybitnej kobiety. Dobrze było w jej towarzystwie trochę się odświeżyć, odnaleźć ruch i ton dawnego światowca, — bo człowiek starzeje się i rdzewieje przy pracy nad rolą. Ale działalność społeczna, skądinąd wyczerpująca, dała tym razem, w przebłyску, sposobność lekkomyślnego niemal odświeżenia umysłu. Pośród zabiegów o dobro publiczne zerwał pan delegat kwiat dla siebie

i wchłaniał jego zapach z zadowoleniem, przejeżdżając od jednej do drugiej stacyi swego misyjnego objazdu. Nawet istotnie dała mu pani Melania przed pożegnaniem wielką i wonną, niby rozkwitłą na jej podobieństwo, różę.

Rozjazdowe hetki, jakby zasłyszawszy coś o swej możliwej degradacyi do fornalki, kłusowały walecznie po szosie od Garbatki do Wojewodzic. Kazimierz, chwając sobie kuchnię oraz sposób traktowania służby i koni gościnnych u pana Gałązki, był także pogodnego ducha. Zapragnął podzielić się swemi spostrzeżeniami z dziedzicem:

— Proszę jaśnie pana, porządny dwór w Garbatce.

— A cóżeś myślał?

— Gościnności patrzą, a i swoim krzywdy nie wyrządzą — o jej! Wódkę wiadrami noszą do ciężkiej roboty, cukry dzieciom tkają. A to wszystko na nic, kiedy chamy niewdzięczne.

— Bo co?

— Mało tego, że strajkowali na wiosnę ze dwa tygodnie, teraz im się zachciało podczas żniw swój rezon pokazać. Mówią: czeladzi chłopu, czy babie, po rublu za dniówkę! Słyszane rzeczy!

— To niepodobieństwo. Tobyśmy dopłacili do kosztu... No, a u nas nie słyhać o tem, Kazimierzu?

— U nas nie. Nie doszły jeszcze do nas te panowie, co to im wszystko jedno z gęby wy-

dać rubla, czy dziesięć, bo oni płacić nie będą. A łązą ci po okolicy i bontują.

Z górnej dziedziny rojeń pan Apolinary ściągnięty został na rodzimy zagon tak obcesowo, że poczuł dotkliwą nieprzyjemność, jakby się potłukł, spadając. Tu znowu, na wsi, pozostawało wiele jeszcze do urządzenia w polityce wewnętrznej...

Zapisał w notatniku nowe zapytanie do komitetu.

Kierunek myśli ku dziedzinom praktyczniejszym poprowadził go naturalnie do zastanowienia się nad sposobami pozyskania Wapowskiego, do którego majątności się zbliżał. Z tym panem trudniej było gadać, niż z biedakiem Pruszczyńskim i z szelmą Rysiem. Bogaty i powszechnie szanowany właściciel Wojewodziec trzymał się trochę na uboczu od sąsiedzkich krzątań, zebrań i tradycji. Nawet niewiadomo było dostatecznie, jak do niego przemawiać. Tytułu rodowego nie nosił; prezesem jeżeli gdzie był, to nie pozwalał później i w dni powszednie tak się tytułować; sędzią także nie był. Nie był nawet radcą Towarzystwa Kredytowego. Nazywać go »sąsiadem« było jakoś niezręcznie, zwłaszcza, że pan Apolinary mieszkał o pięć mil od Wojewodziec. Mówić mu po prostu »panie« — bardzo krótko i nie politycznie. Mniejsza zresztą z tem, jak do niego mówić, ale co mówić, żeby go przekonać?...

Z takimi trudnościami łamał się nasz delegat.

Zgarniał pośpiesznie w pamięci wszystkie wypróbowane już zwroty i allokucye, układał je najefektowniej, nie mógł się jednak pozbyć przeczucia, że to wszystko niełatwo podziela na pana Wapowskiego.

— Z pomocą Bożą jakoś to będzie — westchnął pan Apolinary, gdy już kocz skręcał z szosy ku Wojewodzicom.

Przez stare, kunsztowne sadzenia wielkiego parku przebłykiwał dwór dumny, choć prosty, z wysokim francuskim dachem. Około pałacu skupiały się inne budowy użytkowe, kryte dachówką, a po parku rzucone były tu i ówdzie altany okrągłe lub czworoboczne, w rodzaju świątynek. Pan Apolinary szeroko otwierał oczy, pierwszy bowiem raz zajeżdżał do Wojewodzic, a właściciela znał tylko pobieżnie, z miasta. Około drogi wjazdowej ujrzał teraz szarą taflę placu tenisowego wśród murawy. Trzy głowy dziewczęce odwróciły uwagę od gry, aby się przyjrzeć nieznajomemu, który, choćby i nie delegat i nie młodzieniec, jest zawsze na wsi osobą pobudzającą ciekawość. Panny, w krótkich spódnicach i jasnych bluzkach, zarumienione i nieco rozczochrane, każda w sportowym jakimś ruchu zaskoczona przez wjeżdżające zjawisko, nie podobały się Apolinaremu.

— Głupia angielszczyzna — mruknął, ale zdjął czapkę płócienną i poprowadził nią po powietrzu na znak uszanowania dla płci pięknej.

Zbliżając się do murów, które rosły w oczach coraz wspanialej, czynił uwagi, że tu jest jednak znacznie... prościej, a jednak szerzej, niż w Garbatce.

— Rezydencya co się zowie. Szkoda, że nie mam złotych kasztanów od Gałązki.

Kocz zajechał pod kolumny podjazdu i stanął. Po chwili oczekiwania pan i sługa zwrócili się ku sobie. Kazimierz pozbył się, widać fantazyi, bo, zajeżdżając, nie palnął z bata.

— Jakoś tu cicho, proszę jaśnie pana...

Aż pan Apolinary wysiadł i obejrawszy uważnie wielkie drzwi zamknięte, domacał się dzwonka.

Na sygnał dopiero zjawił się stary służący, postawy przynajmniej tak wspaniałej, jak pan Sniegotajski.

— Kogo mam zameldować?

Delegat nadał się, jakby się chciał obrazić; potem wymienił niecierpliwie swe nazwisko, a gdy służący odszedł, mruczał:

— Pańskie fupy... Cóż to? miasto, czy co?

Nadbiegł inny służący, młody, fertyczny, pomógł panu Apolinaremu zdjąć płócienną oponkę, otrząpał go z kurzu i otworzył drzwi do salonów.

Lustra, portrety, landszafty, wysokie sufity...

Zbuntowało się coś w panu Apolinarym przeciw tej uroczystości dojazdu i pałacu. Cisnął

czapkę o stół zamaszyście i rozsiadł się w fotelu z okazałą swobodą.

Wkrótce jednak musiał powstać na powitanie gospodarza, który szedł do gościa krokiem umiarkowanym, bez żadnych zewnętrznych oznak radości, nie mniej jednak uprzejmie. Nosił brodę i okulary. Ubrany był szaro i skromnie, jednak nie tak, jak równość szlachecka ubierać się nakazuje.

— Bardzo mi przyjemnie powitać pana w Wojewodzicach.

Nie dodał: »czemu zawdzięczam fortunny wypadek oglądania?« ale domawiały to oczy jego pytające, zimne i zmęczone, zwłaszcza gdy z nich zrzucił nerwowym ruchem pince-nez.

— Obcy jakiś, zupełnie obcy — myślał pan Apolinary.

Rzekł zaś, gładząc poważnie podbródek:

— Moje uszanowanie. Hm, hm... Powracam z Warszawy, gdzie dzieją się rzeczy doniosłe... powołujące do usług wszystkich obywateli kraju.

— Doprawdy? Ja także wracam z Warszawy.

Delegat pochwycił w lot rozstrzygnięcie pierwszej wątpliwości, czy Wapowski jest, lub nie jest stowarzyszony. Nie jest. Zatem do rzeczy:

— Umyśliliśmy, jak może panu wiadomo, zrzeszyć i zsolidaryzować wszystkie siły rozstrzelone, wszystkie pomysły pojedynczych obywateli i poprowadzić je, niby rzeką, ku lepszej przyszłości.

Delegat sam się sobie zadziwił. Mówił, jak natchniony. Słuchał swego własnego zdania, jakby je wypowiedział inny Apolinary, Apolinary przyszłości, wymową sprawiający czary. Widoczne działanie łaski specjalnej.

Pan Wapowski przetarł oczy, przykrył je znowu szkłem podwójnem, i patrzył przydługo na gościa, zanim odpowiedział:

— Pan zapewne mówi o powstającym u nas Stowarzyszeniu? Znam to.

— Skoro pan znasz, panie... i dobrodzieju mój osobliwy, nie wątpię, że zechcesz pan do naszej pracy przyłączyć się i współdziałać z nami, radą i ręką.

Pan Wapowski przecierał teraz szkła chustką, a twarz mu drgała przy tem zajęciu małemi poruszeniami. Rzekł nareszcie ze swobodnym uśmiechem:

— Nie mam wielkiej ochoty.

Pan Apolinary wziął to za dobrą monetę i za przychylanie się preopinanta ku akcesowi.

— Ochota się znajdzie. I ja nie miałem odrazu ochoty. A teraz — jakbym się do czego innego nie rodził. No, i chwała Bogu, zrobiło się już to i owo i... jestem delegatem z naszego powiatu.

Tu pan Apolinary chciał pięścią podeprzeć się pod bok energicznie, jak pan Hyc. Ale, nie po-

siadając jeszcze całkowitej mimiki trybuna, chybił i pięść osunęła mu się po okrągłym biodrze.

Zaś pan Wapowski długo milczał, mrugał nerwowo, i wreszcie zapytał tonem przystępującego do istoty rzeczy:

— Niech mi pan powie, panie delegacie, co właściwie zamierza Stowarzyszenie teraz, w tej chwili? Do czego zabraliście się konkretnie?

— Oj — pomyślał delegat — srodze obcesowy jegomość; trzeba z nim ostrożnie.

Skupił się i powoli zaczął odpowiadać:

— Trudno wyrazić w kilku słowach... Podpisaliśmy najprzód tak zwane »narodowe Credo«.

— Tego nie podpiszę.

Odpowiedź brzmiała tak stanowczo, że pan Apolinary nie śmiał zapytać: dlaczego? I popadł w zniechęcone milczenie. Pobudziło go dopiero nowe zapytanie:

— I cóż dalej? co panowie zamierzacie teraz przeprowadzić?

— No... działać na siły wsteczne nurtujące społeczeństwo...

— Zapewne. Ale najprzód trzeba ściśle określić, które są siły wsteczne, a które zasługują na miano postępowych. Do działania w miastach, najpotrzebniejszego, nie jestem zdatny. U siebie radzę sobie dotychczas nieźle ze swoimi włościanami i robotnikami, bez niczyjej pomocy. — A jeszcze co?

Pan Wapowski ożywił się, mówił prędko i technicznie, patrząc prosto w oczy delegata. Ten czuł się teraz niby egzaminowanym przez profesora.

Trzeba było jednak dalej coś wymienić z działań i celów Stowarzyszenia.

— Załatwienie sprawy szkolnej...

— Czyżby ono leżało w mocy Stowarzyszenia? Pozwalam sobie nie mieć tego przekonania. Pragnąłbym gorąco, aby zabiegi odniosły skutek, aby nasze ogólne pragnienia zostały zaspokojone, ale co do taktyki wewnętrznej, przyjętej w tej sprawie, jestem wręcz przeciwnego zdania. Ponieważ synów nie mam, a córki wychowuję w domu, kwestya szkoły państwowej nie wiąże się z moim interesem osobistym. Jednak chętniebym się przyczynił do popchnięcia tej arcyważnej sprawy, gdyby nie mój pogląd na bezrobocie szkolne.

— Tak, to ma swoje niebezpieczeństwa — dodał Apolinary zupełnie od siebie — widziałem u Pruszczyńskiego w Białaczce...

— A wasze zdanie, o ile wiem, jest za bezrobociem, czy za bojkotem, co wychodzi na jedno.

Od tego ataku nie znalazł Apolinary innego sposobu obrony, jak zasłonić się tajemnicą. Nauczył się już tego manewru od mistrzów. W braku możliwej odpowiedzi, nakłada się na kwestyę kapelusza zaczarowany i myk! — kwestya przepada

albo się roztopia w różowych promieniach wschodzącej jutrzni.

— Za parę miesięcy będziemy mieli szkołę idealną.

— Skądże ta pewność?

— To musi do czasu pozostać tajemnicą.

Pan Wapowski dawał po sobie pozory powątpiewania. Ale nie będąc stowarzyszony, nie nalegał. Zaś pan Apolinary szukał w podróży swych zapasach dalszych argumentów dla pozyskania nowego członka.

— Ale gdybyś pan zechciał działać na lud, zająć się oświatą ludową...

Wapowski wyprostował się i spojrzał nieco z góry na delegata:

— O, panie! tego mnie uczyć nie trzeba. Z ludem swoim znam się dobrze, a moja żona i córki trudnią się oddawna uczeniem dzieci wiejskich. W tej materii mógłbym nawet udzielić niektórych... doświadczeń. Gdybym zresztą potrzebował w tej mierze czyjej pomocy, mam parę związków specjalnych, niezależnych od Stowarzyszenia. Do jednego takiego należę.

Gospodarz powstał, zapraszając do przechadzki. Pan Apolinary wziął czapkę ze stołu i bez ożywienia podążył do parku.

— Ten wszystko sam wie — myślał — a twarde, ani się z nim dogadać. Ha, trudno — dwóch

się skaptowało, trzeci się nie daje. Do trzech razy sztuka.

Doszli do placu tenisowego, na którym prze-
rwano teraz partyę. Pod cieniem wielkich klonów
pani Wapowska z córkami siedziała przy zasta-
wionym stole.

— Pozwoli pan, że go zapoznam ze swoją
rodziną?

— A jakże, chciałem właśnie prosić — odrzekł
skwapliwie pan Apolinary.

Pani domu miała włosy ciemne, przyprószone
siwizną, które przy gładkiej jeszcze i pięknej twa-
rzy wyglądały, jak pudrowane. Główki panien były
dwie jasne, jedna ciemna — i wcale ładne z bli-
zka — zauważył Apolinary — oprócz najstarszej,
trochę suchej i kwaśnej.

Przyjęto gością uprzejmie, częstowano herbatą,
ciastkami i owocami. Mimo to pan delegat nie
czuł się swobodnym.

— Jakie oni tu mają wszyscy dziwne oczy...
Spojrzy które, nawet to ładne czarne, jakby cię
brało na egzamin. Czy oni cały dzień myślą, a ni-
gdy się nie bawią?...

Po przedstawieniach i kilku frazesach wstę-
pnych dogadano się wkrótce do tego, że sąsiad
czyni objazd powiatu.

— Może w celu przyszłych wyborów? — za-
pytała pani Wapowska.

— Także, także, pani dobrodziejko — odpowiedział pan Apolinary.

— Tego mi pan nie mówił — wtrącił żywo gospodarz.

— Bośmy się jeszcze nie porozumieli — rozradował się delegat i zatarł ręce, w przebiegłości nadziei, że się Wapowski udobrucha i da się namówić.

— Bardzo chętnie mówić jeszcze będę. Przedmiot jest ważny. Gdyby pan chciał przejść się po parku...

Ale pani Wapowska odezwała się bardzo uprzejmie:

— Niechże nas pan nie pozbawia odrazu swego towarzystwa. Na rozmowę osobną macie panowie czas przed obiadem, kiedy my na chwilę znikniemy. Mam nadzieję, że pan zje z nami obiad?

— Jestem już po obiedzie, pani dobrodziejko.

— To wieczерzę, wszystko jedno. Nazywamy to obiadem z miejskiego przyzwyczajenia. Zapełnione pan jada także wieczorem około ósmej?

— Jadam co dają i kiedy dają, pani dobrodziejko. Na służbie publicznej, jak na wojnie.

Pan Apolinary odnalazł znowu ton światowca i rozmowa potoczyła się swobodniej.

Nie zboczyła jednak na żadne lekkomyślne manowce, jak w Garbatce. Była tu mniej zabawna i znacznie trudniejsza do prowadzenia. Pani i panny, nawet najmłodsza czternastoletnia, zapa-

lone były do spraw edukacyjnych. Delegat, aby nie ugrzęznąć w szczegółach, trzymał się uparczywie szerszego zakresu pracy kulturalnej. Musiał się przytem dobrze pilnować.

Bo pani Wapowska zapuszczała się naprzykład w roztrząsanie takich subtelności, czy metodę pogładową, czy fonetyczno-mnemoniczną lepiej stosować do pierwszej nauki dziecka. Gdy okazywała się konieczność odpowiedzi, pan Apolinary krążył około przedmiotu i wzbijał się na stanowisko wyższe, jak orzeł, który pogardza drobnym zerem.

— Furda metoda, pani dobrodziejko, duch — to grunt.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — pytała stropiona pani Wapowska.

— Mówię, że w nauczaniu, jak we wszystkim, musi być prawdziwy duch narodowy.

— Posiadamy go chyba wszyscy...

— Nie wątpię, pani dobrodziejko, dlatego też powiadam.

— Ale to się rozumie... chodzi mi o co innego...

Rozmowa o nauczaniu elementarnem możeby się na tem zakończyła, gdyby najmłodsza z pańien zwana »profesorem«, w odróżnieniu od siostry »dyrektora« i siostry »inspektora«, nie przypomniawszy matce, że trzeba kupić nowe książki dla dzieci. Matka zwróciła się znów do delegata:

— Czy nie może mi pan polecić jakich nowych książek dla dzieci wiejskich?

Pan Apolinary zakręcił się na siedzeniu i już się miał przyznać do braku specjalności w tej materii, gdy mu błysła myśl świetna, prawdziwie delegacka.

Dobył z kieszeni plikę drukowanych świstków, którą otrzymał od pana Kotulskiego. Przewracał, szukał uważnie, aby się nie pomylić, nareszcie dobył jeden z kategorii przepisanej wyraźnie «dla ludu».

— Może pani dobrodziejka z zaufaniem kupować wszystkie książki dla ludu, opatrzone tym podpisem.

Powstał i podał tryumfalnie pani Wapowskiej broszurkę lakoniczną, kilka stron zaledwie zawierającą. To zajęło widocznie panią domu.

— Czy mogę tę odezwę... nabyć?

— Jest do usług pani dobrodziejki.

Podziękowała i włożyła broszurkę między karty książki, którą miała przy sobie.

Panienki, mniej zagłębione w teorię, a bardziej w praktykę, wniosły z rozmowy, że gość jest jakimś wizytatorem szkół, nieszkodliwego gatunku, i z tego powodu miały między sobą krótką naradę. Poczem Jadwinia (dyrektor) zawołała jednego z czterech chłopców odpoczywających opodal na trawie od pracowitego zajęcia podawania

piłek przy tenisie. Przydreptało chłopię bose, ledwo od ziemi odrośnięte.

Jadwinia zapytała oczyma o pozwolenie matki i odezwała się do pana Apolinarego:

— Jeden z naszych uczniów, z drobnych. Starszych nie mogę panu pokazać dzisiaj, bo już się rozeszli.

Pan Apolinary oparł ręce o kolana i zapytał:

— Jak - że się nazywasz, mój mały?

— Tomek Świrszcz.

— Dobrze. A któż ty jesteś?

— Polak, katolik, uczeń klasy wstępnej — wyrecytowało dziecko z przekonaniem.

— Dobrze. A jak się uczysz?

Chłopię, zamiast odpowiedzi, podniosło oczy zaufane na pochyloną ku niemu trójkę panien.

— Powiedz — zachęcała średnia — z czego miałeś najlepsze stopnie?

— Piątkę z arytmetyki i piątkę z Konopnickiej.

— Pojętne dziecko! Winszuję panienkom — zakończył egzamin pan delegat.

I podczas gdy chłopię odchodziło, ważąc w rękę cztery sucharki, otrzymane dla siebie i dla kolegów, pan Apolinary przypomniiał niedawne swe spotkanie z najmłodszym Pruszczyńskim.

— Tamten tęższy — pomyślał — nie dziwota: szlachcic.

Ale pan Wapowski oddawna już kręcił się na

krześle i tłumił przemożne ziewanie. Nie chciał widać rozmowy z Apolinarym o edukacji. Wreszcie powstał i rzekł:

— Może pan zechce obejrzyć park? Będziemy mogli ciągnąć dalej naszą rozmowę sposobem Perypatetyków.

— Z gustem — odrzekł Apolinary.

Ale do Perypatetyków wstrzymał się dalsze czynić alluzye, bo zagubił w pamięci rozróżnienie, czy to byli ci, co chodzili w kółko, czy ci, co mieszkali w beczkach i mówili rzeczy cyniczne.

Przechadzka zaczęła się od pokazywania; Wapowski nie był wolny od tej manii właścicielskiej.

— Cały plan domu i parku nakreślił mój pradziad. Nawet dom jest starszy.

— Aa! — odpowiedział z uznaniem Apolinary a myślał właśnie o pani Melanii.

— Ten budynek, który tam pan widzi, był niegdyś lożą masonską.

— Doprawdy?... Co pan wogóle sądzi o Masonach?

— Sądzę, że bardziej nimi wojują, niż oni sami wojują... A tamtę rotundę widzi pan za wodą?

— Widzę. Wspaniała.

— Nie tyle wspaniała, ile historyczna. Gdy August II ciągnął pod Kalisz...

— Pod Kalisz? — to daleko.

— No, wie pan? bitwa pod Kaliszem?

— A jakże... Więc gdy ciągnął pod Kalisz...

Pan Apolinary grzecznie przechylił głowę do opowiadającego, postępując obok niego w starej alei, gdy wtem zawadził o jakąś przeszkodę i omal nie rozciągnął się na historycznej ziemi.

— Tam do licha! co to?

— Ach, przepraszam! Korzenie starych drzew psują nam drogi.

Ale przypadkowe wzruszenie przerwało opowiadanie legendy i osadziło obie postacie na ich moralnym punkcie ciężkości, jak te lalki z ołowiem w podstawie, które, po zachwianiu, tem bardziej wyprostowaną przybierają postać.

Pan Wapowski zaczął bez przejścia:

— Gdy tam siedzieliśmy przy tenisie, myślałem o naszej poprzedniej rozmowie. Choć miałbym nieco do nadmienienia o niektórych waszych działaniach, zgadzam się na to w zasadzie, że wobec mnóstwa nadchodzących wypadków i reform, organizacja ogólna jest potrzebna.

Pan Apolinary, rozpromieniony, jął perorować:

— A jeszcze organizacja, jak nasza, oparta na wyborach, na solidarności, na zrzeszeniu! Organizacja, w której komitet, wybrany z wybranych, ciągle siedzi nad... to jest: nie siedzi, ale czuwa nad dobrem ogółu i rozstrzyga wszystkie nasze najpilniejsze sprawy...

Pan Wapowski ruchem ręki niby odsuwają-

cym tamował wymowę delegata, aż uchwycił słowa ostatnie i przerwał:

— Mówi pan, że wszystkie sprawy najpilniejsze, a więc i sprawę wyborów do Wielkiej Rady? Bo to było właśnie, na czym zawiesiliśmy rozmowę.

Apolinary tym razem zrozumiał i uradował się w duchu:

— Mam cię, ptaszku! chcesz być posłem...

Poczuł zaraz twardszy grunt pod nogami, a zarazem i przypływ wymowy zupełnie naturalny.

— Jakżebyśmy taką sprawę pominęli! Ma się rozumieć, że komitet zajmie się wyborami. I nawet od komitetu ta sprawa całkowicie zależy. Przecie to jest naszą specjalnością. A ogarniamy kraj cały.

Wapowski marszczył się, mrugał, przecierał okulary. I, pomimo swej łatwości słowa, nic nie odpowiadał. Dało to pochop delegatowi rozprawiać w dalszym ciągu:

— Listę kandydatów niebawem ogłosimy. I mamy prawie pewność, że nikt inny, jak stowarzyszony, nie przejdzie.

— Jakto? więc stawiacie kandydatów wyłącznie z pomiędzy stowarzyszonych?

— Jakżebyś pan chciał inaczej?!

— Mogłoby być inaczej — odpowiedział z dyskretnym uśmiechem Wapowski — bo kandydaci

znajdują się i gdzieindziej, poza ramami waszej organizacyi. Cóż ma właściwie wspólnego stowarzyszenie pracy kulturalnej z wyborami do Wielkiej Rady?

— Stowarzyszenie jest... jest... do wszystkiego, wołał pan Apolinary, rozpościerając rękę w poszukiwaniu wyrazu.

— Chce pan powiedzieć: uniwersalne?

— Jak pan rzekłeś: uniwersalne.

Pan Wapowski postąpił znowu kilkanaście kroków w milczeniu. Potem odezwał się do płomienie patrzącego delegata:

— Przyznać wam trzeba, że pierwsi tę kwestyę podjęliście i zorganizowali na szerszą skalę.

— Pierwsi — i ostatni! — zawołał pan Apolinary, wielkiem cięciem przez powietrze zabijając wszelkie inne niepowołane stronnictwa, organizacje — i wątpliwości.

Wapowski zatrzymał się w przechadzce i stanął naprzeciw zięjącego ogniem Apolinarego:

— Panie delegacie! trochę zbyt absolutnie...

Ale delegat już nic nie uwzględniał.

— Absolutnie, dobrodziejmo mój, solidarnie, kupą do celu — i basta.

I podparł się oburącz pod boki, tytanicznie.

Nie był to już ów Apolinary, polityk domowy, szukający na swej werendzie rozwiązania algebraicznych znaków stronnictw, mdły w gorliwości, chwiejny w pomysłach dla dobra ogółu, wieśniak

nawracany mozolnie przez dobroczynnych wyśłańców, — ale szermierz kultury w pełnym rynsztunku, wczoraj jeszcze wedeta nieustraszona, dzisiaj — zwycięzca. Tak szlachetna praca uskrzydla najcięższe organizmy.

Pan Wapowski nie mógł tak silnie odczuwać ewolucyi wewnętrznej pana Apolinarego, jak my, którzy go znamy bliżej. Nie był też wolny od osobistych widoków. Wziął więc delegata pod rękę, obrócił i skierował, może nie bez planu, ku sadzawce.

Szli w milczeniu brzegiem cichej wody, której słodkie wyziewy studziły nadmierne upały. Rozbudzone niezwykłemi hałasami ptaki ozwały się z krzaków nadwodnych aprobacyjnem ćwirkaniem. Wrażliwe podobno na apostolstwo ryby wypływały ku błyszczącej powierzchni, leżąc tuż pod nią podłużnymi cieniami, aż ujrzawszy z bliska nieznanego rybaka dusz, uciekały z pluskiem, nieufne, do swych głębokich zagajów.

Żywy spokój wspaniałego zacisza podzielał istotnie na ostudzenie żarliwości pana delegata. Może też wyczerpał zapas swej fakundy. Politycy baraszkowali teraz na odpoczynek.

— Czy lubi pan łowić ryby? — pytał gospodarz.

— Lubiłem. Teraz nie mam czasu.

I znowu szli milcząc, pijąc kojące powietrze.

Stanęli teraz pod portykiem greckiej świątyni.
Istni Perypatetycy!

— Więc pan sądzi — rzekł sennie Wapowski — że wasz komitet poda listę kandydatów wyłącznie z grona stowarzyszonych?

— Nietylko sądzę, ale jestem pewien. Znam nawet wiele nazwisk.

Nie pierwszy to już raz pan delegat obkleił swój osobisty domysł powagą faktyczności — zawsze jednak w duchu Stowarzyszenia.

— Czy to tajemnica?

— Tajemnica dotąd nawet dla ogółu stowarzyszonych. Ja tam trochę mówiłem z komitetowymi w Warszawie... Czyniono mi nadzieję, że moi kandydaci mają szanse...

Pan delegat bruździł zupełnie już po delegacku. Przybierał na się postać kuszącego węża. Tym razem na dobre zaciekał Wapowskiego, który myślał, patrząc na Apolinarego:

— Więc z tego aparatu wystrzelić mogą rzeczywiście nazwiska kandydatów?...

Zaś pan Apolinary:

— Widzi sąsiad: nasza gubernia ma podobno wybrać kilku posłów. Dłaczegoby nie wybrała dwóch z naszego powiatu?

Odwrócił się do Wapowskiego całą postacią uroczyście i celowo skoncentrował swe spojrzenie. Pan Wapowski zaś patrzył na niewyraźnego zwia-

stuna i starał się przeniknąć wiarogodność postawionej przez niego perspektywy.

Gdyby skamienieli obydwaj pod tym portykiem, byłby gotowy pomnik dwóch reprezentantów. Ale pan Wapowski okazał się materiałem mniej podatnym do ośłupienia, bardziej nerwowym — i ruszył się z miejsca. Sprzykrzyło mu się tak stać symetrycznie do pana Apolinarego.

Wyszli z greckiej altany, a pan Wapowski odnalazł płynność swej wymowy:

— Nie można mieć złudzeń, że to lekka sprawa być dobrym posłem w Wielkiej Radzie. Być ładajakim, niemą ilością przy obrachunku głosów — każdy potrafi. Ale być posłem czynnym, z gotowym i obecnym w głowie na zawołanie programem, z kulturą parlamentarną choćby teoretyczną, ze znajomością języka, z gimnastyką myślenia i dyalektyki — takich kandydatów mało u nas znajdziemy. Trzeba ich brać, gdzie się znajdują, trzeba szeroko rozejrzeć się przed wyborami.

— Zapewne, zapewne — potwierdzał Apolinary, ale mniemał po cichu, że Wapowski zanadto się oddala od istoty rzeczy.

Tamten zaś mówił dalej:

— Nie możemy ich jednak skądkolwiek sprowadzić, wypisać z za granic okręgów wyborczych. Musimy brać takich, jacy są w danych okręgach. Ale usuńmy przynajmniej inne ograniczenia: sta-

nów, stronnictw, związków. I tak na tłumnych przypuszczalnie wiecach wyborczych, pośród licznych aspirantów, pozostaną tylko rari nantes...

Pan Apolinary nie dobrze jeszcze przenikał, do czego zmierza Wapowski, ale wietrzył błędność jego poglądów, miał wrażenie, że mówca popada w odstępstwo od dogmatów kardynalnych. Słuchał więc dalej bardzo uważnie i czatował, czy go nie złapie na herezyi.

— Mojem zdaniem wybierać trzeba z pomiędzy tych ludzi dość rzadkich, którzy dali dowody owocnej gorliwości obywatelskiej w trudnej epoce poprzedzającej dzisiejsze wypadki i nadzieje. Do każdej funkcji potrzeba praktyki. Wybierzmy z pomiędzy tych praktyków pozornie tylko drobnych, bo cichych, ale działających niezmordowanie w okresie czasu, w którym uznano za pewnik, że nic robić niepodobna. Nie ze względu, żeby im się należała nagroda i synekura, — po prostu dlatego, że ci będą najlepszymi przedstawicielami.

— Tu-m pana czekał! — zawołał tryumfalnie gorliwy delegat — zasługi dla Stowarzyszenia otwierają drogę do mandatu poselskiego. Niby drobna rzecz, a może być nagrodzona.

— Ależ, panie kochany! — przerwał niecierpliwie Wapowski — nie o takich zasługach mówię. Powtarzam zresztą, że mandat poselski nie jest, według mnie, ciastkiem, które się daje posłusznemu dziecku, ale zbiorowym aktem zaufa-

nia do siły twórczej i obrończej posła. A ci, którzy tworzyli wtedy, gdy mało kto tworzył, którzy bronili, gdy ciężko było bronić, dali swego poselskiego uzdolnienia dowody.

— Można i tak to rozumieć — odrzekł pojednawczo Apolinary.

A po chwili dodał filuternie:

— Co nie przeszkadza, że warto zapisać się do nas.

I zerkał ku Wapowskiemu, który szedł milcząc, zagłębiony w myślach, widocznie jednak poruszony, gdyż dostał gorączkowych wypieków na twarzy.

— Pojadę wkrótce do Warszawy, żeby się zobaczyć z komitetowymi. Zdam relację, dobrodzieju mój. Może już przywiozę coś pewnego o kandydatach... Będę pewno i u Gwiazdowskiego.

— Gwiazdowski należy do was?

— A jakże!

— Prawda, prawda... No, a pan Jan Rokszycki z Ziembowa?

— Pan Jan... jeszcze nie. Złapać go nie mogłem: siedzi za granicą.

Znowu przechadzka w milczeniu.

— Proszę mi powiedzieć — odezwał się po chwili Wapowski — czy ten akt podpisany u Gwiazdowskiego został już gdzieś złożony? wysłany? — jednym słowem, czy już koniec z tem?

— Podpisują w dalszym ciągu. Ale nie jest to obowiązujące.

— A, to dobrze. Bo zresztą cele waszego stowarzyszenia nie mogą być mi obce... Jeżeliby chodziło o udział pieniężny, o pracę nad oświatą ludu, wreszcie o akcję wyborczą, mógłbym porozumiewać się z wami.

— Chodzi nam także bardzo o pozyskanie osoby...

Wapowski zatrzymał się. Twarz miał gorączkową, a oczy przymknięte. Znękanym ruchem położył obie ręce w wyciągnięte dłonie delegata.

— Niech i tak będzie.

Apolinary nie doznał oczekiwanej radości ze swego tryumfu. Nawet pomyślał:

— Ten się tak do nas przyłącza, jakby go kto prowadził na męki... Każdy ma swoje maniere.

.

Gdy po obiedzie delegat opuszczał Wojewódzice, udając się do niezbyt stąd odległego miasta, był jednak bardzo zadowolony ze swego dnia politycznego. Przyglądał się sam sobie retrospektywnie i nie znalazł nic do zarzucenia swej postawie, swemu taktowi towarzyskiemu i retorycznemu. Doprawdy urósł i czuł w sobie siłę olbrzyma.

— Niech mi teraz kto powie, zem pozyskał

byle kogo! Taki Wapowski! Ale trzeba było wiedzieć, jak się do niego zabrać. Fiu!

Tak rozgorzał żarliwością, że już w powozie rozmyślał o nowych werbunkach i szukał w pamięci, czy niema kogo przy szosie do pozyskania... W mieście zaś... aha! zaraz — w mieście znał jednego prałata bardzo wymownego, gatunek zdalny na posła.

DZIEŃ SZÓSTY.

Po kilkudniowym objeździe wracał pan Apolinary do domu, niby z dalekiej podróży. Objechał nie wielki szmat świata, nie siadając nawet do wagonu kolei żelaznej, — ale nigdy myślą tyle nie pracował samoistnie. Ile wysiłków, ile wrażeń! Jaki w samym delegacie wzrost doświadczenia i ambycji!

Dojeżdżał do domu ze zwykłym przychylnym dla Penatów i ogniska uczuciem, jednak bez pragnienia miękkiego odpoczynku. Jeszcze działać! jeszcze kojarzyć! Niezmordowanym pochodem przez zasługę do laurów! Słusznie przyznawał sobie zasługi niepowседневne; pozyskanie, na przykład, Wapowskiego było dziełem trudnem, a przecie dokonaniem. W mieście wymowny prałat okazał się wprowadzić już uprzednio stowarzyszonym i działającym na wszystkie cztery strony świata, ale za to pan delegat złapał do swej sieci apostołskiej dwie nowe ryby: jeszcze wymowniejszego, niż prałat, kanonika, który zwątpił o możliwości zo-

stania kardynałem i poszukiwał zajęcia trybuna — oraz grubego przemysłowca, odpornego dotychczas na wszelkie wołania kraju. Połów był obfity, mieniący się pełnemi obietnic barwami w promieniach słońca przyszłości. Więc rybak dusz siedział dumnie w zakurzonem koczu, a na prawo w leju, parszając na dobrą wróżbę, wrywała Łysa.

Pochwali się najprzód przed żoną — co należy integralnie do sakramentu małżeństwa. Następnie odszuka dawno niewidzianego przyjaciela i najbliższego sąsiada, pana Jana Rokszyckiego i powie mu tak: »Oto com uczynił, oto jacy jesteśmy, a teraz — połącz się z nami, bo bez nas niema zbawienia dla kraju«.

Jeszcze parę staj — nowa obora — lipa rozłożysta — i pan Apolinary wita już na progu domu swego żonę i syna.

— Wszystko dobrze, mam nadzieję? Gdzież Demel?

— Ech, pan Demel pewno gdzieś na wsi, z chłopami — odpowiedziała pani Tekla z nietajonem rozdrażnieniem.

Pan Apolinary spojrział z podziwem na żonę. Tak niechętnie odezwanie się o pedagoga w obecności Janka nie mogło być bez kozery. Dowie się niebawem. Teraz trzeba wybadać chłopca o postęпах w nauce.

— Jak się mają twoje »abemy« panie akademiku?

— Przeszliśmy już abemy, proszę tatki. Teraz się uczę o pobudliwości i energii potencjalnej.

— Co takiego?!... Poproś-no tu do mnie pana Demla. Albo nie... poślij Antka niech go poszuka i poprosi do mnie.

Małżonkowie pozostali sami.

— Co się dzieje? — pytał zaniepokojony Apolinary.

— Źle się dzieje, mój drogi. Parobcy się buntują. A Demel ciągle z nimi. Dzisiaj nawet lekcyi nie było, bo pan nauczyciel ma coraz więcej interesów na wsi.

— Z dziewczynami?

— I to także. Ale głównie, że parobkom i czeładzi androny prawi o wyzysku przez chlebobawcę. Justynowa na własne uszy słyszała.

— To taki profesor?! Dawać mi go tutaj!

— Ostrożnie, Polciu, proszę cię... jak mnie kochasz. Niewiadomo co to za jeden. Jeszcze podpalić gotów, albo co gorszego.

Pan Apolinary ujął machinalnie drewniany nóż do papieru i, trzęsąc nim groźnie, przechadzał się po pokoju.

— Głupstwo! Związać każę, ciupasem odstawię!... Już i u Gałązki w Garbatce znaleźli się tacy panowie. A myśmy go sobie sami sprowadzili za własne pieniądze! Udało się, no...

Pani Tekla poczekała, aż się Apolinary wysapie.

— Na mój rozum, jabym mu nie wspominała ani o parobkach, ani o Justynowej. Zapłaciłabym co chce i poprosiłabym, aby się wynosił. Sposób nauczania nam się nie podoba.

— A bo i pewno. Słyszałeś, czego dziecko uczy?

— Słyszałam — niema sensu.

— Co to: sensu! Sodomia i Gomora! Chłopaka w tym wieku uczyć energii potencjalnej! Rzeczywiście, świat do góry nogami!

Na szczęście, nie odrazu stawił się na wezwanie pan Demel. Przez ten czas dymisya, którą miał dostać, nabrała w radzie małżeńskiej form dyplomatycznych, skłaniając się do zdania pani Tekli. Pani Tekla wyjednała sobie nawet pozwolenie, że sama załatwi sprawę z Demlem, pod pozorem, że zna go lepiej, niż Apolinary, który ciągle był w podróży.

Gdy się Demel zjawił nareszcie, pani Tekla przyjęła go w pokoju przyległym do gabinetu męża i po kilku minutach już wyszła stamtąd z relacją.

— Skończyłam: Za godzinę wyjeżdża, prosi tylko o konie do kolei.

— Cóż mu powiedziałaś?

— Zwaliłam winę na nas oboje. Powiedziałam, że jesteśmy ludźmi starej daty i zapatrujemy się inaczej na wychowanie syna.

— A on?

— A on nic. Przybrał bardzo dumną postać — i zgodził się. Nawet nie wziął pieniędzy za resztę miesiąca, jak mu ofiarowałam, tylko za podróż i dwa tygodnie, które przesiedział.

Pan Apolinary zamyślił się, a potem rzekł miękkim głosem:

— Nie poznałem wcale tego młodzieńca...

— Nie żałuj go — już ja ci mówię.

Ten zbieg okoliczności jest przyczyną, że i my nie zdążyliśmy bliżej poznać pana Demla. Wiemy tylko, że miał rude włosy, że przywiózł z sobą kilka grubych książek i kilka paczek broszur. Że był ducha niezależnego i przyjacielem ludu. Przeszłość jego i pobudki działania pozostały dla nas tajemnemi. Chyba przyszłość go nam pokaże?

Po wyjeździe pana Demla rozterka między dworem a parobkami znikła. Dziedzic zaprosił do siebie swych pracowników, przyjął ich pochwaleniem Chrystusa, wysłuchał cierpliwie kilkunastu cudzych frazesów, zmyślonych faktów i niemożliwych żądań. Na to wszystko miał gotowe odpowiedzi. Dowiódł nieprawdy pogłosek, obalił wygórowane żądania prostym rachunkiem ekonomicznym. Skończyło się na paru drobnych ustępstwach i na wzajemnem zadowoleniu.

Po załatwieniu tych spraw domowych — jazda do pana Jana!

Ziembów, majątek pana Jana Rokszyckiego, miał swą fizygnomię osobną, wyróżniającą się

w okolicy. Z powodu paru wysokich kominów i skupionych dachów jednego typu, wyglądał z daleka, jak osada fabryczna. Dom zaś i ogród, choć utrzymane starannie, miały pozór skromny, nie panujący nad resztą. Stary dwór parterowy, zakłęsnięty, zdawał się dźwigać z ziemi nowymi pędami w postaci dwóch wyższych przybudowań.

Pan Apolinary znał Ziembów prawie tak dobrze, jak swą wieś rodzinną, był oddawna świadkiem jego wzrostu. I dzisiaj przyjaznem okiem lustrował, czy się co nie zmieniło w ostatnich tygodniach. Nic prawie. A jednak — łaki musiał Jan przebronować i podsiać, bo trawa na nich równa i gęsta, jak na polu... Co za jęczmień! Skąd u licha wziął takie nasienie, że mu się rodzi, kiedy nigdzie w okolicy jęczmień się nie udaje? Czaro-dziej. I w budowlach musi zawsze coś majstrować: ot przy stajni fornalskiej przybudówka, jeszcze nie pobielona... Pewno parnik na paszę? Dobra rzecz. A jedzie się po jego drogach, aż człek wypoczywa, choć na bryczce. Nawet konie parskają z ulgi, kiedy przejadą granicę Ziembowa.

— Jest w domu?... Chwała Bogu. Nareszcie.

Pan Apolinary wtargnął bez ceremonii dobrze znaną drogą do gabinetu, pachnącego trochę starzyzną i spichrzem z powodu odwiecznych mebli i próbek rozmaitego zboża.

Od biurka, przy którym siedział, spojrzął ponad okularami pan Jan, nadstawiając ku wchodzą-

cemu bujny swój czub siwy. Potem szybko zatknął pióro w kubek ze śrótem, powstał i przyjął w ramiona sąsiada.

— Oj, stary, stary! — rzekł po chwili niespodzianie, kiwając przyjaźnie głową.

— Co? źle wyglądam?

— Doskonale. Nie o to chodzi.

— Tylko o co? — dopytywał się stropiony nieco pan Apolinary.

— O co innego, mój serdeczny. — Obiad jadłeś?

— A jakże. Godzina czwarta. Przyjeżdżam na gawędkę o ważnych sprawach krajowych.

— Na gawędkę... hm. A robota gdzie?

— Przy niejednej ja już byłem robocie, dobrodzieju mój. I teraz pracuję jak wół dla naszego Stowarzyszenia.

— To robota?

— A co zaś innego? Zajmujemy się działaniem przeciwko siłom wstecznym nurtującym społeczeństwo... sprawą szkolną... uświadomieniem ludu... no i wszystkim, co jest »pro publico« użyteczne. A ogarniamy kraj cały.

— Nauczono cię gadać, sąsiedzie mój serdeczny.

— At — odparł trochę szorstko Apolinary — nie wątpię, że masz rozum, dobrodzieju mój, aleś trochę skwaśniał. I masz swoje... partykularności. Działasz na własną rękę, a nie solidaryzujesz się z narodem. Poczekaj, posłuchaj, dobrodzieju mój!

Zamiast się oburzyć, pan Jan Rokszycki założył ręce, błysnął z pod wydatnych brwi oczyma głębokimi, ale raczej ze współczuciem, niż groźnie.

— No, słucham, proszę... słucham.

— Widzisz, sąsiedzie kochany, przyjechali do mnie w końcu przeszłego miesiąca dwaj panowie: Kotulski i Hyc.

— Aha. Znam tych dygnitarzy. Cóż dalej?

— Bliżej ich tam nie znam, dobrodzieju mój. Ale widziałem ich przecie i w Warszawie i przy robocie i porównałem to, co mówili, ze zdaniem komitetu i byłem u Gwiazdowskiego...

— Toś może i akt podpisał?!

— Ma się wiedzieć. Wybór całego kraju podpisany pod aktem.

— Apolinary! bój się Boga! trzebaż się poradzić...

— Trudno, dobrodzieju mój, kiedy czas nagli, odwoływać się ciągle do zdania tych tam... prawyborców.

Rokszycki oniemiał. Patrzył, patrzył, aż złagodniał zupełnie, jak lekarz niecierpliwy, który chorego ofuknie, gdy nagle zauważy, że chory bredzi w gorączce.

— Wytlomacz trochę jaśniej, mój serdeczny, bo nie rozumiem.

— A widzisz. Trzeba się najprzód zrzeszyć, zsolidaryzować...

— Nie o tem. Ale coś tam wspomniałeś o prawyborcach. Gdzież oni są?

— No, całe nasze Stowarzyszenie opiera się ostatecznie na zasadzie wyborczej. Gdy chcemy wysłuchać głos całego narodu...

— Dobrze, dobrze. Nie dowódź mi, tylko wymień fakty. Już ja się połapię. Zatem siłą waszą jest zasada wyborcza. Może i ty zostałeś wybrany?

— A jakże, jestem delegatem naszego powiatu.

— Chyba delegatem na nasz powiat przez kogoś mianowanym? Bo jakież były wybory? Kto głosował?

— Głosowało tam kilku...

Pan Apolinary nie chwalił się wogóle zaufaniem okazanem mu przez Gawłowskiego i Pawłowskiego. Wobec pana Jana wydało mu się nawet śmiesznem wymienić te dwa nazwiska swych wyborców.

Ale pan Jan nalegał:

— Więc któż głosował, bo trzeba to wiedzieć?... Czy Wapowski z Wojewodzic? Czy Strzempiński z Kotła? Czy Świeborowski z Woli?... Czy może mniejsza własność?

— Wybory nie mogą u nas być... zupełnie tak jak być powinny.

— To żarty, mój serdeczny. Przypuśćmy jednak, że jesteś wybrany przez grupę ludzi. Do czego zatem zmierza ta grupa?

— Do załatwienia najpilniejszych spraw krajowych, jak już mówiłem.

— Nie. Zmierza do rozszerzenia swego wpływu i trudni się popieraniem swoich kandydatów do Wielkiej Rady.

Na takie »dictum« Apolinary nie znalazł odpowiedzi. Ostatecznie Jan streścił bez wdzięku to, co daje się tak pięknie rozwinąć, opromienić i obnosić po rodzinnym kraju. Mówił jednak to samo, więc pan delegat zapytał:

— Cóż w tem złego?

— Nie byłoby nic złego, gdyby cele były zupełnie szczerze, gdyby akcja podjęta była dla wyraźnego dobra kraju, gdyby solidarność była wyrozumowana, a nie ślepa i zależna od kilku osób, gdyby... Tyle jest zastrzeżeń, że ci ich nie wyliczę.

— Bo ty zawsze panie Janie chciałbyś na swoją rękę. Dobrze oni to jednak mówią o tobie.

— Jestem pewien, że ci panowie źle mówią o mnie. Nie jest mi to obojętne, bo przeszkadza w rzeczywistych robotach, ale zniosę i złą ich opinię.

— Zła znowu tak nie jest. Bronilem cię gorąco.

— Bronileś? Zatem czyniono zarzuty.

— Ii... bardzo tam ważne — nie. Jednak powiedziano mi o tobie coś takiego, że... obstupiałem. I chciałem cię nawet po starej przyjaźni zapytać.

— Co takiego?

— Czy nie jesteś Masonem, dobrodzieju mój, i to szkockiego obrządku?

Obstąpił tym razem pan Jan Rokszycki. Po chwili zaczął mówić energicznie:

— Słuchaj, sąsiedzie. Masoni nie budują kościołów katolickich, a ja jednak budowałem. Szkockiego obrządku nie znam, ale mój polski obrządek jest jasny dla każdego, który mnie zna.

— Nie alteruj się, kochany panie Janie. Skoro zapewniasz, że nie, już wypuściłem z uszu i z pamięci...

— Ale cię to gryzło, póki nie miałeś pewno ści. Przyznaj? A widzisz, nie każdy ma chęć i osobność przyjść do mnie i zapytać. Tymczasem plotka rośnie i zniechęca ludzi do mnie. To jest niedozwolony sposób działania.

— At, słyszałem to tak, na uboczu — zagadywał pan Apolinary.

— Zawsze jednak wyszło to z waszej grupy.

— Nawet nie wiem, czy ktoś z naszych ludzi powiedział... Gdzieś, nie pamiętam, wyrwał się z tą bajką jakiś chłystek — komponował pan delegat dla osłonięcia swych przyjaciół politycznych.

I przystąpił do wykonania głównego swego zamiaru:

— Tandem tedy, dobrodzieju mój, gadajmy o rzeczy. Wracam z objazdu powiatu i skaptowałem, rzec mogę, wszystkich znaczniejszych, którzy

dotąd nie przystąpili do nas. Zacząłbym od ciebie, aleś był zagranicą.

— Kogoż więc pozyskałeś? — pytał pan Jan.

Delegat wymieniał po kolei swoje zdobycze, a Rokszycki krzywił się, albo machał ręką. Ale na ostatek zachował sobie pan Apolinary Wapowskiego z Wojewodzie.

— Wapowskiego pozyskałeś?! A to jakim sposobem?

— Przekonałem go. Gadaliśmy, gadali — aż się zapisał.

Pan Apolinary zatknął wielki palec za wykrój kamizelki i spoglądał ze swobodnym tryumfem na pana Jana. Ten zaś dopytywał się pilnie:

— Chyba mu obiecałeś mistrzostwo w waszej nie-masońskiej łóży?... Ale nie — i na to by się nie złakomił. Nie rozumiem.

Pan Apolinary przybrał minkę filuterną:

— A także mi się kręcił, także stękał na Stowarzyszenie: i to mu źle i to niedobrze. Nie przy mierzając, jak ty, dobrodzieju mój. Ale gdy się dowiedział, że posłem do Wielkiej Rady nie zostanie nikt, jak tylko stowarzyszony, — zaraz perora inna: »Macie pewne zasługi, jesteście jedyną w kraju organizacją«... no, i zapisał się. Nie żartuję — zapisał się.

Pan Apolinary powtarzał zapewnienie, bo pan Jan śmiał się głośno, choć nie wesoło:

— Tak, tak. Teraz rozumiem. Mówił mi dawno,

że będzie kandydował. Ale cóż to? szafujesz mandatami poselskimi? trudnisz się także akcją przedwyborczą?

— Robi się i to. Mam pewne wpływy w komitecie — próbował mistyfikować pan delegat.

— To działasz zapewne w porozumieniu z Kotulskim, który objeżdża grubszych kolonistów, właścicieli fabryczek, nawet gminy — i przygotowuje grunt do wyborów?

— Gdzie objeżdża? kiedy? — zapytał pan Apolinary, błędąc.

— Krąży w naszym powiecie i w sąsiednich. Wczoraj był tu w pobliżu o kilka wiorst. Podobno chciał się widzieć ze mną, ale wymówiłem się.

Po dłuższem milczącym zdumieniu pan Apolinary powrócił do rozmowy:

— Aa, to widać już zaczął... Mówił mi, ale nie wiedziałem, że już zaczął... To dobrze.

Wcale dobrze nie było. Nasz delegat dowiadywał się po raz pierwszy o zabiegach Kotulskiego w powiecie, gdzie on, Apolinary, jest urzędowym reprezentantem Stowarzyszenia. Przeczuwając jakąś niespodziankę, był urażony i stropiony. Ale starał się utaić swe wzruszenie, więc odwrócił rozmowę:

— Skąd ty wszystko wiesz zawsze, dobrodzieju mój?

— Skąd? — uśmiechnął się pan Jan — jestem stowarzyszony.

— Co? gdzie? jak?!

— Nie z wami, uspokój się, mój serdeczny. Nasz związek nie obejmuje całego kraju, ale rośnie jednak powoli po całym kraju. Nie rządzi nami komitet, ani przysięgamy na solidarność. Jednomysłność, zapadająca po wspólnych naradach i wymianie zdań, okazuje się w cichych uchwałach, których nie ogłaszamy »urbi et orbi«. Porozumiewamy się, informujemy wzajemnie — i pracujemy prawie bezimiennie. Nie jesteśmy najwyższą instancją do załatwiania wszystkich spraw krajowych, ale każdą sprawę wspólnie uznana za dobrą, posuwamy zgodnym wysiłkiem rąk, słowa i pióra. Kochamy silnie, a mówimy o tem mało. Nie ustępujemy nic, ale nie żądamy naraz wszystkiego. Jesteśmy tak niepokaźni, żeś pewno nie słyszał nawet o nas, mój serdeczny?

— Jak Bóg żywy, nie słyszałem — rzekł zdumiony pan Apolinary — Jakże się choćby nazywacie?

— Nawet nazwy urzędowej nie mamy. Nie jesteśmy bowiem stronnictwem, tylko prostymi synami tej ziemi. Wy zato przezwisk nam nie szczędzicie: ten z nas jest »pogodzony z losem«, choć nic nie ustąpił z rzeczy pospolitej i nieustawał w walce z losem przeciwnym; tamten jest Masonem, choć buduje kościół; trzeci nie posiada »ducha narodowego«, choć go ujawniał i zapalał każdym swem tchnieniem; znów inny jest szkodli-

wym kunktatorem dlatego, że nie chce trwonić dobytków ogólnych na niecierpliwe wymagania chwili, albo stoi twardo przy obronie cennych urządzeń przeszłości. — A my się jeszcze nie nazywamy. Czekamy, aż nazwie nas historia.

Pan Apolinary słuchał pilnie i aprobował. Musi to być mądre, skoro mówi pan Jan.

— O ile rozumiem, dobrodziejmo mój, mamy jedno cele, sposoby tylko inne. Dlaczego by się nie połączyć? Sam jeden, kochany panie Janie, mógłbyś wiele nam pomódz swem doświadczeniem.

— Za późno, mój serdeczny.

Delegat westchnął:

— Szkoda, wielka szkoda, żeś nie wiedział dawniej o Stowarzyszeniu. Gdybyś był w naszym Komitecie...

— Byłem przy pierwszym projekcie, dużo dawniej od ciebie. Spotykałem tych samych ludzi, pracowałem nawet z nimi na niektórych polach. W wielkiej waszej ilości są przecie ludzie pożyteczni i sumienni; nawet niewielki procent zdolnych się zdybie. Ale gdym stwierdził przewagę ambicji stronnicej nad troską o sprawę ogółu — usunąłem się. Nie jest to dezercja od sprawy — o nie! — ale od ludzi.

Pierwszy to raz pan Apolinary, choć z dawna zaprzyjaźniony, usłyszał od pana Jana tak poważną rozprawę o polityce. Był wzruszony. Dawniej

miał za złe sąsiadowi, że w materyach politycznych zbywał go często żartem. Dzisiaj niepodobna już tak lekko traktować pana delegata. Zrozumiał jednak pan delegat, że dalsze nalegania na nic się nie zdadzą i musiał zrezygnować z arcydzieła, które sobie na ukoronowanie swych zabiegów obiecywał — z pozyskania Jana Rokszyckiego.

Wypytywał go więc o zdrowie rodziny. Pani Rokszycka mieszkała w Warszawie przy córce już dawno zamężnej i matce trojga dzieci. Starszy syn wykładał ekonomię polityczną na zagranicznym uniwersytecie. Młodszy był pogrążony z zamiłowaniem w przemyśle fabrycznym. Wszystko szło dobrze w rodzinie, rosło i rozmnażało się. I sam pan Jan był krzepki, niezmordowany, mimo, że przybliżał się do sześćdziesiątego roku życia. Tylko pogoda, cechująca dotychczas jego twarz energiczną, jakoś zamglila się w ostatnich czasach. Pan Apolinary to zauważył:

— Czy nosisz się z jaką troską, dobrodziejmo, bo jakoś mi schudłeś? Wszystko ci się udaje — i gospodarstwo i dzieci i wnuki. Silny jesteś, masz mir u ludzi, a coś tego... jakby cię gryzło.

— Zgadłeś, mój serdeczny. Czasy przyszły duże, a zastały nas niedorośliwych. Dorośniemy, nie wątpię, ale ten proces wzrostu jest męczący.

.

— Stetryczał mi trochę pan Jan — myślał pan Apolinary, powracając do domu. I do nas nie przyłączy się, niema co i gadać. A chciałem go użyć do reformy Stowarzyszenia. Żeby tak trochę pogadał z naszą starszyzną... Trudna rada, kiedy nie chce.

Nagle twarz delegata rozjaśniła się odbłyśkiem jakby nowej zorzy:

— A ja od czego? A ja to nie mogę przeprowadzić reform pożytecznych?

Ogarnął naraz ogromne widnokregi, których całkowite objęcie odkładał do późniejszego namysłu. Lubował się dopiero w niektórych spostrzeżeniach niepozbowionych genialności:

— Choćby naprzykład ten objazd Kotulskiego, o którym nie wiedziałem. Nie w porządku. A ta informacja o masoneryi pana Jana. Także nie w porządku. Trzeba zrobić nowe wydanie słownika obywatelskiego. A to jeszcze i znowu tamto...

Widział teraz jasno, — może pod wpływem rozmowy z panem Janem — całą seryę zboczeń od ideału w ustawie, w sposobach działania, a nawet w celach Stowarzyszenia. On to skontroluje, udoskonali. To mi zadanie godne męża! Mając zaś pod boki pana Jana, który po staremu wie o wszystkim, zna się na wszystkim...

Przeciągnął znowu ramiona, niby skrzydła:

— Miły Boże! ile tu zadań, ile roboty w polityce wewnętrznej!

Zorza pozachodnia różowo-sina, czysta, wróżyła stałą pogodę. Otucha na jutro, na żniwa. Zapachy wstawały upajające od zbóż dojrzałych. Nad łąkami zaległy jeziora oparów, aż myliły drogę powrotną do domu, stając wpoprzek rzeczywistości. Na krzakach przydrożnych tkwiły fosforyczno-zielone świetliki, albo wałęsały się w powietrzu, ciągnąc za sobą wyobraźnię w tajemnice nocy. Chciało się marzyć sennie o rozkoszach...

Ale trajkotne hasło kołatki nocnego stróża przywołało dreszczem pana Apolinarego do zadań nie cierpiących snu:

— Do czynu! do reform!

DZIEŃ SIÓDMY.

Według Arcywzoru dzień siódmy używany bywa przez twórców na odpoczynek. Ale dzieła ludzkie tak są niedoskonałe, że na przykład pan Apolinary siódmego dnia, zamiast przyglądać się z lubością czynom dokonany, przedsięwziął reformy.

Zapytania do komitetu rozmnożyły się w notatniku i urosły do kilku stron pisma. Wątpliwości należało usunąć, ogólny plan działania przejrzeć okiem krytyka i jeżeli nie przeprowadzić odrazu, to w stosownym memoryale wskazać niezbędne reformy. Po dniach misyjnych następował dla delegata nie mniej ważny okres prawodawczy.

Zadanie było szczerne, ale mniej wdzięczne najprzód z powodu, że nie mogło już odbywać się na powietrzu, pośród mieniających się barwami objawów życia wiejskiego; wypadało teraz działać nie na świeże umysły prozelitów, ale na pełne argumentów, rutyny, a może i uporu głowy kiewo-owników. Nadto pan Apolinary czuł się znaczne i

mocniejszym w sztuce serdecznej perswazyi, niż w logice teoretycznej. Lecz że nie święci garnki lepią, a pan delegat ulepił już nawet z różnorodnej gliny kilku stowarzyszonych, tuszył więc sobie i o tej nowej akcji reformatorskiej jak najlepiej.

Najprzód — sprawdzić wszelkie objawy i ruchy, dotychczas pozostające zagadkami.

Posłał więc Antka w jednym kierunku konno, w drugim zaś zaufanego Kazimierza bidką, aby mu się dowiedzieli dokumentnie, gdzie był i co gadał w okolicy Kotulski.

Oczekując wyniku tych wywiadów, sam, nie bacząc na rozpoczęte żniwa, zasiadł natychmiast do spisania umotywowanych zapytań do komitetu. Myślał, pisał, kreślił — okazało się jednak, że ten kwestyonaryusz świadczy tylko o niedostatecznem powiadomieniu delegata, lecz nie o błędnem działaniu komitetu. Odpowiedzi mogły być zadawalające, a wtedy — gdzież droga do reform? Inne należało obrać stanowisko krytyczne. Może inne stanowisko moralne?... Pan Jan by to potrafił.

Wszelkie początki są trudne. Więc i pierwszy wysiłek reformatorski pana Apolinarego Budziszka nie udał się i zajął wieczór bezowocnie.

Nazajutrz powrócili posłańcy z wywiadów. Kazimierz był podchmielony i opowiadał straszne rzeczy »o podburzaniu chamów przez tego przybłądę«, o tem »że źle będzie, jeżeli tak dłużej

potrwa, — wreszcie o utrudnieniu życia z powodu sprzedaży wódki na flaszki, a nie na kieliszki. Pan Apolinary wyrzucił go za drzwi.

Antek przywiózł wiadomość pozytywniejszą, że pan Kotulski był przedwczoraj w miasteczku, zajechał do właściciela młyna i wszedł z nim w jakąś umowę. Co z sobą mówili — niewiadomo. Ale po wyjeździe pana Kotulskiego młynarz siadł także na bryczkę i w świat pojechał. Powiadał żonie, że na długo, bo ma na kilka mil wokoło ludzi namawiać. Do czego? — również niewiadomo. — Słysząc, że ten pan młyn z ogromem kupił.

— A to na co? Językiem mu mleć, a nie żarnami, dobrodzieju mój.

Takie wiadomości drażniły tylko pana Apolinarego zamiast mu posłużyć do jasnego przeniknięcia działań osób wpływowych w Stowarzyszeniu.

— Niema innej rady — trzeba jechać do Warszawy.

Spotykamy więc znowu pana delegata w hotelu Saskim, ale twarz jego, do niedawna pogodna i pełna przyszłości, nosi teraz piętno trawiącego niepokoju o publiczne dobro. Pan Apolinary głowę pochyla pod ciężarem odpowiedzialności, palcami przebiera nerwowo, jakby coś chwycił i czegoś nie dosięgał. Uroczysty surdut utracił

formę czarnego pancerza, pomarszczył się i spo-
sępniał.

Daremnie zapukał do drzwi kilku znajomych
z komitetu. Jeździli gdzieś po świecie, pozosta-
wiwszy w mieście, zamiast adresów, tylko tęsknotę
po sobie.

Ale Gwiazdowski? Ten jest na pewno. Stało
w porannej gazecie, że Gwiazdowski błogosławił
wczoraj pewnego młodzieńca, wybierającego się
na studia historyczne z epoki Wazów do Sztok-
holmu. Jutro zaś inaugurować będzie nowo otwo-
rzoną szkołę kroju dla ubogich panien.

— Biskup, czy co? — pomyślał Apolinary. —
Ale jest przynajmniej. Pójdę do niego.

I siadłszy do dorożki pojechał do mieszkania,
przypominającego świeże jeszcze wzruszenia wiel-
kiej akcji podjętej na wypadek europejskiego
kongresu.

— Jest pan w domu?

— Jest, ale bardzo zajęty. W tych godzinach
nie przyjmuje — odpowiedział służący.

— Poczekaj, mój bracie.

Pan Apolinary wyjął z kieszeni bilet wizytowy
i dopisał ołówkiem:

»Apolinary Budzisz

delegat powiatu ** — w sprawie kongresu.

— Masz tu bilet i pół rubelka. Może mnie
pan przyjmie.

Po paru minutach służący powrócił i oddał inny bilet:

»Joachim Sternstein Gwiazdowski

najmocniej przeprasza, że z powodu sesyi przyjąć pana delegata nie może. Kongresu najprawdopodobniej nie będzie«.

— Tam do licha!... A powiedz -no, mój bracie — masz jeszcze pół rubla — co tam za sesya?

— A gadają tam, proszę pana, o bezrobociu w szkołach.

— Dziękuję ci.

Pan Apolinary odchodził od drzwi zamkniętych ugodzony podwójnym ciosem w serce.

— Nie będzie kongresu?... więc pilnaż była potrzeba taki urządzać rwetes z tym aktem?... No, no — dziwne... A mistrz mógłby mnie wpuścić na naradę. Nie jestem przecie obcy — i także coś wiem o bezrobociu szkolnem... Do dyabła z taką solidarnością!

Powracał przez ulice, powleczone jakąś mgłą żałobną. Zabrakło bowiem nad miastem różowej illuminacyi złudzeń.

— Zapominają nawet, że'm użyteczny...

Chodząc po mieście bez określonego celu, spotkał nawet paru znajomych ze »swoich ludzi«. Niedawno rzuciłby się do każdego z nich, wypytałby, udzielił własnych wiadomości i doświadczeń.

Dzisiaj pozdrowił ich z daleka i minął pogrążony w myślach:

— Co oni tam wiedzą! Łażą po świecie, myśląc pewnie o tem, dlaczego się stowarzyszyli.

Od czasu do czasu wzbudzał w sobie rozpaczliwą energię:

— Reformy! trzeba koniecznie reformy...

To znowu czuł się osamotnionym, bezsilnym wobec organizacyi, której się poddał. Wtedy tęsknił do pana Jana, do jego jasnej i gotowej zawsze rady.

Zaszedł do cukierni i począł czytać gazety. Już na ulicy natkano mu do rąk różnych świstków i »dodatków nadzwyczajnych«. Czytał chciwie, bo zaniedbał się był trochę pod tym względem z powodu objazdu powiatu. Wieści z dalekiego Wschodu były stanowczo pokojowe, ale o żadnym kongresie pacyfikacyjnym ani słychu. Różne zaś wiadomości i zdania o polityce wewnętrznej brzmiały tak samo groźnie, jak dawniej. Ten sam terrorizm ciemny i nieugłaskany; te same hasła spreczne i namiętne.

— Cóż u Pana Boga robią nasi? Gdzież skojerzenie stronnictw? gdzie działanie na siły wsteczne? Albo... na co się to działanie zdało?

Czytał długo, a czując coraz cięższy zawrót głowy, cisnął gazety o stół, świstki kupione po-

wtykał do kieszeni i, nieprzyjemnie rozgrzany, wyszedł znowu na ulicę.

— Chyba przejechać się do Łazienek, bo głowa pęka...

Wtem ujrzał postać schyloną, dążącą tak śpiesznie po chodniku, że zdawała się, w porównaniu ze zwykłym przechodniem, iść kłusa. Postać niosła tekę pod pachą, nie odznaczała się zresztą żadną cechą indywidualną.

Ale pan Apolinary stuknął się w czoło:

— Gdzie ja tego jegomościa widziałem?... Aha — wszędzie. Żeby tylko mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa... Wszystko jedno — zaczepię go.

I rzuciwszy się na przelaj ku pędzącemu przechodniowi dopadł go, zatrzymał za pomocą wielkiego ukłonu.

— Moje najniższe panu... prezesowi.

Trafił: przechodzień był prezesem.

— Kłaniam uniżenie. Jeżeli się nie mylę, pan Budzisz?

— Do usług. Wracam z objazdu delegackiego po moim powiecie i wielce rad jestem, że spotkał prezesa dobrodzieja, bo pragnąłbym zasięgnąć języka i także postawić naszej starszyźnie kilka pytań.

— Może pomówimy, idąc razem, szanowny kolego? Bo wyznam, że śpieszę nadzwyczajnie. Mamy sesję, która trwa już trzydzieści godzin

bez ustanku, z małemi przerwami na posiłek. Niektórzy śpią nawet na miejscu.

— Mężowie pełni poświęcenia — nie mógł nie przyznać pan Apolinary.

— Bo to, panie, ogromne rzeczy się dzieją, po prostu ogromne...

Apolinary zdążał, sapać, za swym szybkońogim towarzyszem, ale dopadłszy raz jednego ze skarbników wielkich tajemnic, nie chciał go puścić zanim czegoś nie pochwyci z upragnionych, autentycznych powiadomień.

— Mówi pan prezes: ogromne? Może załatwiliście sprawę szkoły, bo rzeczywiście ogromnie na to czekamy.

— Załatwiamy zasadniczo kwestyę, obejmującą wszystkie inne. Mówimy z panami, którzy do nas specjalnie przyjechali z Moskwy.

— Czytałem, czytałem. Bawi u nas Pomorcow.

— I kilku innych. Wyobraź pan sobie, panie delegacie, że gdyśmy wczoraj odczytali Pomorcowi nasz akt podpisany u Gwiazdowskiego — wie pan?

— A jakże, i ja podpisałem.

— Więc gdy Pomorcow objął treść naszego programu, po prostu zdumiał się.

— Wierzę, bardzo wierzę.

— I odrzekł... Tylko to jest tajemnicą.

— Niejedną ja już przechowuję, panie prezesie.

— Odrzekł mniej więcej tak: ...To bardzo wymowny człowiek.

— I w to wierzę. Cóż tedy powiedział?

— Powiedział: »Jeżeli panowie stoicie na stanowisku potencji niezależnej, mogą tylko przyklasnąć waszemu programowi«. Oni muszą stać oczywiście na innym gruncie. Ale jaka doniosła wymiana zdań — co?

— Bezwątpienia. Więc jednak pozostaliście przy swoich zdaniach?

— Zgadzamy się coraz bardziej. — A jaki to miły człowiek Pomorcow! Wyobraź pan sobie...

Tu dopiero prezes przystanął, aby opowiedzieć zdarzenie. Pan Apolinary miał czas odsapnąć w swej pogoni za światłem centralnem.

— Wyobraź pan sobie — byłem u niego w hotelu. Przyjął mnie, choć to człowiek tak zajęty, że doprawdy godziny, które nam poświęca, kradnie po prostu swej szerokiej działalności. Listów, telegramów od instytucji, od redakcji — całe stosy, nawet tutaj. Więc przegadaliśmy kwadrans a ja, wychodząc, zostawiłem w jego numerze, książkę i rękawiczki — rozumie pan? — przypadkiem.

— Rozumiem.

— Na drugi dzień przed dwunastą zjawia się u mnie pan Pomorcow, ekzkuje się, że o tak wczesnej godzinie, ze względu na ścisłe zajęcie

godzin następnych — no — i odnosi mi książkę i rękawiczki. Jakie to uprzejme!

— Należało się, panie prezesie.

— Należało się, czy nie, ale człowiek tak zajęty... pojmuję pan?

— Rzeczywiście.

Po opowiedzeniu tej znamiennej anegdoty historycznej prezes puścił się znowu klusem, a z nim i niestrudzony pan Apolinary.

— A dojdzie tam do czego?

— Dojść musi choćby do zupełnego wniknięcia w nasze wzajemne desiderata. Choćbyśmy mieli siedzieć jeszcze trzydzieści godzin.

— A co do tego, prezesie dobrodziej, załatwienia najpilniejszych spraw wewnętrznych... macie też ciągłe narady?

— Ach nie. Na to mamy sekcye, osobne organizacye, dzienniki. Czyż pan nie widzi zresztą olbrzymich postępów na wszystkich polach: w solidarności, w opinii, wszędzie?

— Tak na oko... nie bardzo — zaryzykował pan Apolinary.

Tymczasem prezes dobiegał już do mety.

— Muszę pożegnać szanownego delegata.

Pan Apolinary zapalał wyrazistą żądzą wzięcia udziału w tem trzydziestogodzinnem posiedzeniu. Miał już się przymówić, gdy prezes go uprzedził:

— Gdybym pana społkał przed początkiem

posiedzeń, chętniebym go wprowadził. Ale teraz, gdy już kończymy, pojawienie się nowej osoby byłoby może obustronnie... krępujące?

— Oczywiście... Szkoda, że się spóźnił.

— Może innym razem, jeżeli pan nam nie odmówi — dodał prezes i pożegnał najuprzejmiej delegata.

Delegat zaś odchodził niezadowolony.

— Wszędzie drzwi zamknięte, wszędzie jakieś urywki, — ani ich zrozumieć... Co mnie u licha do rękawiczek tego pana? Ja chcę wiedzieć, co się robi... Tak — w naszym Stowarzyszeniu trzeba być albo komitetowym, albo niczem, dobrodzieju mój.

Przez prawowitą filiacyę myśli wspomniał pan Apolinary o zasadzie pana Hycą, że Stowarzyszenie operuje masami. To go nagle oburzyło, w zastosowaniu.

— Operujcie sobie masami, alem ja nie z masy, tylko z krwi szlacheckiej i nie będzie mną lada pan Hyc popychał na prawo i na lewo. Jak mi nie dacie prawdziwie czegoś do roboty, to się prędko od was odżegnam, moi łaskawcy.

Jak widzimy, różowe słońce złudzeń przysłaśniało się dla pana Apolinarego coraz to gęstszym pomrokiem. Hasła, któremi wojował, wyniki osiągnięte, nadzieje na przyszłość — obniżały się szybko w przekonaniu pana delegata. Sztandary wytyczne nie migotały już w słońcu złotym haftem i je-

dwabiem, ale sterczały smutno w mglistem powietrzu; delegat zaczął posądzać, że są z papieru. I ludzie mu obrzydli: jednym nie bardzo chce się wierzyć, drugim nie można o nic dopytać. Jednem słowem pan Apolinary przebywał walkę wewnętrzną ciężką człowiekowi sumiennemu w każdym wieku: tracił wiarę.

Pozostał tydzień w Warszawie. Może namaca coś takiego, na czym oprze swe zaufanie w roboty komitetu? Może coś postrzeże, co mu się nie spodoba wyraźnie i będzie punktem wyjścia jego działalności reformatorskiej? Może przynajmniej zdybie w szeregu rzekomych działań, narad i walk jakąś określoną funkcję dla siebie, choćby naprzykład agitację przedwyborczą?

— Niech mi do licha każą jeździć i gardłować za byle kim, albo zapytają o kandydatów z moich stron. Już ja im powiem.

Ale co do akcji przedwyborczej było tymczasem głucho, a raczej tajemniczo. Tę troskę, jak wiele innych, wziął widać komitet wyłącznie na siebie.

Ukazywały się też i miały rozmaite zjawiska bardzo ciekawe, choć nie dające wyraźnego tłumaczenia. Ten przyjechał ze Wschodu, tamten z Zachodu; ten załatwił taką najpilniejszą sprawę, tamten owaką. Ale te same sprawy pozostawały pozornie wcale niezłatwionemi.

I znowu głucho — tajemnica i nadzieja.

— A niech was... nie znam! — zawołał pan Apolinary po tygodniu swych zabiegów warszawskich, wznosząc rękę mniej pobożnie, ale nie decydując się jeszcze na przekleństwo. Niech was... Wracam do domu, dobrodzieju mój. Żniwa przynajmniej dopilnuję.

I powrócił do domu.

Zły był, stracił cerę, fulminował na kraj i na ludzi tak bardzo, że pani Tekla nie od razu zdecydowała się wyznać mężowi, że i w domu czekały go drobniejsze, a jednak dotkliwe kłopoty.

Pan Apolinary chciał zaraz po powrocie z Warszawy widzieć pana Jana.

— Rokszyckiego niema w domu.

— Masz tobie! gdzie znowu powędrował?

— Podobno do fabryki syna, bo robotnicy strajk urządzili.

— Kajdaniarze!

Dopiero następnego dnia pani Tekla przystąpiła ostrożnie do przedmiotu natury delikatnej.

— Wiesz co, Polciu, trzeba koniecznie coś postanowić względem Janka.

— A bo co?

— Nudzi się chłopak na wsi, włóczy się z kąta w kąt. Od czasu wyjazdu Demla nie uczy się nawet. Mówi, że mu książki obrzydły.

— Wierzę mu. Takie książki!

— Pamiętasz w latach poprzednich? Wszystko go bawiło na wsi, zajmowało. Wesół był.

— Nie dziwota. Przyjeżdżał ze szkoły, zmordowany uciskiem i egzaminami, a tu się odżywał. Chlipał sobie swobodę i powietrze. Teraz siedzi już na wsi pół roku i nalykał się powietrza do syta. Tęskni znowu do szkoły, choćby i takiej.

— Niema co gadać — rzekła pani Tekla — potrzeba dziecku szkoły.

— Cóż, kiedy teraz, jakoś nie wypada...

— Może nie wypada dla innych — zaprotestowała matka energicznie — ale nasz Janek weźmie ze szkoły, jaka jest, tylko to, co mu potrzebne. Ja za to rękę.

— A solidarność gdzie, mościa dobrodziejko?

Pan Apolinary odezwał się tak z nabytego przyzwyczajenia. Właściwie bokiem mu już wyłaźła solidarność. Pani Tekla zaś nigdy nie uległa urokowi tego hasła i zawołała:

— Z tą waszą solidarnością zapędzimy syna do nieuctwa i do rozpusty!

— A bo co się stało? — zadziwił się pan Apolinary nie tyle stanowczością ile rozżaleniem żony.

— Bo już się pokazują po Janku rzeczy, o których dawniej nie myślał. Pozwoliłam mu chodzić wieczorem na ciąg kaczek — dlaczegożby nie? — no, i...

— I co? zamiast do kaczek?...

— Przy kaczkach spotyka się z Józefką, co

to jej mąż jest na wojnie. Justynowa to wykryła.

— A, szelma Józefka! — zaperzył się pan Apolinary — tyle dla niej zrobiłem, a ona mi dziecko bałamucić będzie, łajdaczka!

— Bo miałeś też kogo protegować — rzekła pani Tekla, jakby wspominając dawniejszą urazę — i krowę dawać i swatać — wszystko dlatego, że zęby szczyrzyła na okrężnem.

— Tęga dziewucha i zuch do roboty. A teraz, powiadasz, z Jankiem?

— Nie mówię, żeby ich złapano. Ale siedzą sobie pod wikliną na czatach i prowadzą po cichu rozmowy. Ta włązi do wody podkasana po zabita kaczkę, — ten jej kwiaty przynosi z ogrodu... Takie romanse. A kiedy wracał już po księżycu, opowiadał jak w gorączce: »Mamo, jak tam cudownie, jak pachnie, ile głosów po trzcinach! a im później, tem piękniej; kaczki ciągną przez księżyc i zorzę wieczorną, jak na japońskich obrazkach«. Bardzo nawet poetycznie opowiada — ale naturalnie zakazałam chodzić wieczorem na kaczki.

Pan Apolinary nie brał ani tej relacji, ani Józefki, ze strony poetycznej. Chodził wzburzony po pokoju i — generalizował. Przypomniawszy synów Pruszczyńskiego, zdania Wapowskiego, pana Jana. Odnalazł też w pamięci dawniejsze rozmowy ze »swoimi ludźmi« jeszcze za pierwszą

bytnością w Warszawie. Powiedział mu sam pan Kótulski, że skutki bezrobocia szkolnego są groźne, ale —

— Gdybyśmy się cofnęli, pozabawilibyśmy się broni, którą skutecznie wojują wrogie nam żywioły. Poświęcamy do czasu synów naszych (pan Kótulski nie ma synów) ale sprawa na tem wygrywa.

Dawniej pan Apolinary godził się na taki pogląd. Teraz, gdy go miał zastosować do własnego dziecka — trudniej.

Wynikiem bezpośrednim wzburzenia i namysłu był czyn następujący: pan delegat zrehabilitował depeszę do Kótulskiego do Warszawy:

»Uprzejmie proszę o dokładną informację, jak stoi i kiedy rozstrzygnięta zostanie sprawa S.

Apolinary Budzisz

Odpowiedź zapłacona.

— Może już nareszcie powrócił z wędrówki po młynach? — A muszę wiedzieć, co pocznę z Jankiem po wakacjach. Jeżeli nie do Józefki, chłopak mi jeszcze przystanie do socyalistów, do buntowników fabryk, do obieżyświatów! Oj, polityka wewnętrzna!

Pan Apolinary chwycił się za bok, jakby fizycznie coś mu dolegało wewnątrz.

Rzeczywiście nie czuł w sobie zwykłego zdrowia i ochoty do życia. Nerwowa drażliwość, bóle głowy, brak apetytu były nabytkami z ostatnich

dni politycznych. Felczer miejscowy stwierdził opuchnięcie śledziony i poruszenie humorów. Ba-
dał, czy nie zaszło nadużycie trunków gorących
i pieprznych potraw oraz nadmierne wysilenie mó-
zgu. Gdy otrzymał odpowiedzi potwierdzające te
domysły, odezwał się z tryumfem:

— A czy nie mówiłem panu dziedzicowi?

Pacyenta mniej to ucieszyło, niż lekarza. Ten
ostatni zalecił wstrzemięźliwość i spokój. Nie bę-
dąc jednak lekarzem dusz, nie wybadał i nie do-
myślił się, że główną przyczyną niezdrowia pana
dziedzica była — utrata wiary.

Pan Budzisz tracił wiarę w dalszym ciągu.
Gazety i nadchodzące zewsząd wieści pomnażały
wątpliwości o wypadkach i nadziejach zapowia-
danych przez komitet. Ani zjednoczenia stronnictw,
ani kongresu, ani nowej szkoły. Na depeszę swą
w sprawie S. otrzymał tylko odpowiedź od urzędu
telegraficznego, że pana Kotulskiego niema pod
wymienionym adresem.

Pozostawała jedyna jeszcze perspektywa nie-
zawiedziona: kandydatura do Wielkiej Rady. Ale
dlaczego nie wzywają go do działania? dlaczego
nie powierzą mu choć kilku nazwisk kandydatów?
dlaczego nie pragną poznać cennych jego wska-
zówek? Nie odpowiadano nic nawet na relację,
którą uczynił ze swego delegackiego objazdu;
przyjęto do wiadomości kilka nowych nazwisk

stowarzyszonych — i tyle. A cóż to? czy za Wapowskiego nie należał się jaki list pochwalny?

— Praca dla kraju nie zawiera w sobie słodczy doraźnej nagrody — przypomniał pan Apolinary zdanie wyczytane w jakiejś bardzo starej księdze.

Pocieszał się jak mógł, ale się nudził, jak syn jego Janek, z powodu bezrobocia.

Parę razy zajrzał do sąsiada pan Jan. Ale i ten był, swoim zwyczajem, tego samego zdania co felczer. Zalecał spokój i wstrzeźliwość.

— Jeszcze nie umarłem, dobrodzieju mój. Że kwękam trochę, to nie racya, żebym gnuśniał tu taj, kiedy kraj woła.

Ten zwrot mowy pozostał także Apolinaremu z minionej epoki działania. W istocie nie doznał już oddawna wołania kraju ani w słowie, ani w piśmie, ani nawet w przeczuciu. Gdzieś, z daleka, niby w szumie płynącej gdzieindziej fali wypadków, zdawało mu się, że łowił i te dźwięki, przepadające w ogromie innych:

— Pójdź i ty, Apolinary...

Ale wołanie było tak ciche...

Z epoki tej odrętwienia moralnego i wątpliwości nie mamy nic prawie do zanotowania z życia naszego pacyenta. Znaleziono tylko na jego biurku ślad pozwalający się domyślać, że delegat miał zamiar pisać swe pamiętniki. W kajecie bowiem ozdobnym osoby wiarogodne zobaczyły na

pierwszej stronie te słowa kreślone ręką pana Apolinarego:

«Kiedym był jeszcze małym...»

Ale nic więcej.

A na wsi gorzał złoty sierpień, błyskał kosami po nieprzejrzanym łąkach, barwił się pstrymi ubiorami pochylonych kobiet, marzył przeciągłą ich pieśnią kierowaną przez suche bębenki polnych koników. Aż zaległ pogodną ciszą i przeczuciem jesieni. Z pól zeszyły pracowite tłoki i bandosy, zostawiając po sobie pękate sterty poszyte sprawnymi dłońmi ludu, który nie odmówił, po dawnemu, sił swoich przy zebraniu obfitego plonu ziemi, mimo obce zakusy, aby te bogactwa przepadły na korzyść teorii.

A na szerokim świecie tam milkły żarłoczne armaty, tu trzaskały wciąż jeszcze zjadliwe bomby, zaś przez rozwłócone dymy poboju pływały kojące dźwięki doniosłych reform, obietnice jaśniejszej przyszłości.

Tylko nic się nie działo tak, jak zapowiadał komitet.

DZIEŃ ÓSMY.

Nie jest to już dzień twórczy, ale dzień pokuty i poprawy. Oglądamy pana Apolinarego w miesiąc później, znowu w Warszawie, znowu w hotelu Saskim. Quantum mutatus ab illo! Człowiek złamany, zmniejszony do połowy, w szlafroku, z nogami owiniętymi pledem, siedzi w miękkim fotelu, otoczony opieką żony i lekarzy. Siedzi i mówi rzeczy doniosłe.

Żeby jednak zrozumieć obecny stan zdrowia i umysłu pana Apolinarego, musimy poszukać źródła w uprzednich wypadkach na wsi.

Cisza i spokój wiejski, w które zapadł zniechęcony delegat, nie zdołały wpłynąć na polepszenie jego zdrowia. Dolegało mu coś w żołądku, i coś w boku, i coś w głowie — jak to zwykle psuje się naraz wszystko w skołatanej machinie. Bierne już teraz zajęcia polityczne, czytanie gazet, oczekiwanie wypadków — nie przestały być treścią istnienia i wyłącznym pokarmem duchowym

gorliwego sługi kraju. Ten pokarm ciągle mu smakował, ale zarazem truł go i powoli zabijał. Najbliżsi nie dość prędko postrzegli to niebezpieczeństwo. Pierwszy pan Jan poradził pani Tekli usuwać choćby podstępem gazety od Apolinarego, zwłaszcza krańcowe. Następnie przysłał przyjacielowi całą pakę książek humorystycznych, ilustrowanych, lekkich. Ale kwękający statysta z pogardą odsunął te drobiazgi, zażądał gazet i broszur i jak dawniej zawołał:

— Nacóż się ma zdrowie i rozum, dobrodzieju mój, jeżeli nie na usługi publiczne?

Wprawdzie obecnie zdrowia już tak, jakby nie było. Pozostawał rozum...

Najgorzej jednak bolał pana Apolinarego brak wszelkich instrukcyi i odezw od komitetu. Ani dla kolegów, ani dla ludu, ani na przyszłość — nic.

— Pospali się, czy się gdzie wynieśli? A niech ich...

Raz jeszcze zawiesił pan Apolinary rękę w powietrzu i cofnął się przed bratobójczym przekleństwem.

Nareszcie przyszedł pewnego dnia list adresowany nieznanomem pismem, który Apolinary wyłowiał z paczki gazet i zważył w rękę, pożerając go oczyma. Taki list poznaje się, choć się nigdy podobnego nie widziało, jak pierwszy list kochanki, jak wyrok, od którego życie zawisło.

W istocie była to upragniona lista kandydatów

na posłów do Wielkiej Rady. Lista kompletna, jak się patrzy, ogarniająca kraj cały.

Z drzeniem stwierdził pan delegat autentyczność doniesłego dokumentu i począł go pić wolno, jak stuletni nektar węgrzyna. Zgadł także trafnie, że terytorium wyborcze, do którego należał, jako mniej wybitne, wymienione będzie pod koniec spisu. Ale zadał sobie dobrowolną mękę prawdziwego smakosza — nie zajrzał do swego okręgu i czytał po kolei.

O dziwna mocy prostych wyrazów! Czy was użyje biegły w kunszcie pisarz i tak otoczy i tak zawiesi, że czytelnik nad głupiem »a jednak« łzę uрони lub zaniesie się od śmiechu. Czy was zaszepcze ustami zbliżonemi zakochana para. Czy załśnicie na pomniku złote i uginające czoła, wczoraj jeszcze gminne i szare. Czy na tablicach praw wyryje was władca lub naród.

Imiona i nazwiska następowały prostym szeregiem pod nagłówkami odpowiednich ziem. A ile wrażeń, jaka harmonia, co za lektura! Pan Apolinary medytował gruntownie nad każdym nazwiskiem i wywoływał postać, jeżeli ją znał, odgađywał, jeżeli jej nie znał. Widział każdego kandydata w postawie parlamentarnej, portretowej, z prawą ręką założoną między dwa guziki zapiętego surduta, lub opartego oburącz o pulpit mównicy. Pochwalał, wątpił, albo się dziwił. Trudno

opisać serye wrażeń i rojeń, przez które przechodził rozkoszujący się polityk.

— Ten chyba nie nasz?... znaczna persona, ale nie słyszałem, aby do nas należał??... Układ dyplomatyczny?... Dobrze.

— Czesław Gzubski?... Nie znam.

— Józef Pasterkowski... Także nie znam.

— Antoni hrabia Kostka. A tak — należało się. Ja mu zawsze mówiłem: nie wykręcisz się, hrabio, od poselstwa. Mój kandydat.

— Jaromir Gawłowski... Co? Gawłowski?! Ale to przecie nie ten. Memu sąsiadowi Ignacy.

— Joachim Sternstein-Gwiazdowski. To było nieuniknione. Choćby za lokal.

Pan Apolinary zbliżał się do kandydatów swojej ziemi, ale w tem miejscu papier uprzednio już załamał, aby przypadkiem nie rzucić okiem przed koleją. Nareszcie z bijącym sercem doszedł do załamania, podłożył palec i powoli papier wyciągał, żeby nie odrazu wyczytać nazwiska, które miały mu zajaśnieć.

Na palcu ukazało się najprzód nazwisko wcale delegatowi nieznajome, a potem:

— Jan Rokszycki... Pan Jan! brawo... Ale cóżecie mi na niego nagadali?? I nie stowarzyszony i nie zachwalany, a taki musiał wyleźć. Ja to zawsze mówiłem. No, teraz ostatni:

— Feliks... Co za Feliks?!... Kotulski!

— A niechże was wszyscy dyabli!

Spuścił nareszcie pan Apolinary prawicę, uderzając przekleństwem całe Stowarzyszenie z jego komitetem, koleżeństwem, obietnicami i matactwem. Tego było już za wiele! Pomimo niespodziewanie pomyślnej, ale niemniej dziwnej kandydatury pana Jana, runęła i rozsypała się ambitna mrzonka osobista pana delegata, oraz mglista obietnica, dana Wapowskiemu. I zacni obywatele miejscowi pominięci, aby dać miejsce komu? Kotulskiemu Feliksowi, kandydującemu stąd nawet niewiedomo jakim prawem.

Tu go uderzyła jasność nagle, jak piorun:

— Młyn! Młyn kupił...

Biednego, powalonego delegata znaleziono w pół godziny potem, z listą kandydatów w rękę, bredzącego w malignie:

— Z młyna do Wielkiej Rady!... słyszycie? Pan Jan — dobrze, ale Feliks, Feliks!...

Choroba miała wyraźne cechy choleryny. Rozesłano gońców po bliższych i dalszych lekarzy. Następnego jednak dnia obawy groźnej epidemii ustały, jednak chory pozostał ciężką złożony niemocą.

Pod wieczór zauważono znowu lekkie ożywienie na jego twarzy, może powrót gorączki. Chory zażądał, aby mu przyniesiono z biurka tekę z napisem »Pamiętki«.

— Na miłość Boską, Polciu! — błagała pani Tekla — przez kilka dni przynajmniej nie bierz

do ręki tych obrzydłych papierów, które ci zdrowie popsuły.

— Tylko bilety wizytowe, tylko bilety...

Pani Tekla własnoręcznie wyszukała w tece kilkanaście biletów i podała je mężowi. Jedno z pierwszych, które podpadło pod oczy, było nazwisko Feliksa Kotulskiego.

— Feliks!... ten sam. Miałem nadzieję, że przynajmniej inny!

Podarł bilet i cisnął o ziemię.

Następne dni przebył w stanie odrętwienia, graniczącego z marazmem. Lekarze nakazali stanowczo przewieźć go do Warszawy dla systematycznej kuracji.

Wskutek tych wypadków oglądamy go obecnie w hotelu Saskim, w fazie powolnego powrotu do zdrowia, jak siedzi w pokoju i mówi rzeczy doniosłe. Niezłomny bowiem i dźwigający ciało duch zwyciężał. Ale nie był to już duch Stowarzyszenia.

Wręcz przeciwnie. Pan Apolinary doszedł najprzód do przekonania, a następnie ogłaszał każdemu, kto go odwiedzał, że Stowarzyszenie, opierając się na pozorach zasady wyborczej, ludzi swych członków bezzasadnymi obietnicami, że wojuje z pożytecznymi ludźmi innych barw za pomocą sposobów, nieużywanych zwykle przez rycerzy — i tym podobne poglądy mało rozpowszecznione, buntownicze i oryginalne.

Nie wszyscy mu wierzyli. Jednak zyskał sobie pewien rozgłos, jako mąż polityczny interesujący. Zbieracze i roznosiciele nowin zauważyli go.

— Chodź pan na flaki do hotelu Saskiego — mówił jeden — a po śniadaniu możemy zejść do tego biednego Budzisa. Siedzi tam na kuracyi i opowiada ciekawe rzeczy.

— Jakie my mamy we krwi tradycje parlamentarne! — mówił drugi. — Szlachcic-rolnik, porzuciwszy pług, bierze się do polityki i jest odrazu, nie powiem no... ministrem, ale bystrym i wymownym publicystą. Zobaczcie Apolinarego Budzisa: siedzi w hotelu Saskim i mówi rzeczy doniosłe.

Pismo jedno brukowe dało wzmiankę następującą: »(?) Bawi w naszym mieście pan A. B., znany szerokim kołom naszych rolników i publicystów. Po przebyciu ciężkiej choroby działacz wstępuje w okres rekonwalescencyi. Pozbawiony do czasu aktywnej partycypacji w sprawach krajowych, pan B. przyciąga licznych słuchaczy do ubikacji hotelowych przez siebie zajmowanych urokiem swego tonu fronderskiego. Zdarzyło się nam samym skorzystać z takiej biesiady, posiadającej niewątpliwie swą doniosłość rewelacyjną. Każde przytem zapoczątkowanie dyalektyki parlamentarnej musimy witać poklaskiem wobec aktualnego zapotrzebowania tej sztuki w najbliższej przyszłości. Szczęść Boże nowym posiewom!«

Dziennik zaś pewien postępowy wydrukował cięty artykuł zasadniczy p. t. »Ofiary pracy kulturalnej«, ciskając panem Apolinarym, acz niewymienionym z nazwiska, niby bombą do przeciwnego obozu.

Pan Apolinary stał się więc sławnym nie w okresie swej działalności, lecz w chwili upadku, jeżeli upadkiem nazwać się godzi podniosły stan moralny człowieka, który swe doświadczenia razem z pomyłkami ogłasza publicznie dla nauki współobywateli.

Gdy już pacjent o tyle do sił powrócił, że lekarze pozwalali mu nieszkodliwej lektury, otrzymał pewnego dnia list przedadresowany ze wsi. Przerwał czytanie »Słowa« i otworzył kopertę. List był od Wapowskiego z Wojewodzic:

»Szanowny Panie!

Cechą jest wszystkich niemal działań zbiorowych, że są niełatwe do ocenienia. Działającemu człowiekowi można się przypatrzeć, znać go skądinąd i, polegając na precedensach, liczyć na niego w pewnej mierze. Stowarzyszeniom, zwłaszcza licznym i nowym, przypatrzeć się trudniej, a kojarzyć się z nimi mniej bezpiecznie.

— Dobrze mówi — przerwał sobie pan Apolinary.

»W naszych warunkach, gdzie każde działanie upozorować można nagłą potrzebą i grożącym niebezpieczeństwem, ocena akcyi zbiorowych przed-

stawia jeszcze więcej trudnych zagadek. Dla ludzi dbałych o prawidłowość swych działań publicznych pozostaje smutna konieczność sądzenia istniejących organizacyi po owocach ich, po wynikach osiągniętych.

— Kwaśne owoce, dobrodzieju mój. Słusznie mówi.

»Wówczas, gdy pan był łaskaw odwiedzić mnie w Wojewodzinach, nie podzielałem już zapалу do niektórych uprzednich działań Stowarzyszenia. Ale wzbudził pan we mnie ufność w przyszłą akcyę realniejszą i pożyteczną. Pociągnięty przez pańską wymowę, dałem się zapisać.

— A co? — jest, czarno na białem.

»Gdy jednak obecnie spostrzegam, że działalność Stowarzyszenia zamyka się w kołach mało mi znanych, a z drugiej strony stwierdzam, że moich usług nikt nie żąda, ani mnie do nich powołuje, —

— Musiał otrzymać listę kandydatów. Cóż dalej?

»upraszam szanownego pana delegata, aby mnie zechciał wykreślić z liczby członków, gdyż nie wiem do kogo innego mógłbym się udać w tym celu.

— To gorzej.

»Nie wątpiąc, że mi pan ułatwi tę formalność, która mi ręce rozwiąże i zapewni drobną moją,

ale cenną dla mnie niezależność, mam zaszczyt przesłać wyrazy rzetelnego szacunku.

Michał Wapowski.

— Zimno — zreasumował pan Apolinary.

Po namyśle jednak uporządkował swe wrażenia, otrzymane z listu i znalazł niektóre przyjemne. Koleżeństwo z Wapowskim uśmiechało mu się już dawniej, w innej wprowadzie formie. Widział się jeszcze w Wojewodzcach, pod portykiem greckiej altany, wśród szczytnych rojeń o wspólnem poselstwie. Gdy ta nadzieja zawiodła, pozostawało przynajmniej na pociechę towarzystwo w niedoli. Nietyle w niedoli, ile w doświadczeniu, w pouczającym stanowisku ludzi godnych, a pominiętych.

Mniej przyjemne było to, że Wapowski chciał się zupełnie wykreślić, a przez to samo zniweczyć kapitalną zasługę pana Apolinarego. Poco, dobrodzieju mój? Usunąć się, stanąć na uboczu — ale wykreślać się — zbyt ciężkie. A nuż znowu kraj zawoła, a my obaj nie będziemy należeli do żadnej organizacyi?

Taki projekt odpowiedzi układał, a tymczasem wprowadził nowy wątek do swych używających już rozgłosu konferencyi w hotelu Saskim:

— Pisz do mnie Wapowski — jedna z najciekawszych głów prowincjonalnych. On także powiada, że trzeba sobie zdawać sprawę z akcyi zbiorowych dopiero po obejrzeniu ich owoców.

Jest to smutna konieczność. Łączy nas z Wapowskim pewne koleżeństwo — i losów i przekonań.

Pan Apolinary takie już uczynił postępy w stylu publicysty, że rozprawiał teraz z łatwością o byle czem, obszernie i dwuznacznie, jak umiarkowana gazeta. Coraz bardziej zwracał na siebie uwagę: świeżsi politycy słuchali go z przejęciem, dawniejsi przyznawali mu niemałe wyrobienie. Zaczynano mu już nawet przypisywać zdania i uwagi, których nigdy nie wygłosił. Ponieważ zaś ze Stowarzyszenia nie wystąpił, niektórzy koledzy poczęli widzieć w nim powstający w łonie organizacyi rokosz przeciwko arbitralności komitetu, inni garnąć się do niego przez sympatyę i ciekawość.

Ale prawdziwym skarbem, który pan Apolinary pozyskał dla siebie z bezpośredniego przyłożenia ręki do czynnej polityki, był następujący nabytek. Zauważył, że polityka wewnętrzna nie jest u nas funkcją niedostępną dla średnich zdolności.

Doszedł też do wniosku że w polityce, jak i na innych pastwiskach wspólnych, jak po innych kniejach łowieckich, społeczeństwo składa się z pożerających i pożeranych. Przypomniawszy sobie niektóre zdania, słyszane od ś. p. Zygmunta Podfilipskiego. Dawniej się go bał i unikał; dzisiaj żałował, że go bliżej nie znał i zbierał w pamięci okrucy jego teoryi. Myśl pana Apolinarego rwała

się do męskich postanowień: sprzykrzyło mu się należeć do owiec, zapragnął zostać wilkiem.

Czy mu dopiszą siły i zęby, przyszłość okaże. Tymczasem przygotowywał się do swej roli trybuna. Schował dla siebie cenne swe spostrzeżenia z zakresu sztuki politycznej. Natomiast pozbyć się starał pierwotnych swych błędów: dobroduszej otwartości, nazywania rzeczy po imieniu i szczerego pragnienia, aby wszystkim nam lepiej było, dobrodziejmu mój. Nauczył się budować starannie swe zdania i dostrajać je do wyższych kamertonów; kryć w sobie źródło światła, a rozciągać wokół tylko mgliste promienie; wzdychać rozgłośnie do ogólnego dobra, ale bez uszczerbku dla swej krescytywy. Nauczył się, wiele się nauczył. Nie poznawała go własna żona, ani Gawłowski z Pawłowskim.

A że go w Warszawie dotychczas mało znano lub nie doceniano, obecnie tem większym się wydał. Zaczęto mu przypisywać zamiary tytaniczne. Rozgłoszono na przykład, że Budzisz (rzadko już kto nazywał go poufale chrzestnem imieniem) chce założyć gazetę z wybitnym charakterem rewelacyjnym i pragnie zreformować Stowarzyszenie.

Ten wzrost potęgi i »huczek niemały«, który przez wrzesień i początek października wszczął się około postaci pana Apolinarego (starym znajomym pozwoli jeszcze tak o sobie przemawiać) za-

czął już kłuć niektórych w oczy i niepokoić. Zanim jeszcze cokolwiek uczynił, już w opinii stał się wielkim, nawet niebezpiecznym. Niejeden działacz tak rozpoczyna za naszych czasów. Pochodzi to może z łamania światła i ze zwodnych widoków, powstających na mgłach skłębionych nad wielką wschodzącą Jutrzną. A skądinąd — naród miewa swe przeczucia.

W ostatniej chwili widzimy pana Apolinarego jeszcze w hotelu Saskim, ale w pokoju urządzonego na podobieństwo gabinetu ministeryalnego. Sam działacz, choć jeszcze w stroju niedbałym, zasiadł za stołem, zawałonym zbiorem dzienników i broszur tak skrajnie przeciwnych poglądów, że dziwić się prawie można, iż w tak blizkiem sąsiedztwie jedne drugich jeszcze nie pożarły. Przy stole mniejszym, schylony nad pisaniem, siedzi błądy młodzieniec. Pan Budzisz, spostrzegłszy w pomocniku lekarza, który go pielęgnował, niepospolite uzdolnienie do polityki wewnętrznej, połączone z naturą elastyczną i pięknym charakterem pisma, uczynił go swym sekretarzem. Młodzieniec czyni tymczasem wyciągi z gazet, których pan Budzisz nie zdąży przeczytać. Sam działacz przybladł trochę, schudł i wyłysiał; oczy pozbyły się dawnej pogody; spojrzenie jest teraz bardziej uduchowione, a nawet, gdy Budzisz rozmawia z Gawłowskim lub z sekretarzem — orle.

Służący przynosi bilety wizytowe dwóch panów, którzy czekają na dole.

— Ach, nie mam czasu, mój bracie. Przyjmuję od piątej.

Służący oddaje obojętnie bilety. Pan Apolinary rzuca okiem:

Feliks Kotulski.

Stanisław Hyc.

— Poczekaj!

Pierwszy to raz dawni zwiastunowie powołania tak w parze i tak urzędownie zjawiali się do pana delegata. Nawet nie widział ich od czasu swej choroby, od jeszcze dawniejszych czasów. Teraz przyszli — musieli przyjść. Czy oni się już boją? — niewiadomo. Ale już Budzisz ich się nie boi. Ma im wiele, bardzo wiele do powiedzenia.

Odrzucił pled z kolan, reszkę pozostałej słabości, powstał i rzekł:

— Prosić.

Warszawa 15. X. 1905.



W OGNIU



DNI POLITYCZNE

SERYA II

W OGNIU

PRZEZ

JÓZEFA WEYSENHOFFA



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

DZIEŃ PIERWSZY.

Działo się dnia pierwszego po ogłoszeniu konstytucyi roku 1905.

Przed rejentem N. N. pan Apolinary Budzisz zeznał, że na hypotekę wsi rodzinnej zaciągnął pożyczkę 30.000 rubli i kwitował z odbioru tej sumy w gotowiznie, po potrąceniu procentu mniej umiarkowanego, wyliczonego za dwa lata z góry ze względu na ciężkie czasy.

Znany i zasłużony już działacz uznał konieczną potrzebę uruchomienia części swego majątku z powodu wołających zewsząd potrzeb krajowych. A że bez poświęceń niema działania pro publico, pan Apolinary pragnął być w pogotowiu. Miał też i cichą myśl uboczną: na wypadek, gdyby wszystko dyabli wzięli, dobrze mieć zapas gotówki do wywiezienia choćby zagranicę.

Umieściwszy pieniądze w banku, wyszedł na bruk, na którym mieszkał, rzec można, od wczoraj i upijał się, razem z tłumem, płynącą przez

powietrze radością. Burza — tak, ale jaka rozkoszna! Wolność zebrań, wolność przekonań, wolność słów! Równość, braterstwo. Przyszłość na rozcież otwarta. Teraz to życie będzie dla ludzi silnych, dla ludzi, jak ja, jak ty »obywatelu«, jak my, naród!

Ciągną środkiem ulic tłumy nieprzejrzane. Za ledwie ciżba się rozrzedzi, już znowu gęstnieje. Całe chyba miasto wyległo na ulicę, gwarne, gorączkowe, śpiewające. Trochę Żydów.

Co oni tam śpiewają? Pieśń ochrypła wybucha spazmatycznie, przycichnie czasem do głuchego pomruku. Wałą jedne za drugimi wypłowiłe ku braki, kurty niezbyt świeże, kapoty. Dużo Żydów.

»A kolor jego jest czerwony

»Bo na nim robotników krew...«

— Chyba pot, dobrodzieju mój?... Pot robotników to rzecz szanowna, ale poco zaraz krew?... Niby poezya. Wolno każdemu, a cóż dopiero dzisiaj! Dzisiaj wszystko wszystkim wolno. Święto wolności!

Chociaż pan Apolinary nie lubi być potrącany, miesza się do kupki ludzi oblepiającej szczerlnie dorożkę, na której stoi młodzieniec okazały, lepiej ubrany, niż słuchacze, i rozprawia. Skończył właśnie, podnosi kapelusz nad głowę:

— Niech żyje rewolucya!

Mniemając, że nie dosłyszał, pan Budzisz zwró-

cił się grzecznie do sąsiada tak bliskiego, że czuł oddech jego nieco alkoholiczny:

— Zechciejcie mnie objaśnić, obywatelu, co on mówił, bom się spóźnił. Niech żyje konstytucja?

Za odpowiedź otrzymał pogardliwe parsknięcie:

— Do zlewu z taką konstytucją. Burżuj!

Powtórzyło kilka bliskich głosów:

— Burżuj!

— Tam do licha! Pytam, co on mówił.

Marsowa postać i czerwieniejąca twarz pana Apolinarego położyły kres tej polemice politycznej. Kilku wyrostków odeszło, dojrzałszy zaś jegomość zbliżył się do Budzisa i odprowadził go od tłumu, pociągawszy dyskretnie za rękaw.

— Niech się pan nie wdaje w rozmowę; to wszystko pijane.

— Cóż z tego? Grzecznie przecie pytałem.

— Oni nazywają się towarzyszami, nie obywatelami.

— Ach, to niby... socjaliści?

— Tacy tam. Słuchają od wczoraj mów na ulicy i zdaje im się, że są socyalistami. »Towarzyszu« — precz z dumą! — niech żyje rewolucja! — tyle się nauczyli.

Budzisz, uznawszy trafność wywodów nieznanego, przedstawił mu się i w zamian poznał jego nazwisko:

— Koziejewski.

— Bardzo mi przyjemnie. A powołanie wasze, obywatelu?

— Jestem stolarzem.

Pan Apolinary poczuł bodziec szczerze demokratycznego uczucia i wyciągnął dłoń do narodowego stolarza. Poszli razem.

— Bo to, proszę pana — mówił Koziejewski — trzeba żyć z nimi, żeby wiedzieć. Kto im gada o strajku i zyskach, ten brat, towarzysz; a kto o pracy — burżuj, szpicel. Naród się białamuci — będzie z tego bieda.

— Masz pan i w swoim warsztacie kłopot? Nie chcą robić?

— Żeby to dzisiaj! Ale strajkują na umór od trzech tygodni. I po zapłatę przychodzą w sobotę, że to niby z rozkazu strajkują.

— Któż im rozkazuje?

— Są tacy. A mają posłuch u robotników, niczem księża u chłopów.

Pan Budzisz zamilkł, nie wiedział bowiem, co zdrowego podać jako pokarm duchowy młodszemu bratu, za którego miał pana Koziejewskiego. — Strajk kolejowy — silny to jednak młot. Bez niego nie dożylibyśmy może dnia konstytucji. Ale do jakich granic ma się posunąć strajk powszechny? Czy bezrobocie np. piekarzy wpływa na ustępstwa rządu? Czy spędzanie dorożek z ulicy przyczynia się do tryumfu wolności? Tych nurtujących go zagadnień nie powierzył pan

Apolinary przypadkowemu przyjacielowi politycznemu.

Na Marszałkowskiej tłum gęstszy, nieprzerwany, posuwał się środkiem ulicy i chodnikami. Wrzawa szła z nim, a nad głowami powiewało kilka chust czerwonych.

— Czapka! — warknął groźnie przechodzący koło Budzisa oberwaniec.

Pan Apolinary stwierdził, rozejrzawszy się, że wszyscy w pobliżu mieli odkryte głowy; nie sięgnął jednak do kapelusza.

Wtem z tłumy odezwał się głos młody, gardlany:

— Tszapka won!

— A to co, znowu?!

Budzisz poszukał oczyma, skąd głos pochodzi i ujrzał grupę málowniczą dwóch czarnookich panien, w biretach na zwichrzonych włosach, w czerwonych krawatach. Otaczała je młodzież kędzierzawa, w chałatach.

— A wolność przekonañ gdzie? dobrodzie... łapserdaki jakieś!

W tej chwili poczuł pan Apolinary, że go obywatel Koziejewski ciągnie mocno do bramy.

— Paniel paniel lepiej nie zaczynać.

I mógłby znany działacz narazić na szwank swą powagę, gdyby ulica nie zmieniła nagle po zoru, owiana wichrem katastrofy. Tłum zatrzymał

się — i prysnął, jak kupa śmieci, na którąby dmuchnął miech kowalski.

— Wojsko! kozaki!

Kilkanaście osób, wpadając do bramy, wpełnęło do niej Budzisa. Migąły przez chwilę biurety, chałaty i przyzwoite nawet ubiory, poczem na ulicy zaległa pustka, jak w nocy. Zaledwie gdzie pozostał na chodniku osłupiały przechodzień. Pan Apolinary po chwili wyrzwał jednak z bramy.

Nadciągał patrol konny ułanów, nie śpiesząc się. Na czele jechał oficer sztywny, jakby zmrożony w pozycji frontowej na szłapiącym koniu. Zmęczone twarze żołnierzy patrzyły obojętnie oczyma po słowiańsku rozmarzonymi. Sami przez się nie byli ani groźni, ani wrogo usposobieni; sprawiali tylko wrażenie ciężaru posuwanego automatycznie przez jakiś potężny motor niewidzialny.

Więc tłum, widząc tę ich pogodną opieszałość, zaczął wynurzać się z bram i z przecznic, zaczerpnąć ulicę i zbliżyć się coraz bardziej do wojska. Nawet czerwone znaki, które przepadły gdzieś pod ubraniami, wzniosły się znów w powietrze, nie śmiało zrazu, potem otwarcie z kilku miejsc. A patrol szłapał dalej obojętnie.

Wtedy z wielu piersi rozległy się rozszalałe okrzyki: »niech żyje wolność! niech żyje rewolucja!« — i gardlane »hurra!« Izraela. Tłum poła-

czył się z oddziałem wojska, otoczył go, aklamował, prowadził niby tryumfatorów.

Pan Apolinary niestanowczem spojrzeniem rzucił na obywatela Koziejewskiego, starając się przeniknąć, co też ta prosta dusza sądzi o rozwijających się przed oczyma dziwnych wypadkach. Ale dusza Koziejewskiego, która tylko co była w piętach, jeżeli już powróciła na swe przyrodzone miejsce, drżała jeszcze i nie mówiła nic.

— Cóż pan na to? Nowa era — co?

— Tfu! — splunął Koziejewski.

— Tak jest, stanowczo za dużo Żydów — potwierdził na domysł Budzisz.

Zmrok zapadał. Chociaż ulica stawała się coraz rojniejszą i obfitszą w niespodziewane, a wymowne widowiska, pan Apolinary zapragnął pokrzepić się jakimś posiłkiem, zwłaszcza że na śniadanie w hotelu Saskim dostał tylko trochę zimnego mięsa i herbatę. Strajk obejmował wszystkie rodzaje pracy, a więc, oprócz warsztatów rzemieślniczych, i kuchnie hotelowe, i restauracje, i nawet apteki. Opornym właścicielom tych zakładów wymawiano brak obywatelskich uczuć za pomocą brauningów.

— Gdzieby tu co zjeść naprędce? — zwierzył się Budzisz przyjaznemu stolarzowi.

— Zjeść?... tylko w domu; zresztą wszystko zamknięte.

— Mieszkam w hotelu Saskim. Zanim dojdę przez ten tłum... A zresztą i tam chudo dzisiaj.

— Jeżeli pan nie pogardzi, proszę do mnie. Żona czeka z wieczerzą.

— A gdzie pan mieszkasz?

— Na ulicy Polnej.

— Serdecznie dziękuję, obywatelu. Gdyby były dorożki... Ale ja tylko gdziekolwiek coś przetrączę, a potem śpieszę na sesję.

— Jeżeli tak...

Koziejewski spojrział z niedowierzaniem na starszego brata w narodzie. Czy go pōsądzał o brak demokratycznego ducha? Czy pōwǳpiewał o sesji dzisiaj, w tym harmiderze? Ale rozstano się przyjaźnie, po dokładnem zanotowaniu adresów, z obietnicami i uczuć wylewem.

Budzisiz pozostał sam śród tłumu. Nie wǳpił jednak, że dzięki swym rozległym stosunkom i popularności, spotka przecie znajomego, pōjdzie wreszcie do kogo na odpoczynek, na gawędę — no i na posiłek, który się już dyabło należał. — Zajrzał na Świētōkrzyską do pana N. — Gdzie tam! Mieszkanie szczelnie zamknięte. — Poszedł do redakcyi pokrewnego pisma. Tam go przyjęto bez zapału, gdyż krǳyły wieści o jego zamiarze załozenia pisma niezaleznego od stronnictwa, wieści głuche jeszcze, przecież nieprawomyślne. Zresztą zastał tam trzech tylko wspōłpracownikōw przy stole blade oświētłonym świecǳ zatkniętǳ

w stary kałamarz, radzących o tem, czy numer dziś wyjdzie, czy nie wyjdzie, bo większa część zecerów zastrajkowała, a gaz, niewiadomo, czy dobrowolnie, czy z rozkazu jakiego komitetu »nie chciał się palić«. Oprócz bardzo rozległych, lecz nie mniej mglistych informacji politycznych i cienkiej herbaty nic tu nie było do zaczerpnięcia.

Pan Apolinary zły, bo głodny, jak prawdziwy Polak, poszedł szukać szczęścia gdzieindziej. Ale nie odnajdywał na ulicy zwykłego zadowolenia, ani odczuwał swej narzucającej się popularności. Nie poznawał dzisiejszej Warszawy.

Trzeba wiedzieć, że nasz bohater, czyby się ubrał u krawca amerykańskiego, czyby nawet przywdział strój azyatycki, wyglądałby zawsze nie na co innego, jak na Polaka i to narodowca. Zbyt błahe byłoby wyprowadzać ten ogólny charakter jego postaci z narodowych barw cery, przeważnie amarantowej z białą, ale zacięcie, głos i ruch składały się zgodnie na taki wynik, że mu pomniejsi demokraci (przed rewolucją) mówili »panie dzie-dzicu«, a naczelni nazywali go serdecznie »panem Apolinarym«, pomijając rodowe nazwisko. — Dzisiaj jednak taki pozór nie popłacał widocznie na ulicy, bo nasz bohater usłyszał już raz przydomek »burżuj«, wcale nieprzyjemny, a raz w raz spotykał się ze spojrzeniem ukośnem, nic wspólnego z przychylnością nie mającem.

Ulica, oświetlona teraz gazem, gotowała panu

Apolinaremu nowe niespodzianki. Znowu szedł pochód, tym razem poważniejszy, jakby pielgrzymka. Z wielu piersi płynął hymn: »Boże coś Polskę«.

— To lubię — rzekł Budzisz — i odkrywszy głowę bez przymusu, ruszył za innymi, wszystko jedno dokąd, wszystko jedno z kim. Pieśń prowadzi — naprzód!

Wtem nawoływania: »Stać! stać!« zwały szeregi, potem je osadziły na miejscu. Z pośród tłumu wyrosła drabina, a na nią wszedł młodzieniec w mundurze wyższego zakładu* naukowego. Boczne światło latarni gazowej rzuciło się jaskrawo na pół postaci chudej, na wypukłe oczy i bujne kędziory mówcy.

— Gaspada...

Pan Apolinary jednym zamachem wcisnął kapelusz na głowę. Słuchał jednak jeszcze, starając się zrozumieć dźwięki rosyjskie, skażone semickim akcentem.

— ...Rzucono nam z łaski ochłap, jak psom. My żadnych łask nie potrzebujemy. My mamy siłę potrzebną, aby wywalczyć wszystkie prawa ludu. Walczymy nie za Dumę bogatych, ale za Dumę wszystkich: Rosyan, Polaków, Żydów, Mahometan. Walczymy za prawo głosu dla mężczyzn i dla kobiet, za tajne, powszechne, bezpośrednie głosowanie. My podyktujemy prawo, nie damy się zwieść i ugłaskać...

A gościnny polski tłum słuchał, stojąc z odkrytymi głowami.

Tu pan Apolinary zacisnął pięści, rozejrzał się po ulicy, upatrzył miejsce, gdzieby mógł wskoczyć na jakieś podwyższenie i pośpiesznie układał mowę odpowiednią:

— Panowie!... Nie. Towarzysze i towarzyszkil... Gdzie tam! Polacy! O tak. Jesteśmy u siebie i nie potrzebujemy lekcyi, choćby najżyczliwszych. — Polacy! Bujna teoria poprzedniego mówcy, ukazując cel idealny, a daleki, wzywa tymczasem do szaleństwa. Tak, dobrodziejmo moi, nie dajmy się zwodzić, ale tym, którzy międzynarodową piętą depcą tę ziemię ojców naszych... Piętą? — źle.

Tymczasem pochód ruszył dalej, a Budzisz pozostał na miejscu. Poszedł wreszcie w odwrotnym kierunku, fulminując bez pomiarkowania:

— A to wieża Babel! Jerozolima wyzwolona!

Staniał się od nadmiernego użycia wrażeń, a także ze złości i z głodu. Postanowił nie żartem zdobyć sobie posiłek, żeby choć jakąś najdemokratyczniejszą narodową potrawę i kufel krajowego piwa.

Zabrnął w ulicę Złotą, gdy spostrzegł dwoje młodych ludzi odłączających się od tłumy i dążących ku niemu. Dobrze im było z sobą, szli elastycznym, szybkim krokiem, rozprawiając z żywieniem. Młodzieniec, mijając pana Apolinarego,

spojrzał na niego bystrym, nieco zadziwionym wzrokiem, i dotknął kapelusza.

— Demel!

Budysz przypątrzył się uważnie, stwierdził w przechodniu dawnego nauczyciela syna swego, i, równie ciekawością, jak przecuciem jakimś powodowany, przystanął na chodniku.

— Dobry wieczór panu.

Para młodych odwróciła się szybko, aż furknęła w powietrzu spódnica kobiety, i czworo oczu żywych, zuchwałych zajrzało w twarz panu Apolinarego. Od swobodnego marszu przeszli od razu do pozycyi wyczekującej, nieufnej; obrócili ku Budziszowi front bojowy.

Ale pan Apolinary wyciągnął pojednawczą prawicę do wicherzyciela, którego niedawno usunął od siebie ze wsi za buntowanie parobków.

— Spotykamy się w doniosłych czasach; puśćmy w niepamięć wzajemne urazy.

Demel chmurnie podał dłoń swemu chwilowemu chlebobdawcy z ubiegłego lata:

— Urazy nasze nie są osobiste.

— Racya. Cóż pan porabiasz? A właściwie — co państwo porabiacie, bo widzę, że w towarzystwie?...

— My tu mamy robotę. Towarzyszko! — pan Budzisz, właściciel ziemski. — Pana prędeż wypada mi zapytać, co ma dzisiaj do czynienia tutaj w dzielnicach ludowych?

— A cóż? Żyję, dobrodzieju mój, oddycham wolnem powietrzem.

Powiedział to tak serdecznie, że rozwiął nieufność spotkanej pary.

— Porzućmy spory o przeszłość — ciągnął dalej. — Jesteśmy dziećmi jednej ziemi — wszak prawda? Bo i pani zapewne?

— Jestem Warszawianką i urzędnikiem na kolei.

Pan Apolinary odkrył powtórnie głowę na znak uszanowania, czem dobrze usposobił »towarzyszkę«. Odjęła ręce od bioder i zastrzygła rzęsami. Była niebrzydka, rosła i giętka, trochę tylko zaniedbana w ubraniu i kanciasta w ruchach. Ciemny biret z czerwoną kokardą, męzki kołnierzyk i krawat nie przyczyniały jej też niewieściego wdzięku. Ale oczy patrzyły prosto, z młodym zapałem.

— Co tu gadać, moi państwo. Odradzamy się wszyscy razem, — wspierajmy się nawzajem. Ot i teraz powiedzcie mi, jeżeli wiecie, gdzie zjeść można, bom dyabło głodny.

Młodzi spojrzeli po sobie.

— Znalazłaby się restauracya — odpowiedziała kobieta — ale nie dla bogatych.

— Dla głodnych, dobrodzieje moi. Może i państwo śpieszycie na posiłek?

— A tak — rzekła towarzyszka, widocznie połykając ślinę.

— Jam nie głodny — wtrącił Demel z pogardliwym skrzywieniem.

— Pozwólcie, że was zaproszę dzisiaj, moi państwo.

Znowu młodzi porozumieli się wzrokiem.

— Ano, to chodźmy.

Zapuscili się w słabo oświetloną, brudną i groźnie gwarną dzielnicę.

Po śliskich od błota chodnikach trudno było postępować, gdyż zajmował je tłum nieruchomy, niby zgromadzony na widowisko. Środkiem ulicy biegli niektórzy, inni formowali się do szeregu i nieśli czerwone latarki, widniejące zdala, jak sygnały alarmowe. Nigdzie wojska, ani policyi. Żadnych też wozów nie było widać, ani koni.

Ujrzał tylko Budzisz jednego jeźdźca. Na ogromnym koniu, wyprężonym zapewne z tramwaju, jechał wyrostek z odkrytą głową, rozczochrany, i rzucał hasło, na które tłum odpowiadał hucznie. Siedział oklep na swym wierzchowcu, twarz ścigała się energicznym marszem, a bezwłose usta miał otwarte, ziejące prostą i straszną wymową:

— Na ratusz! uwolnić więźniów! uwolnić braci naszych! Na ratusz!

Budzisz zatrzymał się. Mignęły mu w pamięci jakieś postacie heroldów, jakieś obrazki z rewolucyi francuskiej — i krew mu uderzyła do głowy. Wpił się oczyma w śmiałą postać chłopaka, gonił za ciężkim dzwonem podków, który po kamien-

nym bruku rozlegał się jedynym metalicznym dźwiękiem wśród fałszywego brzęczenia ula ludzkiego. Gdzie przeleciał, głos tłumy wzmagał się, jak chrapliwy oddech gorączkowy, lub wybuchał spazmem, westchnieniem potężnem. Goniec porywał za sobą szmaty tłumów z chodników na środek ulicy.

— A my co? stoimy?! — zwrócił się pan Apolinary pałającemi oczyma do Demla i towarzyszki jego.

Oboje patrzyli na niego uważnie; kobieta spoglądała nawet z sympatyą. Po chwili rzekł Demel, wskazując na oddalonego już jeźdźcę:

— Z naszej organizacyi. My tu inną mamy dzisiaj robotę. Pracujemy od rana. Po kolacyi zaczniemy znowu.

Zbliżyli się do zbitej masy robotników, zagrażającej zupełnie ulicę. Zaczęto przyglądać się podejrzliwie ubiorowi i twarzy Budzisa.

— Hasło — mruknął ponuro jakiś barczysty człowiek, przysuwając się blisko do przechodniów.

-- Brama i krata! — rzucił Demel w twarz pytającemu, biorąc pod rękę pana Apolinarego.

Stróż tajnej organizacyi ustąpił.

O kilka domów Demel zatrzymał się i wprowadził towarzyszków w bramę. Weszli następnie na piętro po drewnianych brudnych schodach, zadzwonili do drzwi, i znaleźli się w dość obszer-

nem mieszkaniu, tymczasowo urządzonem na restauracyę, pełnem dymu i wyliewów taniej kuchni z przeważającą wonią cebuli.

— Paradnie tu nie jest, ale posilić się można — rzekł Demel i zwrócił się do służącej, młodej Żydówki:

— Jest co świeżego do jedzenia, towarzyszeko?

— Wsistkie szwzię — ryba, pieczeń huzarske, majoneza...

Demel spojrział pytająco na Budziszsa.

— A dawajcie choćby wszystko po kolei. Będziemy próbowali — prawda? — A piwo jest?

— I piwo jest i wódka jest i chleb dzyszej-szy jest.

— Ależ to ziemia obiecana!

Wyszukali sobie miejsce w mniejszym pokoiku, w którym nikt nie siedział. W paru innych kilkanaście osób jadło z szarego fajansu w kwiaty, na stołach nie pokrytych obrusami. Dla nowoprzybyłych, zapewne z powodu obiecującej powierzchowności pana Apolinarego, służąca przyniosła obrus, serwety i platerowany serwis do octu i oliwy. Widocznie nawet w tem gnieździe socjalizmu równość i braterstwo podlegały wpływom cenzusu majątkowego.

Gdy podano do przekąski pulchny biały chleb, pan Apolinary zauważył z zadowoleniem, że oddawna nie kosztował świeżego pieczywa i szukał objaśnienia, dlaczego restauracya i piekarnia tutaj

otwartą, podczas gdy innym narzucano gwałtem bezrobocie.

— Gdzieś przecie trzeba jeść — odpowiedział Demel, zjadając smacznie, pomimo że przed chwilą nie czuł się głodnym.

— Biedni gotują dla biednych — dodała młoda kobieta.

— Zdaje się, Żydzi trzymają tę restaurację?

— Towarzysze. Gotują i sprzedają według taksy.

— Ale zawsze Żydzi? — nalegał Budzisz.

— Czy ja tam wiem? różnice plemienne nie są na czasie — odparł Demel. — Sam pan mówiłeś, że jesteśmy dziećmi jednej ziemi.

— Zapewne, zapewne... Mamy też równe obowiązki.

Ogólnik ten utonął w szczupaku po żydowsku, którego wszyscy błogosławili, że istnieje i nasycia różnoplemienne apetyty.

Towarzyszka nazywała się Ola. Jadła śpiesznie i chciwie, nie sznurując ust. Chuda jej twarz ożywiła się rumieńcem, a piwne oczy nabierały wesołości. Demel także, jeżeli nie był głodny, jadł widocznie na zapas. Ruda, szorstka czupryna poruszała mu się razem ze skórą niskiego czoła.

— Widocznie głodne biedaki — myślał pan Apolinary, podsuwając towarzyszom półmisek i sam dając z siebie zachęcający przykład.

Skończyli kolację, przeważnie milcząc. Ola,

jak i inni, zapaliła papierosa i podparła się obu łokciami o stół. Oczy jej biegły za obłoczkami dymu w jakieś marzenia pogodniejsze, zapewne osobiste; zwracały się do obecnych, zwłaszcza do Demla, bardziej po kobiecemu. Demel zaś marszczył czoło i oczy mrużył, jak człowiek, który wmawia w siebie, że mu spocząć nie wolno. Pan Apolinary sapał i dopijał piwo.

Wtem Demel drgnął, spojrzawszy na zegar, który wskazywał pół do dziesiątej.

— Trzeba już na ulicę.

Ola wyprostowała się zaraz sprężysto i obciągnęła na sobie bluzkę.

— Poczekać, ludzie niezmordowani! Dajcie sobie chwilę odpoczynku po obiedzie. To zdrowo.

Widząc jednak, że młodzi są już stanowczo na wylocie i przybrali postawy pochodowe, pan Apolinary zażądał rachunku.

— Pięć rubli, dziewięćdziesiąt — wyrzekła słodko usługująca Żydówka.

— Ile?! — wtrącił się Demel, groźnie spoglądając na służącą.

— Porcyce byli na sześć osób, — wódka, piwo, śledź...

— Gdzież taksa?

— Dajcie im pokój, niech sobie zarobią; dali nam jeść kapitalnie — rozstrzygnął sprzeczkę pan Apolinary, płacąc.

Demel chciał protestować, iść do gospodarza,

gdy wtem zamilkł, wyciągnął szyję, przysłuchując się wzmożonemu hałasowi ulicy. Wszyscy obecni w restauracyi powstali i podążyli ku wyjściu.

W bramie kilkunastu młodych Żydów szwargało jak stado spłoszonych gęsi. Przez ulicę biegło kilku innych, z szeroko rozwianemi połami chałatów. Nie można było jeszcze zrozumieć powodu popłochu, gdyż na ulicy ruszał się tylko strwożony tłum, a pomimo krzyku: »kozaki! armaty!« — nie widać było ani wojska, ani słychać wystrzałów.

Demel ujął mocno rękę Oli i oboje pochyleni naprzód, stali przez chwilę lgnąc do muru, badając ulicę w kierunku, skąd zgiełk pochodził. Wyglądali jak klasyczne charty przed skokiem, »jak dwie strzały złożone na jednej cięciwie«. I rzucili się niebawem, biegnąc, w domniemane niebezpieczeństwo.

Budzisz ociągał się trochę; zmiarkował, że popłoch szedł od śródmieścia, że mu droga wypada w każdym razie w tym kierunku, że wstyd szlachcicowi tchórzyć, że wreszcie nic tymczasem nie widać groźnego na ulicy. Przeżegnał się i ruszył śpiesznie za parą młodych zapaleńców.

Napotykał teraz grupy mniej krzykliwe, jednak ponuro zgorączkowane: robotników zapewne, uliczników i rozmaitych ludzi nawet dobrze ubranych. Nie uciekali, lecz radzili po rogach ulic,

słuchali ułamkowych i sprzecznych napływających wieści.

Jakiś krępy, ospowaty młodzik z miną mniej wiarogodną opowiadał głośno w kole kilkudziesięciu osób:

— Rznęli, strzelali, aż krew waliła rynsztokami! Kobiety szpikowali na bagnety! Armaty wytoczyli na plac Saski... Macie, brachy, konstytucję!

Pan Apolinary widział jeszcze przed sobą Demla i Ołę, coraz dalej, aż przepadli w ciżbie. Dotarł wreszcie do Marszałkowskiej i tam dopiero zrozumiał, że na tłum, domagający się wypuszczenia więźniów pod ratuszem, puszczono konnicę na placu Teatralnym. Rozmiary kłęski rosły lub zmniejszały się stosownie do temperamentu opowiadających, ale fakt pozostawał niezbitym.

Z daleka, pod bładem światłem latarni, przemawiał do ludu energiczny młodzieniec. Zdaje się, że Demel?

— Towarzysze i towarzyszki... niech mówi za mnie krew...

Morze głów huczało rosnącym oburzeniem — i Budzisz był w tem morzu, zgodną, oddźwięczną falą.

DZIEŃ DRUGI.

Warszawa, 4 listopada 1905 r.

Najdroższa moja Teklo!*)

Dziękuję Ci najprzód serdecznie za furę prowiantów, z których pożywiłem się kapitalnie po-
społu z przyjaciółmi politycznymi, a część odda-
łem biedakom rozmaitych przekonań, bo z po-
wodu strajków prawie wszyscy cierpią niedosta-
tek. Suchą kielbasę i półgęski zachowałem u sie-
bie i codzień rano przegryzam, chwaląc twoje
złote serce i talent Justynowej.

Dzięki Bogu, że u was spokojnie, ale czy wy
tam otrzymujecie gazety? Widzę przecie z listu

*) List ten przesłał p. Budzisz wodą i ładem, przez umyśl-
nego posłańca, do żony, bawiącej na wsi. Podaję go do wia-
domości publicznej, gdyż mniemam, że swobodna gawęda wy-
bitnego działacza spłana na gorąco, nie będzie bez użytku dla
historii epoki, mimo liczne sprawozdania dziennikarskie o tych
samych wypadkach.

twego, że wiesz już o ogłoszeniu konstytucyi, tylko nie masz z pewnością pojęcia, jak taka konstytucya wygląda. Tu wolność prasy, wiece, pełnia życia publicznego, tam znowu pogrom tłumu na placu Teatralnym! — Biurokracyę obalamy w dalszym ciągu, ale się jeszcze trzyma; przywarowała tylko trochę. Przyjdzie rychło na nią cios ostateczny. Są wszelkie nadzieje, że przed końcem roku będziemy mieli sejm i konstytuante w Warszawie. Wszyscy są tego zdania.

Nie mogę Ci dać całkowitego obrazu ogromnych wypadków, które tu przeżywamy. Przedwcześnie też byłoby Ci donosić o wmieszanu się Anglii do spraw naszych, to jedno tylko, że interwencya wypadnie na naszą korzyść. O tem potem, tymczasem opisuję, com sam dnia wczorajszego widział i słyszał.

Wyobraź sobie cztery tysiące ludzi zebranych w sali Filharmonii, którą poznałaś w przeszłym roku przy popisach tanecznych Izadory Duncan. Wczoraj — istny parlament. Na estradzie mównica, i każdy, kto w Boga wierzy (a niestety i taki, co nie wierzy) zapisuje się do głosu dla wypowiedzenia, co ma na sercu czy na wątróbce, bez najmniejszych ograniczeń, — tyle tylko, że postanowiono w końcu, aby jeden mówca nie przemawiał dłużej, niż dziesięć minut. Czego tam nie mówiono! Chciałem i ja odezwać się pierwotnie, ale

winszuję sobie, żem nie zaryzykował. Dla mnie odpowiedniejsza jest akcja w komitetach.

Przemawiali głównie socjaliści i nie spodziewasz się nawet, kto między nimi? Nasz Demel. I wcale dobrze gadał, a skończył, jak wszyscy zresztą, żądaniem konstytuanty w Warszawie, opartej na powszechnem, równem, tajnem i bezpośredniem głosowaniu. Cóż tu jest do zarzucenia? — Spotkałem go już parę dni temu w dziwnych okolicznościach; jadłem nawet kolację z nim i jego towarzyszką, osobą przyzwoitą. O tem kiedy indziej opowiem.

Inny mówca miał kurteczkę tak wyszarzaną, że u nas w stajni gorszej nie zobaczysz. Nic też dziwnego, bo przemawiał od proletaryatu. — Gadalі różni, dochodząc mniej więcej do tych samych wniosków. I już myślałem przez godzinę, że doszliśmy do tego skojarzenia stronnictw, o którym w lecie dużo się mówiło, nad czem i ja, jak wiesz, pracowałem i nie przestaję pracować. Ale gdzie tam! Najprzód na piętnastu oratorów przynajmniej dziesięciu czyniło ostre przytyki naszym ludziom, jakby to należało do wszystkich socjalistycznych programów. Co u licha? — myślę sobie — gadajmy o przyszłości, a nie kłóćmy się. Co innego reforma Stowarzyszenia, o której myślałem; co innego, żeśmy chybili tu i ówdzie. Ale nie jesteśmy przecie obcy, ani w porozumieniu z biurokracją! Wolno nam mieć swoją barwę,

swoją taktykę, nawet swoje błędy. Tak jest — swoje błędy. Tembardziej, że jest nas więcej, niż kogokolwiek, nawet więcej niż Żydów. Mieszkamy na tej ziemi od wieków i jeżeli kto, to my tu jesteśmy gospodarzami.

Złość mnie ogarnia nawet, gdy wspominam to co tu wyczytasz. Wszedł jakiś mowca na katedrę, dobry mowca, trochę tylko zachrypły, bo jak sam wyznał, od rana do nocy przemawia na ulicy, a to jesień późna, zimno i wilgoć. Prawi tedy niby spokojnie, żartobliwie, jakby się chciał pokumać z całą salą. Dobrze — myślę sobie. Potem, niby z wielkiej komitywy, wjechał nam także na karki. Drażnił mnie już niepomału, ale m się trzymał. A ten dalej: »Zasłaniają ludowi oczy jakimiś sztandarami, bawią go śpiewką narodową«... Pasya mnie ogarnęła. Jak nie huknę: Milczeć! Zachłysnął się. A kilku naszych wrzaśnie z pobliza: »Precz z nim! nie tykać naszych świętości!« I poszedł huk po sali, aż ów, jak Filip z Konopi, musiał dać nurka w konopie i przerwać mowę. — Biedy by nie było w tem, ale znalazła się gdzieś indziej. Kiedy my tu chórem ujęli się za naszym sztandarem, patrzę, aż z galeryi miga czerwona płachta i poszło gwizdanie przez salę, wycie i deszcz drukowanych kartek. Żydowstwo to tak przeciwko nam ujadało. Co krzyczeli? co precz chcieli wymieść? — może nie dobrze dosłyszałem. I nie powiem Ci nawet, jak mi się zdawało. Gdy to

usłyszemy wyraźnie, biada synom Izraela na ziemi naszej!

Korciło mnie także, że nikt należycie nie odpowiedział z naszej strony. Bąknął tam jeden z drugim, z sensem, ale słabo. Dlaczegoż nie wystąpił Gwiazdowski, którego każdyby uszanował? Albo i Hyc? Głos ma przynajmniej jak tubę.

Ale nie sądz, droga Teklo, z tego jednego wypadku, o usposobieniu ogólnem miasta. Napchało się wyjątkowo do sali dużo tałałajstwa. Inaczej my się tu porozumiemy między starszyzną, nawet z przeciwnych obozów. Bo i w obozach innych, jak Ci to już mówiłem, jest dużo ludzi znacznych, a nawet coraz to nowi powstają, a dawni rosną. Że znam miłą ojczyznę nie od wczoraj, myślałem, że potrafię wyliczyć wszystkich naszych matadorów. Gdzie tam! Ten, którego miałem wczoraj za hetkę pętelkę, stoi dzisiaj na mównicy, porywa tłumy, ujarzmia istniejące władze, pisze już prawa. Do ministrów przemawia kto tylko żyw, nietylko w zbiorowych memoriałach i protestach, ale tak, w pojedynkę. Jednak ani mnie, ani chyba nikomu nie chodzi o władzę i odznaczenie osobiste. Czasy są demokratyczne, czasy działają same. Tylko że w nich ludzie ogromnieją, a nawet lichota się uszlachetnia. Imaginuj sobie na przykład, Tekluniu, że redaktor Kuryera Policyjnego stara się, aby mu władze zawiesiły

jego pismo, choćby na parę dni. I on także chce być patriotą!

Jednem słowem, dzieją się tu rzeczy dlatego tylko zrozumiałe, że żyjemy jak we śnie. Zdaje ci się naprzykład przez sen, że to pies szczeka, aż patrzysz — nie pies, ale szlachetna jakaś osoba. To znowu jesteś w opresyi i w ciężkiej zmurze, aż nagle — niebo pogodne, ptaszki śpiewają, oddychasz pełną piersią i lecisz jakby na skrzydłach. Tak my tu żyjemy.

Co się tyczy ostatecznego pognięcia wrogich żywiołów, biurokracyi i anarchii, rzecz jest prawie na ukończeniu. Jednej pozbędziemy się niebawem przez wprowadzenie ogłoszonych reform, druga zaniknie, gdy przyciągniemy do siebie partye skrajne. Jesteśmy dziećmi jednej ziemi, ufam więc, że łatwo się pogodzimy. Ja już na przykład zbliżyłem się do Demla, może się z nim i ostatecznie porozumiem.

Poznałem też wielu innych ludzi. Jest tu np. jeden mecenas Sartor. Pełno go wszędzie, gada aż miło, to raz godzi się z nami, to znów z socyalistami. Oczywiście demokratą — inni ludzie teraz nie istnieją — ale odmienny. Nie zrozumiej, że ani pies, ni wydra, bo to jednak siła. Los nas połączył, mnie i jego, w jednym doniosłym pomysle. Pan Sartor zakłada wielki dziennik pod nazwą »Platforma«, który będzie godził interesy partyi skrajnych z naszymi. Ja ciągle myślałem

o takiej gazecie, no — i uprzedza mnie kto inny! Tak to bywa w czasach wielkiej pracy umysłowej całego pokolenia.

W »Platformie« chodzi przedewszystkiem o stworzenie platformy. Naucz się, Tekluniu, tego wyrazu, bo to jest jeden z głównych wynalazków ostatnich czasów. Platforma jest to niby grunt, na którym zbiegają się interesy pozornie rozbieżne. O dziennikarstwie piszę trochę nowym stylem, ale Ty muie zrozumiesz, bo masz głowę nie od parady. Więc skojarzenie stronnictw, nasycenie interesów narodowych może się odbyć tylko na platformie.

Jedyną słabą stroną pana Sartora jest opłakany stan jego interesów finansowych. Podobno jego kłopoty przeszkadzają mu rozwinąć owocną działalność dla kraju i kraj czeka niecierpliwie na moment, kiedy się te kłopoty ułożą. Otóż w powstającym dzienniku znaleźć ma pan Sartor ten sposób pogodzenia swoich interesów osobistych z krajowymi. To jest także platforma.

Ponieważ projekt wielkiego dziennika z platformą jest i moim projektem — tyle tylko, że wyrazu »platforma« nie wymyślił — musiał się ten mój zamiar rozgłosić, bo zaproszony jestem na rozmowę najpoufniejszą w przedmiocie »Platformy« jutro do pana Sartora. O tem nic nikomu nie wspominaj, bo to jest sprawa polityczna tajna. Gdyby się rozgłosiła, mogliby ją zazdrośni popsuć.

Tak mnie o tem powiadomił pan Kolejko, ekonomista, także człowiek nowy i obiecujący. Co krok na takich natrafiam!

Nie skończyłbym, gdybym chciał Ci zdać całkowitą sprawę z czasów i ludzi. Rozpisałem się i tak za cały tydzień, bo przecie codzienn listów takim kosztem i przebojem wysyłać niepodobna. Mam w Bogu nadzieję, że was tam ustrzeże od złych wypadków. Zawsze jednak pilnuj, aby podwojono straż nocną, jak już wydałem rozporządzenie, a w dzień do dworu nie puszczaj nieznanomych, choćby mieli dokumenta na składki od najślawniejszych komitetów. Rozgłoś, co zresztą prawda, że wywiozłem z domu wszystkie pieniądze dla operacyi centralnych. O mnie się też nie frasuj, Tekluniu, gdyż o ile ducha mam niepomowanego, o tyle też pragnę się zachować dla pożytku ojczyzny, a i dla twojej i Janka potrzeby. Skoro tylko ruszą koleje, pośpieszę uścisnąć was, dla których miejsce rezerwuję zawsze osobliwe nawet w przepełnionem sprawą publiczną sercu.

Wasz do grobowej deski

Apolinary.

DZIEŃ TRZECI.

Była niezwykła pogoda jesienna. Ciepło szło nie od słońca, świecącego blado przez alabastrowe chmury, ale biło od ziemi, od ulic pełnych ludu, od serc wiosennie rozgrzanych.

Pan Apolinary, zaproszony na śniadanie przez pana Sartora, kończył właśnie tę ucztę w towarzystwie gospodarza, w mieszkaniu jego przy Nowym Świecie niedaleko placu Św. Aleksandra. Trzecią osobą przy stole był pan Kolejko, znany ekonomista i człowiek ogromnego polotu. Śniadanie było tylko dodatkiem, bardzo pożądanym w głodnych czasach strajkowych, do narady trzech mężów nad założeniem pisma »Platforma« i związaną z tym dziennikiem szeroką akcją dziennikarsko-ekonomiczno-polityczną. »Platforma« bowiem miała wychodzić dwa razy na dzień, posiadać jako filie: tygodnik ilustrowany dla robotników miejskich gazetę dla ludu wiejskiego. Komitet redakcyjny chciał nadto urządzać co tydzień zebrania swobo-

dne, z udziałem pań, literatów, artystów, przemysłowców, nawet wybitnych członków stanu robotniczego i włościańskiego. Na zebraniach takich poruszanoby lekko najcięższe kwestye, różne sfery poznawałyby się wzajemnie, tryskałyby pomysły, rodziłoby się światło. Mogłyby się odbywać w mieszkaniu pana Sartora. »Platforma«, dorastając tym sposobem do znaczenia ogniska pracy społecznej, potrzebowała też nowej instytucji finansowej, służącej głównie jej celom. Stąd projekt domu komisowo-wkładowo-okolicznościowego, utworzony przez pana Kolejkę, który oprócz kierownictwa banku brał na swe barki dział ekonomiczny w redakcyi »Platformy« i oświadczał się z gotowością urozmaicania zebrań redakcyjnych odczytami na byle jaki zadany temat, poczynwszy od podwójnej buchalteryi aż do naszych aspiracyi politycznych. Był bowiem, przy swem uzdolnieniu ekonomicznem, zarazem człowiekiem ogromnego polotu.

Oczywiście te wszystkie połączone plany wymagały milionów.

Właśnie biesiadnicy dogadali się do takiego wniosku. Pan Apolinary zpochnurniał i uczuł się małym wobec obu swych towarzyszków. Jakiż on mógł dać ekwiwalent w tej spółce równy udziałom tamtych? W dzienniku — taki pan Sartor! W banku — taki pan Kolejko! On, działacz jeszcze nie skryształizowany, choć już zastużony,

mógł najwyżej dać od czasu do czasu dobrą radę, — no i pieniądze. Ale ile? Skromne 30.000 rubli, cały jego kapitał ruchomy, byłoby zaledwie kroplą w morzu tych potrzeb krajowych. A przecie całości dać nie może, bo gdyby wszystko dyabli wzięli...

— Przejdziemy do salonu na kawę — rzekł pan Sartor, prostując swą postać ruchem atlety o stalowych mięśniach, chociaż był niewielkiego wzrostu i chuderlawy.

Duch taki mieszkał w tym mężu, że przerastał granice wątłego ciała.

Pan Kolejko rozwiązał płynnie serwetę z pod brody, jak bylejaką kwestyę, i okrągłym ruchem podał dziękczynną dłoń gospodarzowi.

— Mecenasie, za nasycenie potrzeb krajowych.

Oczy miał nader miłe, a głos pieszczotliwy, miodem i dowcipem płynący.

Pan Sartor chował swój dowcip na okazje donioślejsze. Uśmiechnął się z energią, która go nigdy nie opuszczała, nic nie odrzekł, tylko stalowym uściskiem zdruzgotał miękką rękę ekonomisty.

Najmniej okazałe powstał pan Budzisz; krzesło bowiem z poręczami, w stylu nowożytnym, objęło go tak szczelnie, że nie chciało go opuścić. Chociaż nasz bohater wyzwolił się dość szybko z tego objęcia, baczny gospodarz zauważył wy-

padek, i rzekł niedbale, wskazując na meble jadalni:

— To ten styl. Ale ja z zasady popieram nowe modele.

W salonie powrócono niezwłocznie do rozmowy o »Platformie« i jej rozgałęzieniach. Ludzie czynu używać zwykli, w dzisiejszych gorączkowych czasach, tyle tylko czasu na jedzenie, ile matematycznie potrzeba na przełknięcie.

Pan Sartor zauważył cień zniechęcenia na twarzy pana Budzisa i odgadł, że kosztowność przedsięwzięcia go zaniepokoiła. Ale nie był to jedyny powód niepokoju w duszy naszego bohatera, który był dzisiaj mniej pogodny i nie swój.

Sartor, wychyliwszy nerwowo kieliszek koniaku, mlasnął stanowczo językiem i rzekł:

— Mamy liczne oferty ludzi pragnących przyłączyć się do naszego działania. Cisną się różni, ofiarując swój udział w pracy i pieniądzach. Ale my chcemy stworzyć blok jednomyślny i sprężysty, możemy więc przyjmować tylko ludzi należycie przygotowanych do akcji.

— Pożądane byłoby dla nas przede wszystkim moralne poparcie pana radcy — dodał Kolejko. — Udział jego pieniężny mógłby się ograniczyć do niewielkiej sumy, np. dwudziestu pięciu tysięcy...

Pan Apolinary przyzwyczał się już do tego, że go uprzejmy ekonomista uporczywie nazywał »radcą« bez wszelakiej zasady. Ale suma wyma-

gana przekraczała znacznie rozmiar jego ofiarności i zapału.

— Takim udziałem trudnoby mi służyć obecninie — bąknął nieśmiało.

— Podpis nam wystarczy, panie radco.

— Za podpis płaci się w terminie.

— Albo należność prolonguje się. Przedsiębiorstwo zresztą jest tak solidne, że ryzyka niema. A pomimo niezachwianej podstawy finansowej, cały plan mecenasa — z moim skromnym udziałem — zakresłony jest nie w celach spekulacyjnych, lecz przeważnie ideowych. W tym zakresie pan radca mógłby nam ogromnie pomódz. Znana jest szeroko owocna działalność pańska, stawiająca zawsze ponad interesy osobiste i stronnice wyrozumowane dobro ogółu. Biegłość zaś i takt, z których pomocą potrafił pan radca uratować swą indywidualność polityczną od tyranii swego stronnictwa — są doprawdy podziwu godne.

Pan Budzisz błado się uśmiechnął.

— Dzisiaj pańscy przyjaciele zajęci są urządzeniem wielkiej zabawy ludowej — wtrącił sarkastycznie pan Sartor.

— A prawda — zadziwił się Kolejko — nie bierze pan udziału w pochodzie?

— Co tam pochody, dobrodzieje moi! Praca — to grunt.

Mecenas i ekonomista spojrzeli z uznaniem na Budziszę, ale nie natrafili na oblicze jaśniejące

niezlomnem przekonaniem. Przeciwnie, pan Apolinary wypowiedział się kwaśno, z odcieniem nawet bolesnej rezygnacyi. Od dwóch dni wiedział o gotującym się olbrzymim pochodzie i uznawał nawet jego potrzebę dla przeciwdziałania agitacyi stronnictw skrajnych. Ale nie został powołany do grona organizatorów. On, delegat powiatowy Stowarzyszenia, wskazany niegdyś przez opinię i wybory, który dla tegoż Stowarzyszenia trudu i zdrowia nie żałował, wybitny działacz ze sfer ziemiańskich, został raz jeszcze pominięty. Sam napraszać się nie chciał — czekał. Przekonał się jednak, że nikomu nie przyszła na myśl pomoc jego ramienia, silnego jeszcze, i głowy, chociażby tylko użytecznej. Obeszli się bez niego koledzy, nie chcąc się dzielić żniwem laurów. Takie ich postępowanie pobudziło pana Apolinarego do filozoficznej abstynencyi.

— Byłem przy zbieraniu się pochodu na Starem Mieście — opowiadał Kolejko — porządek wzorowy.

— Czy tylko w tym porządku skończą? — wątpiewał Sartor.

— Zobaczymy. Tędy przecie iść będą. Pan ma, zdaje się, balkon na ulicę, mecenasie?

— Mam.

Budisz powstał żwawo i spojrział przez zamknięte okno. Na ulicy było uroczyście: z balkonów i z wielu okien, otwartych na ulicę zwieszały

się dywany, chorągwie narodowe... Ścisnęło pana Apolinarego za serce. Zapytał:

— A pan mecenas nie przystroił swego balkonu?

— Ja nie manifestuję nigdy. Ja robię politykę, a nie bawię się polityką.

— Pan mecenas jest zimny — zauważył Kolejko.

— Tak, ja jestem zimny.

I obciągnąwszy na sobie ubranie ruchem nieubлагanym, pan Sartor nawiązał przerwana rozmowę o doniosłości »Platformy« politycznej, społecznej i ekonomicznej, o nasyceniu potrzeb krajowych.

Ale pan Apolinary dusił się już widocznie w tej atmosferze interesów realnych i błędnym wzrokiem wodził po ścianach, szukając może ukojenia w sztuce, gdyż pokój, w przeciwieństwie do rozmowy, był fantastyczny, pełen obrazów, rzeźb i akwafort zawiłych, kontorsyjnych, krzyczących o wyzwolenie Ducha. Mecenas cały był nowy, popierał też nową sztukę. Pan Apolinary zaś, roz targniony ostatecznie, widział tylko przed sobą pstrokatą zmurę, nie dającą bynajmniej ukojenia:

Po chwili odezwał się:

— Otwórzmy okno. Powietrze jest łagodne.

— Jeżeli pan chce koniecznie —

Uprzejmy gospodarz przystąpił do drzwi osz-

klonych, prowadzących na balkon i otworzył je ruchem szturmowym, aż szyby zadzwoniły. Potem, ukazując drogę gościom ruchem ręki oratorskim, rzekł:

— Proszę.

Środek ulicy był pusty, odcięty od tłumnie zajętych chodników przez sznury młodzieży ruchome, ciągnące się elastycznym łańcuchem rąk sfornie, bez przeszkód, ani zgiełku, jakby z mocy solennej, zawartej na ten dzień, umowy. Kordony uporządkowały już ulicę aż do placu św. Aleksandra, a pochód był jeszcze daleko, może przy rogu Chmielnej, podobny czarnej fali przychodzącej z barwnymi nad nią żagielkami. Fala była snąc gorąca, bo bił od niej daleko naprzód powiew ciepły; i huczna, bo rozsypywała przed sobą echo napęnlające powietrze; i zaczarowana harmonijną zgodą, bo wszystkie piersi porywała do jednego hymnu.

Pan Apolinary poczuł wzruszenie prawie bolesne. Dusza rwała mu się na ulicę, a konsekwencja zatrzymywała go w mieszkaniu pana Sartora. Poszukał oczyma towarzyszków. Na balkonie obok niego stał tylko Kolejko, niemy i poważny. Sartor zatrzymał się na progu pokoju, trochę w cieniu, z założonemi rękoma, i spoglądał zimno, z ukosa, na zbliżający się pochód.

A hymn już brzmiał jak organy kościelne. Powitalne okrzyki z okien zbliżały się szumem try-

umfálnym, męzkim, ale bez wrzawy niesfornej, bez klaskania w ręce. — I w szerokim pasie światła alei Jerozolimskiej zaświeciły naczelne orły sztandarowe.

— Niech żyje Polska! — zagrzmiął pełną pierś Budzisz, trzęsąc wzniesioną prawicą.

Tysiąc głosów z pobliza, z okien, z ulicy, powtórzyło okrzyk, jakby zebrany tu wierny pułk łączył się w tej chwili z nadciągającą główną siłą narodową.

Odtąd Budzisz zapomniął zupełnie o swem stanowisku osobistem; zapomniął nawet, gdzie się znajduje. Wisiał nad pochodem, przechylony do niego, to znów prostował postać, rzucał dumne hasła, jakby od ziemi ku niebu, witał rodaków, żył ich zapałem, kierował ich zapałem, liczył to morze nieprzejrzane głów odkrytych, upojonych, bratnich.

— Patrzcie, patrzcie, ilu nas jest! — wołał niewiedomo do kogo, przed siebie, w rozdzwonione tryumfem powietrze.

Szli dostojnicy i gmin, mężczyźni i kobiety starzy i młodzi. Szli ławą, a jednak hufcami, z krucyatowym zachwytem, a jednak w szyku najporządniejszym. Sunęli szybko, ale jedno wzniesienie ręki przełożonego nad hufcem obywatela miarkowało tempo marszu i odstępy między oddziałami. Na piersiach stróżów porządku jaśniały małe znaczki narodowe, a były tych dwubarw-

nych gwiazdek takie miryady, że nikt się nie odznaczał w masie wyjątkowem dostojeństwem. Jedna zgodna wola prowadziła zastępy.

— Cuda! cuda!

Nie było czasu na wypatrywanie znajomych. Chorągwie herby i napisy ciągnęły oczy i mgłą je zasłaniały. Trzeba było odrzucać podawane hasła, śpiewać, radować się. Jednak coraz to jakaś twarz przypominała Budziszowi nazwisko. Tu, obok księży w komżach, stąpał poważny Gwiazdowski, jak lew znudzony, siwy. Przy nim — co za niespodziewane towarzystwo! otyły hrabia Szafaniec! A niedaleko znów Demel, ten sam, rewo lucyjny mówca uliczny! A więc wszyscy? wszyscy się połączyli? Niema już stronnictw, walki między braćmi, jest tylko jeden wielki cel wspólnie umiłowany?

Zdaje się, że wszyscy...?? Pan Apolinary poznawał ludzi z miasta i ze wsi, z klubów i warsztatów, z najbardziej wrogich pomiędzy sobą redakcyi pism, mędrców i prostaczków, bogatych i nędzarzy... Nie zauważył tylko Żydów.

Tu, przy drzewcu wielkiego sztandaru wznie siona śmiała głowa... Stanisław Hyc? A jakże! A tuż i Kotulski i Kostka i komitetowy jeden, drugi, trzeci... Kupą idą.

— Niech żyje solidarność! — zawołano z ułicy.

— A niech żyje! — odhuknął pan Apolinary. — Niechże was uścisnę!

Rzucił się z takim impetem ku drzwiom z balkonu do mieszkania, że omal nie przewrócił stojącego tam Sartora.

— Dokąd pan? — zapytał kwaśno mecenas, cofając się.

— Do nich! Idźmy wszyscy.

— Dziękuję za łaskę. Stąd przecie widać, jak z łoży.

— Żegnam pana.

Po chwili już Budzisz był na ulicy. Zanim wmiszał się w szeregi pochodu, spojrzął na balkon, dopiero co opuszczony, wyróżniający się ozębnością od innych, strojnych w kobierce. Nie było już tam Kolejki. W oknie, cofnięty w cień, stał tylko pan Sartor, z założonemi rękoma, w postawie portretowej i sam jeden ozdabiał ramę okienną.

Pan Apolinary trafił na oddział pochodu wyróżniający się z całości niskim wzrostem szeregowców. To dzieci szły pod chorągwią z napisem »Szkola polska«. Chłopaki rezolutne trzymały się ściśle ordynku, a odpowiadały na okrzyki wiwatowe sumiennie z młodych gardzieli, marszcząc z przekonaniem dziecinne twarze.

— Janek by tu między nimi! — pomyślał Budzisz i uściśnął serdecznie pierwszego z brzegu chłopca.

Cofnął się na chodnik i próbował postępować śpieszniej, niż tłum, aby zbliżyć się do czoła pochodu. Zaledwie jednak doszedł do placu Ś-go

Aleksandra, zmiarkował, że pochód ucisza się i staje. Kilka sygnałów niegłośnych rozkazało ten manewr, wykonany punktualnie. Musiał i Budzisz posłuchać. Udało mu się tylko wejść na kilka schodów przy rogu ulicy Książęcej, skąd mógł objąć wzrokiem szerszą widownię.

Od Trzech Krzyżów płynęły dźwięki mowy czyjejs do ludu, ale słów pan Apolinary nie mógł dosłyszeć. A przed pochodem podniosły się dwa niewidziane dotąd sztandary.

Wypłowały na nich amarant i ciemniejsze hafty zdobiły je w powagę osobliwą. Rozwijały się piękniej w powietrzu, jakby doświadczeńsze, pamiętne lotów dawnych. Młode sztandary pochodu skłoniły się przed nimi, cześć im oddając i naczelne odstępując miejsce.

Okrzyk uderzył gromem i rozsypał się powtórnym grzmotem i szemrał długo jeszcze ulewą łkań.

Krzycząc i płacząc przedzierał się Budzisz naprzód, by dotrzeć do czoła pochodu. Zapął jego i postać torowały mu drogę.

— Jeden z naczelnych — mówiono o nim. — Spóźnił się i dobiega.

I dotarł wreszcie pan Apolinary do grupy »swoich ludzi«, a napotkawszy Feliksa Kotulskiego, współzawodnika w akcji politycznej z ubiegłych miesięcy, padł mu w objęcia:

— Panie Feliksie! W dniu tak uroczystym...

Przyjęto go serdecznie i bez wahania. Ktoś mu nawet zaproponował:

— Może zastąpicie Hycy w niesieniu sztandaru? Potem Was znowu zlużujemy.

— Ach, dobrodzieju kochany!

Budzisz ujął mocno drzewiec w garście, podniósł oczy ku górze miłośnie, a gdy postąpił kilka kroków, uczuł się urodzonym chorążym tego znaku. Szedł miarowo, w upojeniu, służąc całym sercem i siłą.

On to był, który trzymał sztandar pod balkonem w alei Ujazdowskiej podczas przemowy Henryka Sienkiewicza. On to pochylił do ukłonu chorągiew przechodząc w pobliżu świątyni Opatrzności. On ją niósł jeszcze na Marszałkowskiej i dopraszał się, aby mu jej nie odbierano pod pozorem zwolnienia od ciężaru. Niósłby ją tak całe życie...

Pochód płynął przez miasto coraz wspanialej, rozrzucawszy sztandary wzdłuż rzeki swej nieprzejrzanej. Hufce nie drgnęły w szyku, ani w odstępkach. Tylko głos pieśni spotężniał, liczniej rozbrzmiewały okrzyki — serca ośmieliły się i urosły aż do chóru niezamąconego żadnym fałszem. Jakby Warszawa musztrowała się przez pokolenia na ten dzień jedyny zgody, zaczerpniętej z czystej krynicy wspólnego umiłowania.

O zmierzchu pan Apolinary powrócił do domu

i ręką drżącą od wzruszeń i wysiłku tak zaczął list do żony:

— Ach! moja Tekluniu...*)

*) Rozdział ten, drukowany osobno w numerach »Tygodniku Ilustrowanym« z dnia 6 i 13 kwietnia r. 1907 wywołał parę wzmianek recenzyjnych, które mi dowiodły, że źle zrozumiano mój pogląd na wspaniałą, w wysokim stylu udatną manifestację pochodu narodowego. Tutaj, w szeregu »Dni politycznych« mam nadzieję być pod tym względem trafniej oceniony. Apolinary Budzisz nie powinien nigdzie, nawet podczas szczytnych wzruszeń pochodu narodowego, zatracić swej indywidualnej odrębności. Kto ciekaw, mego osobistego wrażenia z pochodu, niech porówna Dodatek do niniejszej seryl »Dni politycznych«.

DZIEŃ CZWARTY.

— Cóż nareszcie u licha z tą »burżuazyją« i »burżujami»!

Pan Apolinary, po przeczytaniu dziesięciu nowych pism tragi-humorystycznych, popadł niemal w rozpacz. Od dłuższego już bowiem czasu starał się usilnie odmłodzić swą staroświecką duszę i dostroić ją do wielkich wymagań chwili historycznej, pracował nad sobą i dla kraju, poświęcał co mógł dla ogółu ze swych zasobów umysłowych i materialnych, a w wyniku okazywało się, że niczego nie dopiął, stał na miejscu jak kamień pośród rwącego potoku. Ruszy się czasem, odwróci swą omszałą powierzchnię, ale z falą nie płynie; patrzy tylko z zazdrością na rozhukane, mijające go bałwany, które prąd unosi. Jak przed wybuchem rewolucyi, tak i teraz, był burżujem i pozostał burżujem.

Dzień był ściśle strajkowy, słotny i ponury; o przeniesieniu się dokądkolwiek końmi, o roz-

rywce, o bezpiecznym powrocie w nocy do domu — ani marzyć. Że zaś wypadkowo nie miał też dzisiaj ani wieczu, ani sesyi, pan Apolinary postanowił wieczór przesiedzieć w hotelu i poświęcić zbawiennemu rozmyślaniu nad sytuacją ogólną i nad udoskonaleniem własnych swoich pojęć.

Zasiadł w swym pokoju, który wyglądał już jak skład makulatury. Stosy zadrukowanej bibuły z mebli rozlewały się na posadzkę, napępiały wszystkie kąty. Budzisz namyślał się przez chwilę, co wziąć do ręki: czy nowe pisma jeszcze nie czytane, czy co z ksiąg teoretycznych, czy wreszcie encyklopedyę?

— Nie. Czytać już dzisiaj nie będę.

I zasiadłszy przy stole, ujął głowę w obie dłonie, a wzrok utkwiał w oknie.

Żle. Na ulicy coś się znowu dzieje. Zgiełk, wrzawa, oczy biegną mimowoli za falą wypadków, która tymczasem przewala się ciżbą chałatów manifestujących swe niezadowolenie z ustroju społecznego kraju i świata.

Pan Apolinary odwrócił się od okna, przestał krzesło i spoglądał teraz na ścianę, gdzie wisiała jakaś malowana scenka z owych czasów ohydnych, gdy wypasiona krwią ludu szlachta prowadziła lud na rzeź i na rozbój, zasłaniając mu oczy chorągwianymi znakami, aby nie ujrzał ten lew bojowy szalbierczego wyzysku sił swoich przez klasy uprzywilejowane...

— W imię Ojca i Syna!

Coś zaszeleściło w kacie jednym, drugim... Jakby wyrazy wypęzwały z drukowanej bibuły ku obrazowi na ścianie, sycząc...

Pan Budzisz zapalił wszystkie świece, jakie się znalazły, usiadł znowu i głowę ujął mocniej w dłoń, niby z niej olej chcąc wycisnąć.

— Zastanówmy się.

Przypuśćmy, że się szlachta przeżyła. Ponieważ jednak miała swe zasługi, bo bez niej nie byłibyśmy dzisiaj ani narodem, ani moralną znaczną jeszcze potęgą, więc coś z nią zrobić? Wyrzucić jej niepodobną, ani zmienić jej nazwisko...

Ale dobrze: niema szlachty. Są tylko ludzie mniej więcej niezależni, usposobieni do pracy społecznej, inteligencya przejęta szczerym demokratyzmem.

— Ja na przykład należę do inteligencji — myślał Budzisz — tak samo, jak Gwiazdowski, mąż nauki, i Wilhelm Sartor, mecenas, i doktor Ambaras od chorób wewnętrznych, i Maurycy Rosenduft... Niech i ten będzie. Demokratyzuję się, ile tylko sił i cierpliwości starczy, dobrodziejmo mój. Czy kto jest herbowny, czy nowszej prozaii, czy wcale bez prozaii, ale zasługą własną...

Znowu zasyczały papiery w kacie, a Budzisz wyraźnie zrozumiał:

— Burzuje!

— Tak... to dzisiaj na nic, to wszystko burzuje. Dzisiaj innych trzeba ludzi... ale jakich?

— Zastanówmy się.

Nierówny podział bogactw doprowadził do rozpasania kapitalizmu i do wyczerpania siły robotniczej. Uświadomiony proletaryat podniósł głowę, domaga się o swe prawa, chce być syty i mieć swój udział w rządzie. Ciężką pięścią wali w stary system rządowy...

— No, i ja walę. Walmy razem! W takim ustroju państwowym ani ja się ruszyć nie mogę, ani wy praw swych nie zdobędziecie. Ale, bracia kochani, towarzysze i towarzyszki, rząd przecie czyni ustępstwa... Zamało dla was? Dobrze. Dalej go jeszcze? Bo i dla mnie zamało. Trzeba mi przetłumaczyć na język polski te wszystkie swobody i reformy — inaczej nie rozumiem, jak ja z nich będę korzystał.

Jest więc rewolucja — potężna rewolucja za pomocą strajków i nacisku ekonomicznego. I wszyscy ludzie przyszłości muszą się z nią łączyć, aby osiągnąć przewrót i ulepszenie systemu państwowego. Ma być zatem szeroka konstytucja w całym państwie, szeroka autonomia w Królestwie, a dla dogodzenia żądaniom proletaryatu powszechne, tajne, bezpośrednie głosowanie...

— Tylko, dobrodzieje moi, byle nie tyrania z dołu, byle nie rząd tłum! Gdzież my będziemy, szlachta?... nie... inteligencja?... jeszcze nie... A więc

ludzie czysto ubrani, ze środkami utrzymania i umiejący czytać?

— Burżuje!

Stało najwyraźniej i zgodnie we wszystkich nowych pismach, że żadne inne stany, ani klasy nie są godne zachowania, tylko Lud. Lud roboczy miejski i lud wiejski. I to jeszcze.. zamożniejsi rzemieślnicy po miastach, grubszy gospodarze po wsiach są mocno zarażeni ideą burżuazyjną. Pozostaje więc tylko najjaśniejszy Proletaryat i do niego przyszłość należy.

— A nie! dziękuję za łaskę. Nie mam najmniejszego powołania do proletaryatu. Wolę już być burżujem.

I zaczął pan Apolinary ze szczerą skruchą, z gorącą troskliwością o dobro publiczne, wyszu kiwać sposoby pogodzenia interesów burżuazyj, w której ramach znalazł się znienacka, z interesami nagle uświadomionego proletaryatu.

— Pozwólcie mi choć trochę miejsca w nowym ustroju, towarzysze i towarzyszki. Jestem wam bratem, krwią się waszą nie pasłem. Mam warsztaty otwarte dla wielu rąk, i sam pracuję, nie ręką, to głową. Kilkaset ludzi żyje z produktów wsi mojej, mieszka na mojej ziemi..

— Twojej ziemi?! — posłyszał pożądlivy głos oponentów — ziemia jest niczyja, ziemia należy do wszystkich.

— A fabryka też? a kapitały także? Więc

niema już własności osobistej?? Po tej drodze, dobrodzieje moi, zajdziemy daleko. Pola zalegną odłogiem, fabryki staną, a kapitały ukryją się tak, że ich dyabeł nie odszuka, bo Żyd je schowa. I głodno będzie na świecie. Proletaryatu namnoży się co niemiara. Ja sam wstąpię wtedy do proletaryatu i będę się dopominał o swoją porcję, tylko od kogo? — Na nic ta robota. Poświęćmy każdy, co kto tylko może dla dobra ogółu, wprowadźmy ulepszenie maszyny rządowej, weźmy ją w swoje ręce, — to co innego. Ale teraz i potem idźmy razem do wspólnego celu, nie zaś jedni przeciwko drugim.

Po takim ciężkim namyśle pan Apolinary postanowił solennie zdemokratyzować się do ostatnich krańców, zredukować ad minimum swe instynkty burżuazyjne i zbliżyć się do partii skrajnych w celu porozumienia i wspólnego działania. Gotów był poświęcić swe dziedziczne przywileje, swą inteligencję, pracę, zdrowie... nawet trochę pieniędzy. Gotów był zstąpić do suterenu, do cuchnących warsztatów, objeżdżać kraj konno, jak Piotr Pustelnik; przemawiać na tłumnych wiecach, na ulicy, narażać życie. Poszedłby natychmiast, gdyby tylko wiedział dokąd.

Dość było wyciągnąć rękę, aby natrafić na jakieś zadanie mniej więcej tytaniczne. Wszystko w kraju było do urzędzenia, do zreorganizowania, do stworzenia. Ten i ów chwycił w ręce

»palącą kwestyę«, obnosił ją tu i ówdzie i, spierzyszy się, porzucił.

Pan Apolinary czynił retrospektywny przegląd swej akcyi i przekonał się, że i on już rozpoczął nie jedną robotę. Zmierzało to wszystko do ogólnego dobra, tylko jeszcze do celów swych nie doszło. Zajrzał do specjalnego mebla, gdzie sekretarz jego ułożył akta spraw rozlicznych, które wyglądały razem jak archiwum jakiejś instytucyi krajowej.

— Ach! Stowarzyszenie pracy kulturalnej! — ucieszył się pan Apolinary do jednej zapyłonej okładki. — Ile to człowiek natrząsał sobie kości... Ale co robi Stowarzyszenie? Powinnoby istnieć, skoro niedawno ogarniało kraj cały? Tylko że nie daje żadnego znaku życia... Te papiery do spraw zakończonych.

Zasunął je w kąt, a wziął inne:

— Reforma Stowarzyszenia...? Hm, reforma... Jeżeli Stowarzyszenie zanikło, to jakże je zreformować? — Ad acta.

Trzecia okładka:

— Akcja wyborcza. — To na wierzch. Z tem będzie jeszcze robota.

Czwarta okładka:

— Materyały do założenia dziennika. Nr. 1. Uwagi ogólne.

Była to szczupła plika z paru arkuszy rękopisu, ale miała ciąg dalszy w kilku zwojach wy-

ciników z druków. Zamiar ten zapalał pana Apolinarego miesiące całe, lecz od kilku dni mu zpowszedniał, po rozmowie z Sartorem. Ten już zakłada dziennik niezależny, dążący do skojarzenia stronnictw. Więc cóż? Połączyć się z nim? — Połączyć się — to jest: płacić. On ma wszystko gotowe i ma własną platformę. Płacić i dostać się pod jego komendę? Nie dla mnie, dobrodziejmo mój. Przytem pan Sartor jest zimny, nie posiada szczerzego narodowego zapału. Duch jego jest nawet niewyraźny... Przystąpić do jego roboty, która może i przeciwko nam skierować się? Niepodobieństwo. Mogę ja się krzywić na to i owo u nas, mogę reformować. Ale odłączyć się od ludzi, pośród których sam Bóg mnie postawił? Nie. — Tu trzeba dowcipu, dobrodziejmo mój, żeby i swoich nastraszyć i innym coś obiecywać.

Pan Apolinary nie od dzisiaj już wynalazł taką sobie taktykę, tem skuteczniejszą, że nikt go o nią nie posądzał.

— Tymczasem sprawa mojego dziennika — ad acta.

Gdy to wszystko zostało zamknięte, działacz posmutniał. Trzeba jednak coś zrobić dla ogółu. Bez tego niema nawet osobistego zadowolenia w wieku dojrzałym.

Tu pan Apolinary przypomniatł sobie o jednej dziedzinie, bądź co bądź ogromnej, która nie miała dotąd osobnej teki w jego archiwum. Była

to Oświata. Ta gotowaby i unormować stosunki stronnictw i zapełnić programy różnych stowarzyszeń i rozsiać po kraju pożyteczne pisma. Ta wszędzie i każdemu potrzebna.

Długo namyślał się, szukał w głowie i w sercu intuicji obywatelskiej, aż wpadł na pomysł, który mu się wydał zbawiennym.

— Załóż — szkołę wyższą umiejętności politycznych.

Istotnie. Umiejętności polityczne, chociaż rozkrzewiły się z żywiołową bujnością po ziemi naszej, nie mają pod sobą gruntu odpowiednio przygotowanego w zawodowym wykształceniu działaczy. Sam pan Apolinary czuł, że zaledwie teraz dojrzewa. Intuicja obywatelska — cenna to dźwignia, ale w wielu wypadkach nie wystarcza. Znajomość prawa i historii — ekonomia polityczna — statystyka — znajomość języków wschodnich i zachodnich...

Tak snując z siebie logiczną przędzę wywodów, omotywał ją na kijku swego pomysłu, aż pomysł stał się pękatem wrzecionem, zadaniem godnem męża i prelekcyą godną uszu grona ludzi, które Budzisz postanowił zwołać dla narady nad tą palącą kwestyą.

Sprawa tak bardzo ogół obchodząca wymagała porozumienia wszystkich stronnictw. Więc i cel skojarzenia mógłby być w tym wypadku

dopięty! Co to jest jednak wziąć się za wielką sprawę! — wszystkie inne w niej się mieszczą.

Kogo tedy zaprosić? Trzeba dobrać grono wybitnych, a rozmaicie zabarwionych ludzi, niby mozaikę z drogich kamieni w proporcjach i odcieniach stosownych do ułożenia obrazu »szkoły umiejętności politycznych«. Potrzeba także bezpartyjnego cementu, zwanego niegdyś miłością ojczyzny, obecnie zaś pogodzeniem interesów partyjnych. Po co zresztą bawić się w porównania? Potrzeba ludzi.

Zaprośi się najprzód swoich, oczywiście. Bez ich udziału akcja byłaby poniekąd spiskiem; a zresztą z kim-że, miły Boże, iść ręką w rękę, jeżeli nie z nimi?

Na patrona obrad najodpowiedniejszy byłby, po dawnemu, Joachim Sternstein - Gwiazdowski. Ale złapać go tymi dniami — czy to możliwe? Zwołuje ciągle ogromne zebrania; jest przynajmniej podpisany na kartach zapraszających. Możeby raz obejść się bez niego, dla oryginalności? Żeby na przykład bezpartyjnych przedstawiał pan Jan Rokszycki?

Ze stronnictw spokojnych znajdzie się łatwo kilku ruchliwszych hrabiów. Z postępowców oczywiście zaprosić należy panów Sartora i Kolejkę. Najtrudniej o autentyczny egzemplarz, choć jeden, Polaka socyalisty.

— Demel...? Za młody i agitator. Tu potrzeba jakiejś firmowej powagi.

Ale powagi, które znał Budzisz, trudniły się tylko tłumaczeniem dzieł socjalistycznych z języków obcych i pisanem proklamacyi.

Do skutecznej narady międzypartyjnej pożądanym był też mąż parlamentarny, któryby przemawiał ogólnie przyjętą gamą wyrazów, nie obrażając przeciwników. O takim polskim socjaliście Budzisz zgoła już nie słyszał. Obrońcy praw proletariatu w mowach i pismach używali wyłącznie metody bombardowania.

Po długim namyśle nad wyborem przedstawiciela partii skrajnych, działacz nasz zdecydował się nareszcie poprosić pana Sartora o rekomendowanie odpowiedniej osobistości. Pan Sartor musi przecie znać dokładnie stronnictwo, do którego ma ciągłe interesy.

Lekkie pukanie do drzwi zamkniętych przerwało pracę umysłową pana Apolinarego. Nie odpowiedział zrazu i namyślał się, czy otworzyć. Wieczór późny, czasy niespokojne — może jacyś zbieracze na cele partyjne? Jednak, gdy zapukano powtórnie, miękko i dyskretnie, Budzisz pomyślał, że może niewiasta... i głosem na wszelki wypadek groźnym zapytał:

— Kto tam?

— Dobrzy znajomi: Heydenstein i Szafraniec.

Poznając głos i dynstyngowany akcent hrabiego Adama Szafranca, pan Apolinary otworzył.

— A! moje uszanowanie. Bardzo proszę. Nie boicie się panowie tak późno po ulicy? Bardzo proszę.

— Do Bristolu tak niedaleko. Mamy zresztą karetę w podwórzu — odrzekł hrabia Heydenstein, zwiędłym uśmiechem odsłaniając żółte zęby wśród krótko strzyżonego siwego zarostu.

— To hrabia w Bristolu mieszka, nie u siebie?

— Przenieśliśmy się z Adamem do hotelu, bo w naszej dzielnicy trochę smutno.

Uśmiechnął się znowu, dobrotliwie i kwaśno, jak człowiek chory. Szafraniec zaś opuścił poważnie ciężar swej osoby na fotel ceratowy i milcząc ustalił w pozycji profil swój, piękny jeszcze i młody, ocalony z otłuszczenia całej postaci.

Odwiedziny słynnego bogacza w towarzystwie mniej bogatego, ale za to filarowego pod każdym względem hrabiego Heydensteina, nie mogły być bez kozery. Budzisz poczuł, jak ubiegłego lata na wsi, że kraj go powołuje do usług. Z innej tylko strony. Kraj nasz jest pełen wołań rozlicznych.

— Pan zapewne należy do organizatorów zebrania u Gwiazdowskiego, pojutrze? — zapytał Heydenstein.

Budzisz był na to zebranie zaproszony, ale o programie mgliste miał pojęcie, gdyż, jako wolnomysłny i niedawny jeszcze malkontent, ostro-

źnie tylko bywał o poufnych sprawach powiadomiany. Ale nie wypadało się do tego przyznawać, więc odpowiedział:

— Należę... Może panowie pozwolą herbaty? Mam i wiejską wędlinkę.

Podczas gdy dzwonił na pokojowego i zajmował się urządzeniem przyjęcia, namyślał się pośpiesznie nad rolą do odegrania i, z nabytego już doświadczenia, uznał za najstosowniejszą postawę zamaskowanego augura.

— Cóż pan tedy sądzi o deputacyi? — zagadnął znowu Heydenstein.

— O deputacyi?... hm... trzeba jej dać instrukcję.

— Właśnie — odezwał się magistralnie Szafraniec.

— A czy instrukcja jest już przez was zaprojektowana?

— Tak i nie... Może hrabia skosztuje półgęska?

— Uprzejmie dziękuję. Bardzo smacznie wygląda, ale ja na noc boję się.

Szafraniec owszem nie odmówił półgęska.

Pan Apolinary wiedział, że trzeba jednak przyjąć gości czym innem, niż wędliną wiejską, nasyć ich polityczną ciekawość.

— Zdania są podzielone. Według mnie, cel deputacyi powinien być jasno wytknięty, ale trzeba

jej pozostawić i pewną swobodę co do wyboru środków działania.

— Więc jednak jest pan za »mandat impé-
ratif«?

Pan Apolinary zachłysnął się i pomyślał:

— Do licha, wypada odpowiedzieć.

Ale się wysliznął:

— To jest pojęcie względne. Trzeba najprzód ustalić platformę. W tym celu się zbieramy.

Heydenstein spojrział z niedowierzaniem na Budzisz. Czyżby on był postępowcem? Czy zachowuje jakąś tajemnicę? Czy może nic nie wie? W każdym razie udało się panu Apolinaremu zaciekawić gościa.

Tu odezwał się Szafraniec bez ogródki:

— A ta deputacya będzie z wyborów?

— Naturalnie — odparł Budzisz, przypierany do muru. — Uchwalimy najprzód, czy ma być...

— Ach tak! Więc nie rozstrzygnęliście jeszcze tej kwestyi?

— Zasadniczo jest rozstrzygnięta w Komitecie. Ale trzeba, żeby zebranie ją uchwaliło.

Tu Heydenstein nie zrozumiał i przybrał postać słodko dopominającą się o wyjaśnienie.

Ale Budzisz wpadł już na trop taktyki, która będzie zastosowana prawdopodobnie na zebraniu u Gwiazdowskiego. Znał dość dokładnie »swoich ludzi«, aby przewidzieć trafnie. I perorował, natchniony duchem proroczym:

— W pilnych potrzebach kraju stosować trzeba metodę prowadzącą prosto do celu. Deputacya postanowiona jest w zasadzie, może nawet naszkicowana co do osobistego składu, choć niezupełnie. Trzeba zebranie przekonać — mówcy są przygotowani. A potem głosować będziemy, czy tak, czy nie. To jest skrócona metoda wyborcza, jedyna możliwa w naglących okolicznościach.

Odsapnął. Będzie tak — to dobrze. A jeżeli inaczej, to się powie, że w ostatniej chwili zmieniono decyzję. Ale zapewne tak będzie.

— To pan zna może listę kandydatów do tej deputacyi? — zapytał Szafraniec.

Budzisz rozkrzyżował ręce:

— Darujcie panowie, ale...

— Oczywiście... sprawa komitetowa, wewnętrzna.

Pan Apolinary rad był z siebie. Tak stawia się kwestyę, aby zająć słuchacza a nic mu nie odsłonić z wielkich tajemnic.

Obaj goście nabrali ożywienia, jakby się upili herbatą. Szafraniec nawet uśmiechnął się i twarz mu zastygła w tym przychylnym dla Budzisa uśmiechu.

— Przyszliśmy właśnie oświadczyć panu, jako jednemu z organizatorów, że my w tym wypadku głosować będziemy solidarnie z wami — rzekł Heydenstein uroczyście, niby dając coś bardzo cennego.

— Ja także gotów jestem do usług — rzekł Szafraniec.

— Nie omieszkam powtórzyć tego mym przyjaciółom politycznym — odparł Budzisz ceremonialnie.

Bardzo byli podobni do pełnomocnych ministrów traktujących między sobą potencyi.

Zamilkli na chwilę. Każdy z nich o czemś marzył. Heydenstein pochylił się i kiwał głową; Szafraniec owszem głowę zadarł i patrzył, pozornie bezmyślnie, na obrazek żołnierski wypadający mu w kierunku nosa; Budzisz przygryzał wąsa. Wszyscy trzej gdzieś pojechali wyobraźnią. Okazało się niebawem dokąd, gdy przemówił Szafraniec:

— W Petersburgu niezupełnie teraz bezpiecznie, ale skoro zachodzi pilna potrzeba — trudno...

— Ja znam hrabiego Wittego oddawna — rekomendował się Heydenstein. — Nawet bardzo był na mnie łaskaw.

— O, i ja także go znam. W ministerium finansów miewałem z nim do czynienia.

— Ty młody jesteś, Adamie. Ja z nim miałem jeszcze w sprawach kolejowych.

Teraz Budzisz zrozumiał dokładnie zamiary swych gości. Zrozumiał zarazem, że o deputacyi tak samo jak on, nic nie wiedzą, a w dodatku że jego, Budzisz, mają za coś w rodzaju członka

rządu tymczasowego. Z tych spostrzeżeń postanowił urządzić sobie polityczną zabawę. Coraz bardziej tajemniczą przybierał na się postać.

— Jak już rzekłem, lista kandydatów nie jest ani ustalona, ani zamknięta. Z obozu panów mówiono dużo o księdzu Łupinie i o młodym księciu Koryatowiczu. Ale jest jeszcze przynajmniej trzecie miejsce.

— Tak, ksiądz Łupina jest ze wszech miar kapłanem i obywatelem — rzekł Heydenstein stanowczo, ale kwaśno.

— Ależ on nie zna nikogo w Petersburgu — zawołał Szafraniec z niezwykłym ożywieniem. — Lepszy już Koryatowicz, bo jest szambelanem.

— Daruj, Adamie, że będę wręcz przeciwnego zdania. Koryatowicz przecież czterech klas nie skończył.

— E, mój drogi, w karyerze dworskiej...

— Nie, Adamie. Tu nie o karyerę chodzi, tylko o przedstawicielstwo narodu, o deputację. A deputacja może przecie być zmuszona do fachowej dyskusji z ministrami. Dobra jest z nimi znajomość uprzednia, nie przeczę, ale potrzeba i czegoś więcej. Nieprawdaż, panie Budzisz?

Pan Apolinary przypomniawszy sobie w tej chwili swój plan »szkoły umiejętności politycznych«, i że ma pod ręką dwa wyborne numery do zaproszenia na sesję: ogromnie bogatego Szafranca i bardzo uczonego Heydensteina, doktora

podobno aż trzech fakultetów. Założył więc nogę na nogę i odpowiedział płynnie, czerpiąc wątek ze swych uprzednich rozmyślań:

— Nie ulega wątpliwości, dobrodzieje moi, że do akcji politycznej trzeba gruntownego przygotowania. Intuicya obywatelska, patryotyzm — wielkie to dźwignie, ale umiejętności polityczne, chociaż rozkrzewiły się żywiołowo po kraju naszym, nie mają dostatecznego gruntu w fachowem wykształceniu działaczy.

— Co on gada? — pomyślał Szafraniec, a wyraził tę myśl przez powolne zwrócenie karku i wielkich, błękitnych oczu pytających do przyjaciela, z którym przyszedł.

Ale Heydenstein był mocny w teorii i nie uląkł się rozprawy akademickiej z panem Apolinarym. Skinął nieznacznie drobną ręką na Szafranca, jakby dla uspokojenia go: już ja mu powiem.

— Ma pan słuszność. Wykształcenie nasze jest przypadkowe i niedostateczne. Szkoły tak były liche, życie tak zacieśnione i niedostępne, że dla umysłów ciekawszych pozostawała tylko samopomoc naukowa. I tej szukaliśmy przeważnie zagranicą, albo w osobistych studyach, albo w doświadczeniu, ciężko nabywanem. A przecie do szerszej polityki, która się przed nami otwiera, potrzebna jest gruntowna znajomość historyi...

— Prawa — wtrącił z ożywieniem pan Apolinary.

— Ekonomii politycznej...

— Statystyki.

— Ach statystyki! — westchnął pól boleśnie, pól rozkosznie Heydenstein — któż zebrał więcej danych odemnie?!

— Mój kuzyn zebrał nadzwyczajne statystyki w kwestyach agrarnych — potwierdził z przekonaniem Szafraniec.

— Daj pokój, Adamie. To tylko nawias. Jednem słowem wykształcenie uniwersyteckie specjalne niezbędne jest każdemu, kto zamierza obecnie wpływać na przekształcenie państwa, być po-
słem, prawodawcą i t. p.

— Ja w tej materii miałbym do przedstawienia panom dość ważny projekt — rzekł Budzisz i najeżył wąsy.

— Aa?

— Nie pora dzisiaj jeszcze mówić o tem. Ale czy mogę upewnić się o udziale obu panów w naradzie, na którą wkrótce zaproszę?

— I owszem, z przyjemnością.

— Jam zawsze gotów.

Po pauzie zapytał Heydenstein Budzisz:

— Czy pan studyował w kraju?

— Jestem wychowancem Szkoły Głównej... to jest już na schyłku. Ale zawsze tutaj, tak tutaj, hrabio dobrodzieju.

Po krótkiej znowu przerwie Heydenstein zmienił rozmowę. Rozpromienił się, o ile mógł, na swej zmęczonej, pobożnej twarzy i zawołał, załamując ręce:

— Jak się to żyje teraz! Ile projektów, ile nadziei!

— Co to nadziei? Fakta przychodzą historyczne, fakta — odparł Budzisz.

— No, fakta...? Dopiero zapowiedzi.

— Mają w tych dniach ogłosić naszą autonomię.

— Oj, panie Budzisz!

— Masz pan Finlandyę!

— Z Finlandyą łatwiejsza sprawa. Autonomia nasza to przełom całego systemu biurokratycznego.

— A niech go wszyscy dyabli!

— Życzę również, ale nie widzę, jakim sposobem to się stanie?

— Jest przecie rewolucya.

— Socyalna. Czy pan się z nią chce łączyć?

— O ile obala istniejący rząd, jest naszym sprzymierzeńcem.

— Rządu nie trzeba obalać, trzeba go przekształcić.

— Nie pora już na to, panie hrabio.

Heydenstein poczuł dreszczyk, przebiegający mu przez zmęczony organizm. Niepokój udzielił się w innej formie Szafrąncowi:

— Żeby to już raz powrócił spokój i rozwój normalny społeczeństwa — rzekł, przeciągając otłuszczone ramiona.

— Tak, spokój — dodał melancholicznie Heydenstein. — Dobrej nocy, panie Budzisz.

— Dobrego jutra — odparł pan Apolinary z pewną ironią i wyższością, czuł się bowiem rzeźkim i zdrowym jak salamandra w tych płomiennych czasach.

DZIEŃ PIĄTY:

Był ranek. Ogniste strzały Feba przeszły już firmament i utkwiły zapewne w szczytach wież warszawskich, ale obudzony mieszkaniec musiał to przyjmować na wiarę, bo oczyma spostrzegął tylko, że ciemna opończa mroku przeświecać zaczęła brudno-żółto.

Ranek nie przynosił z sobą radości dnia, trochę tylko uspokojenia piekielnej wrzawy na ulicach; zato odsłaniał zabłocone bruki, zgniłe plamy murów i coś u góry mętnego, lejącego łyż żałosne. Było to niebo.

Bardzo trudno zdobyć się na poetyczność, opisując Warszawę w listopadzie, zwłaszcza, gdy się dzionek uda, gdy dopisze i deszcz i strajk i porządek robót publicznych miejskich. W tym pamiętnym listopadzie poezya, opuściwszy swe zwykłe dziedziny, wyniósłszy się nawet z drukarni, bujnym kwieciem zakwitła w polityce. Stąd właśnie staram się poezję wycisnąć, skropić

i, rzekłbym, zbutelkować w drobne flaszcзки mej kroniki. Niech chociaż zapach pozostanie. Flaszki, ustawione rzędem, posłużyć mogą jednym za pamiętkę, innym za apteczkę domową.

Ale co porabia pan Apolinary? Zdrow i wyjątkowo wesół, choć poranek dżdżysty, choć komnata hotelowa z oknami wychodzącymi na podwórze jest zaledwie przesiąknięta światłem, a za nadto dymem i jakimś mdłym zapachem, w którym jednak i perfumy mają swój udział. — Pan Apolinary przy kawie, w stroju niedbałym, spoczywa na laurach i to nie na ładajakich. Dla swojej »palącej kwestyi« pozyskał pana Jana Rokszyckiego, sąsiada i przyjaciela, z którym dotychczas nie udało mu się w polityce nigdy kolegować. Pan Jan majstrował zawsze po swojemu, do żadnego stronnictwa nie należał, i do licznych już podnoszonych przez Budziszę kwestyi jak zaczął dodawać swe krytyczne uwagi... Ale co tam. Tym razem nietylko pochwalił projekt sąsiada, nietylko poparł go, ale sam przewodniczył wczorajszemu posiedzeniu, odprawionemu u Budziszę z wynikiem olśniewającym. »Szkoła umiejętności politycznych« przekształcona została wprawdzie na »seminarium nauczycieli ludowych«, gdyż pan Apolinary udał się przezornie ze swym pomysłem najprzód do Rokszyckiego, który projekt zreformował, chociaż autorstwo i inicjatywę pozostawił w zupełności przy Budziszu. Na wczoraj-

szem posiedzeniu uchwalono nową instytucję powołać do życia, obsypano już ją nawet darami w formie oczywiście podpisów. Budzisz wypowiedział świetną mowę, przejrzaną uprzednio przez Rokszyckiego, zapalił słuchaczy, przekonał i skojarzył. A byli tam przedstawiciele wszystkich stronnictw, nawet polski socyalista w okazy pojedynczym, przyprowadzony uprzejmie przez pana Sartora. Obrady trwały trzy godziny, szły składowanie pod kierunkiem pana Jana, który sam także głos zabierał kilka razy, krótko i celowo. Odroczone je na dzisiaj, na drugą popołudniu, bo wieczorem mieli znów wszyscy wziąć udział w wielkiem zebraniu u Gwiazdowskiego, zapowiadającym moment historyczny.

Pan Apolinary, pijąc kawę, czuł ciepło wewnętrzne nietylko fizyczne. Miał przeświadczenie, że się do czegoś naprawdę pożytecznego przyłożył i, rzecz dziwna, ta świadomość uczyniła go raczej cichym, niż pysznym. Przyczyną rozrzwienia była i aprobacya pana Jana i mieszkanie z nim wspólne od paru dni, gdyż sąsiedzi wiejscy sąsiedowali teraz w hotelu, o ścianę.

— Trzeba zajrzeć do niego, czy już wstał?

Uchylił drzwi ostrożnie, aby go nie zbudzić.

— A to co? już ubrany? już pieszsz?

Rokszycki siedział przy biurku oświetlonym dwoma świecami, których płomień dogasający walczył z mętną światłością dzienną.

— Na Boga, Janie dobrodziej, oczy zedrzesz do reszty!

— Przywykłem. Na wsi wstaję także o szóstej, więc w tej porze roku przy świecy... A chciałem zawczasu ten wniosek Sartora przetrutynować, bo jest bardzo zawiły.

Pan Apolinary ujął przyjaciela pod ramię i przemocą pociągnął do swego pokoju.

— Dosyć już. Chodź na kawę.

— Poczekaj, zaraz... Zresztą niech i tak będzie, mój serdeczny. Powrócę.

Choć już zasiedli przy kawie, pan Jan nie przestał zajmować się sprawą, do której przylgnął. Oczy mu świeciły wesoło, choć ukazały się łzawe i zmęczone po zdjęciu okularów. I do Apolinarego zwracał się dzisiaj z nowem zupełnie zaufaniem, tłumacząc się przed nim szeroko, czego nigdy dawniej nie bywało.

— A no, zadałeś mi sam robotę, a teraz mnie odciągasz... Ten wniosek Sartora niezły, tylko chciałbym go bardziej dostosować do naszego... do twojego założenia. Sartor ciągle jakby schlebiał temu swemu towarzyszkowi, którego przyprowadził. Jak to on się nazywa?

— Maro. Ale to pseudonim.

— A co dalej?

— No przecie... socyalista.

— To wiem. Ale czy wyklada gdzie socyologię? czy urządzał szkołę z programem podobnym

do naszej? czy ta szkoła gdzie kwitnie? Dlaczego przypisujecie taką doniosłość jego zdaniu?

Pan Apolinary wzniesieniem obu dłoni wyraził wątpliwość:

— To wszystko na odpowiedzialność Sartora.

— Hm... więc pan Maro jest przewodcą jednej z partii socjalistycznych? Której?

Budisz wykonał jeszcze parę ruchów niewyraźnych, i nareszcie schował szyję w ramiona, jakby abdykował z okazałości swej postawy wobec pana Jana.

— Nie wiem, dobrodzieju mój.

— To szkoda, mój serdeczny.

— Mówiono mi tam coś, że nie może pod swoim nazwiskiem... że należy do międzynarodowej organizacyi, ale przytem jest Polakiem, jak zresztą i po wymowie sądzić można.

— Mówi istotnie do rzeczy, to jest — do swojej rzeczy. Teorya bardzo znana, nie posiadająca dla nas wielkiej wartości w obecnem zastosowaniu. Tymczasem pojęcia: Polak i międzynarodowy socyalista — wyłączają się nawzajem.

— Tak sądzisz?

— Jestem przekonany. Teorya socyalistyczna może się stać zdrowym zaczynem tylko w społeczeństwach silnych, zagospodarowanych i normalnie rozwiniętych. W takich socyalizm może być kiedyś normą sprawiedliwego ustosunkowania praw pracy do praw kapitału. Bronić wtedy będzie,

obok praw robotnika rękodzielного i praw inteligencji wytwórczej, i nawet praw kapitału w wartościach i gotówce, bez którego nie mogłaby istnieć ani praca zbiorowa, ani kultura. O takim wzniosłym socyalizmie, o takiej sprawiedliwości społecznej nie marzą nawet nasi rzecznicy proletaryatu, którzy z teorii biorą tylko tyle, ile potrzeba do rozbudzenia apetytu klas istotnie upośledzonych, czasem przez winę własną, czasem przez wyzysk klas innych. Z rozbudzenia apetytów rodzi się tylko nienawiść, a nienawiść nie może być cementem społecznym.

— Chciałem im to powiedzieć — zawołał Apolinary — kiedy mi prawili z mównicy o uprawnieniu nienawiści!

— Nie warto teraz, nie przekonasz ich, mój serdeczny. Wszyscy mamy gorączkę. Ale skończę mój wywód. U nas teoria wielkiego socjalizmu, tego, który kiedyś może zakwitnie, jest oczywiście jeszcze bardziej przedwczesna, niż gdziekolwiek. Tak jakbyś bał chciał urządzić w zrujnowanym domu. My przedewszystkiem musimy dom przebudować i wzmocnić. Ale zato im słabsi jesteśmy, tem szersze pole u nas otwarte dla lekkomyślnej propagandy pseudo-socyalistycznej, podjętej niby w imię praw ludu, a w wynikach przeciwko całemu społeczeństwu i przeciwko temuż ludowi zwróconej. Na naszym chorym organizmie urządzają socyalistyczni podżegacze popro-

stu eksperymenty swych hipotez. Jakby też działało elektryzowanie na człowieka zakutego w dyby, który drgnąć nie może? Albo czy przez odcięcie ręki i natarcie rany nowym jakimś kordyatem nie możnaby wywołać odrośnięcia innej, lepszej ręki? To pouczające dla przyszłych zastosowań, ale nam napewno na zdrowie nie wyjdzie.

Pan Apolinary aż się wzdrygnął od wymienionych tortur.

— Ależ gadasz, dobrodzieju mój...

— Co?... — uśmiechnął się pan Jan. — Gadam niepotrzebnie, bo oni mnie ani słyszą, ani chcieliby słuchać.

— Dobrze jednak i mnie.. — zaczął pan Apolinary, ale urwał.

— Tak, mój serdeczny, z dzisiejszymi naszymi czy nie naszymi socyalistami do ładu nie trafisz, nie namówisz ich do wspólnej z nami narodowej roboty.

— Tymczasem dobrze, że mieli przedstawiciela na sesyi — odpowiedział Apolinary.

— A dobrze. Najprzód obrady nasze, jak i zamiary, są zupełnie jawne. A ten pan Maro, któremu nie chcę ubliżyć, choć się i nie połączy z nami w tej robocie, może przecie oceni naszą szczerą chęć służenia krajowi i nie zechce nam przeszkadzać.

— A co myślisz o panu Sartorze?

— O panu Sartorze?... Zamało go znam je-

szcze. Ale przyznam się, że wolę mieć do czynienia, przy robocie, z ludźmi mniej tajemniczych przekonań politycznych.

* * *

Dzień czasem zabłyśnie dobrą wróżbą, a później posępnieje. Ten nie zmienił się tylko co do pogody: od rana do nocy smagał deszcz nieubłagany. W historii zaś naszej listopadowej dzień ten przeskakiwał od jasności do cieniów, od zwątpień do zachwyty, jak rzadko który.

Około ósmej wieczorem widzimy Rokszyckiego i Budzisa zapakowanych pod szczupłą budą ohydnej jednokonki, dążących odważnie do mieszkania Gwiazdowskiego. Dodać trzeba, że odważnie — bo już dwa razy dorożkę zatrzymali młodzieńcy, strzegący porządku strajkowego. Ale nieustraszony woźnica raz uratował się szybkością, drugi raz wymową. Z milicją »Bundu« rozmówił się tak stanowczo właściwym żargonem, że mu dano prawo kursu w krótkiej formule: »Gaj, gaj!«

Dwaj sąsiedzi śpieszyli z powtórnych obrad w hotelu Saskim na wielkie zebranie u Gwiazdowskiego. Byli już opóźnieni. A także pogoda wewnętrzna, którą nosili w sobie przed południem, przyćmiła się pod wieczór wielu chmurami. Zwłaszcza pan Jan wyrażał swe niezadowolenie z popołudniowej sesji:

— Jakżeż to? Wczoraj i Sartor i Kolejko i nawet Maro uznawali potrzebę seminarium, a dzisiaj cofają się...

— Widać, że ich tam komitety niechętnie na to patrzą — odrzekł pan Apolinary bez werwy.

— To jest właśnie curiosum! Cóż to? zakonnicy czy małoletni? Poszli pytać o pozwolenie przeora czy rodziców? Naradzaliśmy się w gronie obywateli tego kraju nad sprawą publiczną tutejszą, jednogłośnie uznaną za dobrą. Ludzie przecie poza swem stronnictwem muszą pozostać ludźmi pełnoletnimi i zdolnymi dobrych uczynków.

— Dusi ich solidarność — wtrącił Budzisz pojednawczo.

— Dobrze mówisz, że dusi, bo jest ciasna, stronnicza. O innej wielkiej solidarności narodowej, wynikającej ze szczerego umiłowania wspólnego celu, mało kto myśli.

— Pozostaliśmy jeszcze przy projekcie w poważnej liczbie.

— Bóg wie, jak to będzie. Bo i twoi przyjaciele coś zaczynają brózdzić. Skąd-że nagle Kotulski objawił nam dzisiaj o istnieniu u nich komisyi, która już dawno pracuje nad tą sprawą?

— Et, wierz mu tam! — nadąsał się pan Apolinary — on wszystko niby wynalazł najpierwszy, tylko ma tyle do roboty, że nic jeszcze nie zrobił.

— Ładnie go zachwalasz... No, a dlaczegoż Kostka wyniósł się przed uchwałą?

— Może miał inne jeszcze posiedzenie? On ich ma czasem pięć na dzień.

— I tak chodzi ciągle...?

— Płaci — odrzekł Budzisz z przekonaniem.

— Aha — zrozumiał Rokszycki.

Wykolejony przez wiatr natrysk zimnego deszczu zawieruszył się pod budę dorożki i lunął w oczy naszym politykom. — Kurs, który przebywali, trwałby w Wiedniu pięć minut, w Paryżu ośm, w Warszawie przybierał rozmiary podróży. Nareszcie oślepieni od deszczu oczyma wyjrzał Apolinary z pod budy i odgadł, że musi to być dom, w którym mieszka Gwiazdowski, zwłaszczcza że wehikuł osłabł w swem kołysaniu się na wszystkie boki i przechodził stopniowo do stanu spokoju, jak łódź, która zawinęła już do przystani, lecz chwiać się nie przestaje na fali. Ciasną szczeliną między kozłem, a ociekającą ramą budy podróżni skurczeni we dwoje, przechyleni kontorsyjnie, przytrzymując mozolnie kapelusze na głowach, zdołali się nareszcie wydobyć na chodnik.

— Ależ te nasze dorożki! — mruknął pan Jan, który jednak nie należał do egzotycznych krytyków naszych osobliwości narodowych.

Gdy weszli, zastali obrady już rozpoczęte w liczmem gronie dostojnych osób. Ktoś jednak

zauważył zjawienie się Rokszyckiego i wniósł, aby go zaprosić do stołu prezydyjalnego.

— Prosimy! prosimy! — odezwały się liczne głosy.

I pan Jan, pochyliwszy kilka razy swój czub siwy, przebrnął jak mógł najprędzej przez tłum obywateli i zasiadł między starszyzną, obok Joachima Sternstein-Gwiazdowskiego, który, czując się znużonym, prowadził obrady przez prokurenta, pana Hugona Mochnaczyńskiego, męża wielkiej biegłości politycznej, świeżo przybyłego z zagranicy. Tym sposobem Budzisz został odcięty od Rokszyckiego i, poszukawszy miejsca, usiadł w centrum, zbliżony trochę do lewicy.

Są takie dni, w których muza Klio ukazuje się widomie w oparach ponad głowami tłumów lub sejmów i dyktuje im samowładnie swe pomysły do dziejów, mniej bacząc na indywidualne programy. Wtedy ci, którym się zdaje, że tworzą dzieje, wynajdują tylko hypnotycznie kierunki i porywy pod przemożnem natchnieniem zbliżonej muzy, nieubłaganej, lub szyderczej.

Podobny wypadek opisał Krasicki w Monachomachii, gdy zebrali się na radę dygnitarze klaszorni:

...»Jak Tatry przed burzą
»Stawą zagrzone łysiny się kurzą«.

W tych oparach ukazuje nam poeta »jędzę

Niezgody», porywającą umysły do waśni. Nie kto inny to był, tylko Klio, która taką przybrała na się postać. W innych wypadkach muza historii może dobroczynnym powiewem demokratycznym zespolić różnice indywidualne zgromadzonych i stać się — jędzą Zgody.

Taka chwila dziejowa zawisła nad zebranymi u Gwiazdowskiego mężami. Przewodniczyła tam Klio, chociaż prezydium oddano Joachimowi *Gwiazdowskiemu*, a Hugon *Mochnaczyński* pełnił jego obowiązki.

Oprócz wymienionych siedzą przy stole prezydealnym panowie: Adam hrabia *Szafraniec*, z powołania milioner, Antoni hrabia *Kostka*, z powołania reprezentant, inżynier *Tropauer*, czarny charakter z lewicy, Bernard *Betkier*, fabrykant mydła, Jan *Rokszyci*, nadetatowy, Kleofas *Budzisz*, radca Tow. Kred. Ziemskiego, krewny Apolinarego, i Feliks *Kotulski*, sekretarz.

W izbie są poszlaki skrajnej prawicy i skrajnej lewicy. Najwyraźniej jednak i najliczniej rysuje się centrum, nie co do przekonań politycznych, ale co do gatunku ludzi, należących przeważnie do »złotego środka«. — Kilku »dzikich«, fronderów, teoretyków, o których nikt na pewno powiedzieć nie może, czego chcą dla kraju. Z zaproszonych dziesięciu Żydów pięciu tylko przyszło, ogromnie polskich; grawitują ku lewicy, szczególnie jednak ku sobie nawzajem. — Na lewicy

stoi z założonemi rękami Sartor, który obrał sobie miejsce pod portretem jakiegoś polskiego wojownika; równy mu rycerską fantazją, odróżnia się od niego nowożytnością. — Na skrajnej prawicy obok hrabiego Heydensteina i księdza Łupiny grupują się przedstawiciele »partyi spokoju«, rozgrzani aż do czerwoności. Zresztą różnorodność działaczy i temperamentów politycznych nie do opisania.

Po krótkiem zagajeniu pana *Gwiazdowskiego*, w którym bardzo podziwiano, obok lwiej głowy uczonego, słowa: »Zgoda to moc, a moc to czyn«, zabrał głos pan *Mochmaczyński*.

Biegły mówca dowiódł, że cel zebrania jest wyraźnie wytknięty przez zgodne pragnienia grup politycznych, prasy, inteligencji i całego narodu. Wszyscy, jak mniema, są przekonani o konieczności deputacyi do Petersburga. W obecnym wichrze nadeń i restytucyi deputacya zdoła skierować na naszą korzyść prądy dobrych chęci rządu. Chwila jest upatrzona. Informacje zebrane przez ludzi naszych, specyjalnie wywiadem tym zajętych, brzmią zgodnie pod tym względem. Oto są depesze potwierdzające, a czekamy jeszcze na jedną, stanowczą. Nadto oczekiwany jest lada chwila przyjazd profesora Łokietka, który z Petersburga przyniesie najnowsze wiadomości u wszelkich źródeł władz zaczerpnięte.

Pan Feliks *Kotulski* przeczytał zebranym wspo-

mniane przez poprzedniego mówcę depesze zachęcające, dodając do każdej wymowny komentarz, w którego świetle słowa zwyczajne i nazwiska zagadkowe nabierały tajemniczej doniosłości. Były i depesze zagraniczne, otrzymane drogą dyplomacyi międzynarodowej, świadczące o żywym udziale państw obcych w sprawach naszych, szczególnie zaś Anglii, trzymającej na uwięzi wrogie nam zakusy pruskie. Były i depesze urzędowe od sejmów nam pokrewnych. Był olśniewający zbieg pomyslnych dla nas obrotów, wróżb i widoków. Zdarzyło się zaś, że i owa depesza stanowcza, na którą czekał pan Mochnaczyński, przysłała właśnie podczas sesyi. Poślaniec kurzem odziany wręczył ją w stosownej chwili panu Kotulskiemu.

Konieczność wysłania deputacyi do Petersburga okazywała się ze wszech miar nieodzowną. Tryskała też z oczu i z serc całego niemal zgromadzenia.

Ale pan *Sartor* zaoponował, twierdząc że »my« nie powinniśmy prosić upadającego rządu, ale domagać się nasycenia potrzeb naszych. My nie sprzymierzamy się z rządem, ale z tą częścią społeczeństwa rosyjskiego, która rząd chce obalić lub go do gruntu przeistoczyć. A przedewszystkiem my porozumiejmy się z najlepszą częścią Rosyi, z tymi, którzy jutro będą rządem i pracujmy z nimi nad stworzeniem platformy realnej, politycznej i ekonomicznej.

Zdanie pana Sartora poparł pan *Kolejko*, ale wypowiedzieli się płomiennie przeciw tym ostatnim, a za deputacją pp. *Kotulski*, *Gzubski* i *Pasterkowski*. Sprawa miała już być poddana pod głosowanie, gdy zdarzył się znowu wypadek zadziwiający, zauważony najprzód przez baczne oko pana *Kotulskiego*.

Powstał i rzekł:

— Panowie! Losy nam sprzyjają. W chwili gdy mamy postawić krok tak przyszłością brzemienny, wchodzi właśnie na zebranie profesor *Dezydery Łokietek*! Uczcijmy go przez powstanie!

Powstali wszyscy, ale wywyższony poziom głów tembardziej utrudniał dostrzeżenie sławnego męża, który, na podobieństwo króla swego imiennika odznaczał się małym wzrostem i ogromnym animuszem wojowniczym. Pan *Kotulski* poszedł do niego, wyłowił go i zaprowadził do stołu prezydyalnego. Radby był, zdawało się, podsunąć mu pod nogi jaki piedestał.

Dopiero teraz huczny poklask przywitał upragniony powrót męża, który był wskazany przez opinię na najwyższe w kraju stanowiska i obecnie jeździł do Petersburga w charakterze pełnomocnego ministra. — Hr. Szafraniec i hr. Kostka, zapisani do głosu, cofnęli się, ustępując kolej nowo-przybyłemu. Niebawem zaczął mówić pan *Dezydery Łokietek* głosem silnym o rozległej

skali, niespodziewanym w drobnej postaci, której wypukłe czoło, wielkie okulary i pióropusz siwiejących włosów streszczały malowniczo znany przydomek: kaznodzieja rewolucyi polskiej.

Rozpostarł najprzód szeroko ramiona:

— Witajcie! — — — Wracam z Petersburga, gdzie widziałem odmiany ludzi tak przeróżne, żem się poczuł w iście babilońskim zamieszaniu. Poznałem dusze, żyjące abstrakcją, wyzwolone ze wszystkich form obowiązujących w ustroju społecznym, najbardziej zbliżone do nowożytnego typu nadczłowieka...

(Głos z lewicy: gdzie? w Petersburgu?!)

— Poznałem i ciemne istoty, na których piętno niezatarte położyło długowiekowe jarzmo mongolskie. — Przypatrywałem się też tej szajce drapieżników, która tamowała oddawna rozwój ducha słowiańskiego od Newy do Kaukazu, od Kalisza do Kamczatki, tej biurokracyi, której miliony serc złorzeczą w Rosyi i u nas. — I zstąpiłem do głębi ducha Słowiańszczyzny wschodniej, a na dnie znalazłem wielką słabość, groźną w czasie spokoju dziejowego, a zabójczą w przełomowych zwrotach dziejów — znalazłem próżniactwo słowiańskie. To próżniactwo wyraziło się dzisiaj jaskrawo przez strajk powszechny.

(Kilka głosów z lewicy: »Co takiego?! Proszę do rzeczy!)

Prezydujący prosi o spokój. Profesor *Łokietek*

szkicuje bez przeszkód dalsze swe wrażenia z podróży, a między innemi, że chwila do stanowczego działania w sprawie szkoły polskiej jest bardzo odpowiednia (Kotulski: Słuchajcie! słuchajcie). Znowu unosi go wymowa i przerzuca na historyzofię. Kończy wreszcie częścią patetyczną o pożytku szerokiej demokratyzacji społeczeństwa.

Po tej mowie zaległa cisza, gdyż profesor zaprowadził wyobraźnię słuchaczy w krainy piękne, lecz oderwane od porządku dziennego. Pan Mochnaczyński zbliżył się do pana Łokietka i zdawał się go badać co do realniejszych owoców jego misyi, gdy wtem poprosił o głos siedzący na lewicy pan *Oczko* literat, redaktor małopocznego pisemka:

— Skoro najwięksi z pośród nas dają przykład dygresyi, niech i mnie pozwoli zgromadzenie na jedną. Krótko powiem. Stary, ale żywy człowiek, Adam Mickiewicz, w niektórych częściach »Pana Tadeusza«, bawi się polityką, i bawi się tak szczęśliwie, że od niechcienia tworzy arcydzieła. W pieśni »Karczma« ksiądz Robak występuje jako działacz polityczny, a jako środka agitacyi używa tabaki. Ale między jednym i drugim kichnięciem szlachty mówi jej rzeczy najpotrzebniejsze. Robak ma za cel politykę, a tabakę tylko za środek; jeździł po szerokim świecie nie dlatego, aby przywieźć stamtąd tabakę, lecz pożyteczne wiadomo-

ści. Tabaka, chociaż łyzy wyciska, nie może być celem mówcy...

Prezylujący (dzwoni). Muszę pana poprosić o przerwanie mowy, nie mającej żadnego związku z obradami.

P. *Oczko*: Ma tylko związek z brakiem związku. — Skończyłem.

Niestosowny występ pana Oczki miał tylko ten skutek, że otoczono profesora Łokietka, dopytując się o jego zdanie co do deputacyi. — Gdy p. *Łokietek* w powtórny przemówieniu stanowczo za nią się oświadczył, prezylujący postawił wniosek, zarządził głosowanie i wysłanie deputacyi uchwalono ogromną większością.

Teraz dopiero dowiedziało się zgromadzenie, w jakim celu ma jechać deputacya do Petersburga. P. *Mochnaczyński* wyluszczył projekt instrukcyi. Miano się dopomnieć przedewszystkiem o zdecydowanie ostateczne kwestyi języka polskiego wykładowego w szkołach rządowych Królestwa. A że ta sprawa wiąże się nieodłącznie z najskromniejszemi wymaganiami samorządu, deputacya ma wyjednać pierwsze podwaliny autonomiczne, mianowicie o spolszczenie szkoły, sądu i urzędu.

P. *Sartor*, przemożnie przegłosowany uprzednio, zdawał się już godzić z myślą deputacyi, ale obstawał przy tem, aby nie dopominać się, nie kołatać, tylko żądać. Niewiadomo bowiem,

kto jest i kto jutro będzie rządem. Należy więc swe żądania przedstawić władzy jeszcze istniejącej, ale zarazem i potężnym nowym związkom, zarodkom władzy przyszłej. Dodał także, że żądania winny być bliżej określone, że w sprawie szkolnej wymagać należy prawa tworzenia nowych szkół wszelkiego typu, oraz seminariów nauczycielskich, jak np. pożyteczna instytucja, świeżo zapoczątkowana przez pana Apolinarego Budzisz.

P. Apolinary *Budzisz* w krótkim przemówieniu przyłączył się do zdania p. Sartora.

P. *Kotulski* oświadczył imieniem swych przyjaciół politycznych, że o seminariach dawno już, bardzo dawno pomyśleli. Godził się na formę »żądania«, proponowaną przez p. Sartora, a w tych żądaniach szedł jeszcze dalej, bo żądał natychmiast nadania Królestwu Polskiemu szerokiej autonomii z sejmem w Warszawie.

Iskra elektryczna pobiegła po sali. Skoro wspomniano o sejmie w Warszawie, zapisało się do głosu kilkunastu mówców.

P. *Kolejko*, specjalista od spraw autonomicznych i innych, z ujmującą płynnością jął tłumaczyć zebranym, że autonomia może być szersza i węższa, z sejmem i bez sejmu, z mocą prawnodawczą ostateczną lub pośrednią. Do określenia stopnia i zasady swobód autonomicznych, na-

sycających w zupełności nasze interesy narodowe, potrzebna jest komisya fachowa, o której już dawno pomyśleli przyjaciele polityczni p. Kolejki i p. Sartora.

Tu pan Apolinary *Budzisz* odezwał się bez uprzedniego proszenia o głos:

— Co za komisya, dobrodzieju mój? Konstytuanta w Warszawie może to jedynie rozstrzygnąć.

Krótkie, przejmujące milczenie. Poczem wybuchnął gwar nagły, niby ulewa słów. Przewodniczący zdał na Mochnaczyńskiego mozolny obowiązek ustalenia następstwa mówców.

Pierwszy p. *Sartor* gorąco pochwalił p. *Budzisz* za przypomnienie kardynalnej podstawy przyszłej pomyślności i prosił o sformułowanie wniosku, do którego z góry już przewidywał przyłączenie swoje i swego stronnictwa.

Hr. Heydenstein starał się dowieść, że jego grupa niema uprzedzeń względem konstytuanty i dobrotliwie oświadczył się za nią.

Ten rzecznik mógłby osłabić powodzenie wniosku, gdyby nie przemówili po nim pp. *Kotulski*, *Tropauer* i *Hyc* — wszyscy za konstytuanta.

— Kiedy żądać, to już całości! — odzywały się głosy po sali.

Ale p. Jan *Rokszycski* powątpiewał o możliwości żądania w Petersburgu konstytuanty warszaw-

skiej. Przypominał, że deputacya ma za cel główny szkołę polską, powinna ją zdobyć i z nią powrócić. Wątpił, aby ktokolwiek w Petersburgu mógł dać odrazu wszystko, czego my tu żądamy; a uzyskać tylko obietnicę, choćby od najpotężniejszej władzy — byłoby wynikiem bardzo średnim.

Chociaż zdanie p. Rokszyckiego poparł sam p. *Mochnaczyński*, zaniepokojony zbyt bujnym rozkrzewieniem rzuconego przez siebie ziarna, — obu ostatnich głosów słuchano z roztargnieniem, gdyż ogół zgromadzonych poczuł już nieuniknioną konieczność historyczną wypowiedzenia do krańców swych aspiracji.

Poproszono ponownie p. Apolinarego *Budzisa* o sformułowanie wniosku, co też mówca w związanych wyrazach uczynił.

Zarządzono głosowanie nad instrukcją deputacji, sformułowaną przez pana Budzisa, i wniosek przeszedł niemal jednomyślnie.

Znowu p. *Budzisz* poprosił o głos i zaproponował do uchwały poprawkę z dodatkiem, że »konstytuenta w Warszawie ma być wybrana przez powszechne, tajne, równe i bezpośrednie głosowanie«. Dodał jeszcze »dobrodzieju mój«, co wywołało uśmiech, niemniej przecież przejęło zapaleń całą salę.

P. *Mochnaczyński* zapytał tylko, czy sprawiedliwość p. Budzisa sięga tak daleko, aby i ko-

bietom udzielić prawa głosu? Otrzymawszy odpowiedź przeczącą, usiadł.

Parę nieśmiałych głosów próbowało jeszcze obstawać przy skromniejszym zakresie instrukcji. Rozłamano głosowanie na parę wniosków, poczem przeszła uchwała ostateczna:

»Żądać szerokiej autonomii Królestwa Polskiego z sejmem i konstytuanta, wybraną przez powszechne, tajne, równe i bezpośrednie głosowanie«.

Wybór deputatów powierzono komisji, która już istniała na papierze, odczytanym osobiście przez p. Gwiazdowskiego, a zatwierdzona została przez aklamację. Do składu tej komisji wszedł i p. Apolinary Budzisz.

Obrady odroczono do dnia następnego.

Spisawszy ten dyaryusz, krótko zebrany, poczuwam się do obowiązku dodania kilku notatek o naszym bohaterze. Z oschłej bowiem kroniki zmiarkować nie można, co się w nim działo tego wieczora i jak doszedł do wniosku, który go okrył chwałą.

Na początku obrad, przemokły i zimny, na ciele i na duszy, siedział i myślał, jakiby wziąć udział osobisty w tym pochodzie ku wielkiej

przyszłości. P. Sartor ułatwił mu to zadanie. Wtedy pan Apolinary poczuł nie tylko oczy kraju na siebie zwrócone, ale zrozumiał, że... dzisiaj, albo nigdy!

— To jest mój dzień! — pomyślał.

Pierwsze odezwanie się samoistne o konstytucji poszło mu tak łatwo, tak niewielkim nakładem stylu zapanował nad zgromadzeniem, że postanowił szturmem wzbic się na wyżyny. Pod magnetycznym wpływem ogólnego poklasku uznał nieodwołalnie wniosek swój za zbawienny. Pił rozkosz rządu dusz, które mu okoliczności darowały na godzinę. Przy głosowaniach powstawał i okólnym spojrzeniem stwierdzał swój tryumf. Za wnioskiem jego oświadczały się nie tylko bliscy i przyjaciele. Bo oto i ciężki Szafraniec głosuje za konstytucją, i ponury Tropauer, i wszyscy... prawie wszyscy.

— Ach! pan Jan jest przeciwny...

Zabolało to przez chwilę Apolinarego. Ale wspomniawszy, że Rokszyckiemu zarzucają niektórzy upór i nałóg separatyzmu. A przytem, gdy większość tak przygniatająca, większość, z takich złożona obywateli, stoi przy mnie, czyż godzi się dobro ojczyzny poświęcać przyjaźni osobistej?

Zapomniał o panu Janie i jechał dalej, jechał aż do krańców swej wyobraźni politycznej.

— Powszechne, tajne, równe i bezpośrednie głosowanie! Tak.

Potężnym zamachem wbijał w grunt rodzinny te ciężkie wyrazy i miał przeczucie, że wbija pale fundamentalne pod przyszły gmach pomyślności krajowej.

Dopiero gdy się sesja rozsypywała po przejściu uchwały, ścisk się uczynił około naszego bohatera. Pan Kleofas Budzisz, radca, zwykle dość zimny w stosunkach pokrewieńskich z panem Apolinarym, przyczepił się teraz do niego nieodłącznie, ocierał się o lumen familijny. Antoni Kostka przyprowadził do Budzisa dwóch swych młodych krewnych i przedstawił ich sławnemu działaczowi. Młodzieńcy przypatrywali mu się ciekawie. Koledzy ze Stowarzyszenia okazywali mu przyjaźń ostentacyjną, a »komitetowi« wzięli go między siebie do kąta, aby mu powierzyć najnowsze tajemnice. Feliks Kotulski zapraszał go nawet głośno i z uduchowionym uśmiechem:

— Nie zapomnij kolega jutro, o 10 ej rano, u nas.

Gdy wychodził, ustępowano mu z drogi. Jakżeż! Idzie członek komisji do wyboru deputacyi do wywalczenia autonomii z sejmem i konstytuantą!

A w bramie hrabia Heydenstein ofiarował mu miejsce w swej karecie i, odwożąc go do hotelu,

przypominał pokrótce panu członkowi komisji o swych rozległych stosunkach w Petersburgu.

Budzisz przyjmował hołdy i wyrazy uznania ze swobodą, jakby mu to było nie pierwszą.

Przeniesiony na gumach do swego hotelu, przypomniał odrazu pana Jana, który od godziny znikł mu z oczu. — W pokoju Rokszyckiego cicho — już śpi zapewne? Jednak zdecydował się uchylić drzwi, lecz usłyszał tylko głos w ciemnościach:

— Daj mi pokój, zmęczony jestem. Dobranoc.

Uszczypnięty, lecz nie ugodzony w serce, pan Apolinary powrócił do swego pokoju. Przed snem pragnął przejrzeć jeszcze gazety wieczorne i dodatki nadzwyczajne.

— Finlandya rzeczpospolitą...? To na jutro. — Bunt wojska... także na jutro. Zdrowia już dzisiaj nie mam na takie bomby. Co tam piszą o sprawach w mieście?... Aha — »Posiedzenie u Joachima Gwiazdowskiego trwa«. — — Nie wiedzą jeszcze... Wiec teatralny. Cóż ci biedacy uchwalili? Zobaczmy.

Szybko przeglądał sprawozdanie, w którym między umiastowieniem teatru, protestami przeciw nadużyciom, rozstrojem budżetu migały mu sympatyczne twarze aktorów i piękne oczy aktorek. Dotarł nareszcie do wniosku:

»Zebrani uchwalili jednogłośnie domagać się autonomii Królestwa Polskiego z sejmem i konstytuanta, wybraną przez powszechne, tajne, równe i bezpośrednie głosowanie».

— ? — —

DZIEŃ SZÓSTY.

— Komunikat urzędowy! bardzo ciekawy! Stan wojenny w szerokiej Polsce!

Roznosiciel gazet wszedł do kawiarni hotelu Bristol z pliką dodatków nadzwyczajnych i zbierał skrzętnie drobne pieniądze, ciesząc się z popłatności najświeższej nowiny.

W kawiarni wiedzieli już wszyscy o fakcie, radziby tylko z elaboratu urzędowego dowiedzieć się o uzasadnieniu.

Jakiś młodzieniec, mistrz gry bilardowej, który porzucił od paru tygodni to zajęcie dla polityki, dowodził w gronie kolegów:

— To jest tylko tak puszczane, żeby nas wypróbować, czy nie chcemy się odłączyć. Ale zaraz to cofną i ogłoszą autonomię.

— Chyba depesza biura Bathona? — powątpiewał ktoś inny, zaglądając do druku.

— Nie. Porządna agencja.

Jakiś stary jegomość zbliżył się do grona młodych.

— Ja wam mówię, panowie — wierzcie starem — hydra biurokratyczna tak łatwo chleba swego się nie wyrzeknie, z rąk nas nie puści.

— Nie te czasy, panie — odrzekł z wyższością bilardzista. — Pan się nie liczy z duchem czasu.

— Ej, panie — duch jest w nas, ale siła tymczasem w ich ręku. A dla nich duch czasu, dobro ogółu — to tyle, co poezya. Ja ich znam, panowie: sam służyłem.

Sluchacze jednomyślnie wyrazili wzrokiem i ruchem nieufność. Stary się uśmiechnął:

— Nie bójcie się. Służyłem w biurze adresowem, ale i stamtąd mnie wypchnęli. Najprzód nie dawali awansu, a potem i miejsce skasowali. Aż jakiś dymisyonowany wachmistrz, który był dotychczas kredencarzem u naczelnika...

Tym razem odwrócono się na dobre od starego jegomości. Nie miejsce i nie pora na utyskiwania prywatne. Powrócono do ogólnych konsyderacji politycznych.

Mówił teraz reporter dziennika, osoba w kawiarni zupełnie »miarodajna«:

— Komunikat przyszedł najprzód do naszej redakcyi. Myśmy go pierwsi ogłosili, a to są tylko przedruki z naszego tekstu. Żądajcie panowie naszego dodatku.

Ktoś inny zaś bardziej się zagłębiał w istotę rzeczy:

— Żeśmy sobie trochę pośpiewali, żeśmy bohatercko uniknęli pogromu naszych Żydów...

— Naszych, czy nie naszych, żadnych Żydów nie biliśmy — przerwał ktoś inny w imię prawdy historycznej.

— Oj, panowie — odezwał się człek mizerny, z wysoko podniesionemi brwiami — »czarnej sotni« u nas tylko patrzeć. Ja mieszkam w dzielnicy ludowej...

— Czarna sotnia u nas?! Śmiej się pan z tego. U nas jej nigdy nie będzie. Za to mamy swój czarny milion.

— — — — —
Drobne zbieram słowa, drobnych słucham ludzi, bo wybór narodu podążył na Wschód: jedni w deputacyi do Petersburga, a między nimi i pan Apolinary Budzisz; drudzy na walne obrady »ziemców« do Moskwy. Uczyniło się pusto i tęskno w Warszawie, ściśniętej nadto przez stan wojenny i zimę. Pozostaliśmy między szarym tłumem pracoborców...

...Co ten tam kawiarniany polityk powiedział? Czarny milion??

Ciągnie wszędzie przez ulice śródmieścia, siedzi po zbiedniałych sklepach ten ośmieszony i wykłety »burzuj«, taki cierpliwy, taki czujny na dobro publiczne, taki sforny w manifestacjach uczuć

zbiorowych, tak łatwo przyswajający sobie kulturę; dobroduszny i pojętny, serdeczny i rozsądny, a solidarny z każdym porywem do światła i wolności.

Co ten tam prawił o «czarnym milionie»?

Snuje się koło zamkniętych fabryk i warsztatów rój ponury, z oczyma płonącymi gniewem i pożądaniem, z rękoma groźnie leniwymi. Usłuchał głośnych mówców i poszedł pod ich komendę. Czeką na spełnienie ich obietnic i szuka w jadowitych drukach wieści, rychło przyjdzie czas chleba dla wszystkich. Czeką jeszcze i szumi zapalona głowa, ale czekać nie chce skurczony, pusty brzuch.

— Ej ty, coś obiecywał, złodzieju! Kiedy przyjdzie dzień ośmiogodzinny? Kiedy będziemy jedli do syta?

— Przyszędłby dawno, gdyby nie te łotry fabrykanty, gdyby nie szuje narodowcy. Śmierć zdrajcom ludu!

— Śmierć!

To nie czarny, to głodny milion.

Zebrzą po ulicach nie tak, jak za dawnych czasów. Nie »litościwa osobo«, »jaśnie panie złociuchny!« — Do lepiej ubranego przechodnia zbliża się szorstko drab sążnisty, z nakrytą głową i melodyje się głosem nie cierpiącym odmowy: »Robotnik bez pracy«. — Pracowałeś ty nocami na Po-wieślu — myśli zaczepiony przechodzień i sięga

do kieszeni, zwłaszcza, gdy pusto na ulicy. — Tu przychodzi pięciu po składkę na cele partyjne do mieszkania samotnego kapitalisty. Tam już bez wyrażenia celu odzierają sklepy z towaru i gotówki. Z dniem każdym przybiera ta powódź »rewolucyi«. Rabują kasy rządowe i publiczne — to pewno na cele partyjne?? Ale już grabią po prostu, zabijają bez namysłu i wyboru; zbójcy panoszą się w jasny dzień po Warszawie i prowincyi, urągając policyi, a nakoniec i komitetom socyalistycznym.

Strwożony obywatel kraju nie dopatrzył odrazu, z kogo się składa, pod czym działa przewodem ta »partya bojowa«. Ale kto wyrzał z zamczystego ukrycia, ujrzał w haniebnych szajkach zbrodniarzy recydywistów, wypuszczonych z więzień, zamiast przestępców politycznych, ujrzał nie-dorostków, którzy porzucili szkoły, ujrzał także w liczbie zdumiewającej czarne głowy i szaty nowych Machabeuszów, walczących za prawa... Ludu. Ci ostatni byli przy każdej śmiałej robocie, przy każdym napadzie na cudze mienie; do każdego okrzyku bojowego za przewrotem i nienawistnego przeciw narodowi mieszał się ich charkot spieniony. Krewni zaś ich i plemieńcy zgarniali grosz według zakonu swego, nie puszczając nic z garści na ogólne sprawy krajowe, mając zawsze na myśli swoje własne cele partyjne. Mędracy zaś i kapłani Izraela wzruszali ramionami, nie ro-

zumiejąc wypadków. I stało się, że paru z ich starszyzny podniosło głos za dobrem ogółu tej ziemi mieszkańców. Ale znając i widząc ich milion, paru mężom naród nie ufał, plemieńcy zaś ich się wyparli.

Tak — mamy swój czarny milion. Dobrze mówił ten pan z kawiarni.

Henryk Demel mieszkał przy ulicy Twardej, w brudno-żółtym budynku, który choć nie mógł pochodzić z wcześniejszej epoki, niż druga połowa XIX wieku, wydawał się już pomnikiem zamierzchłym. Dom ten, w stylu berlińsko-hebrajskim, należy i dzisiaj do spadkobierców Nuchima Lichtenbauma. Na trzeciem piętrze w podwórzu Demel zajmuje pokój przy korytarzu, cuchnącym od umieszczonego w pobliżu starodawnego zlewu. W pokoju przyległym mieszka towarzyszka Ola. Pokój męski jest pracownią, mocno zadymioną, z wielkim piecem kuchennym pod okapem, zawsze zimnym i widocznie przeznaczonym na skład różnych cięższych i lżejszych przedmiotów niecenuralnych. Umeblowanie zaledwie odpowiada najpierwotniejszym potrzebom. Przeciwnie — sąsiedni pokój kobiecy posiada firanki i parawan haftowany, meble proste, ale czyste, i pachnie nawet przyjemnie. Ten pokój bywa bawialnią, jadalnią, i czasem nawet salą obrad.

Usłyszawszy umówione pukanie w ścianę, Ola pobiegła do drzwi zamkniętych. Zapukano pono-

wnie do drzwi, zazgrzytał klucz w zamku i wszedł Demel.

— Leć do drukarni, Ola. To osobno, w jedną kolumnę, na 30 tysięcy egzemplarzy, a to do numeru na front. Nie pomieszasz?

Demel oddał dwa drobne rękopisy. Ola obejrzała je uważnie i schowała jeden w stanik, drugi w rękaw. Za chwilę miała już biret na głowie, strzeliła okiem do zwierciadła i wyszła. Demel zaś drzwi zamknął na klucz i rzucił się na kanapę, zwinąwszy sobie pod głowę jakieś okrycie towarzyski, bez ceremonii. Twarz młodą miał już poraną zmarszczkami, zwłaszcza niskie czoło ruchliwe pod rudą, krótką czupryną. Choć oczy zamknął, czoło nie przestało kurczyć się, a cała postać, zanim się uległa, szukała długo wygodnego spokoju w niecierpliwych podskokach. Zaledwie zdawał się zapadać w drzemkę, gdy pukanie do drzwi porwało go jednym susem z kanapy. Sygnał znajomy — wracała Ola. Widocznie drukarnia była w pobliżu.

— Oddałaś?

— Oddałam w samej zecerni.

— A komu?

— Berkowiczowi.

— Lepiej było oddać Piętakowi... Wszystko jedno — i ten towarzysz i tamten. A nie dowiedziałas się, dlaczego Berkowicz przez trzy dni nie przychodził?

— Gadał, że miał zatarg z narodowcami.

— Jaki zatarg?

— W fabryce Baryczki. Podobno go nawet poturbowali.

— Właśnie ogłosiłem bojkot fabryki Baryczki.

— A to stara, porządna firma — odezwała się Ola głosem miększym.

— To niech się solidaryzuje! — odfuknął Demel. — Niech mu tylko do głowy nie strzeli zamknąć budę, bo będzie źle!

— A Leichtfeder i Sobirajer zamknęli?

— Udowodnili rachunkami bankructwo. Wytlómaczyli się przed nami osobiście.

Demel położył się znowu na kanapie i przymknął oczy. Ale po chwili znowu zapytał Oli:

— Czy wzięli zaraz do składania?

— Wezmą dopiero. Składają we dwóch artykuł o szpiclach narodowych.

— Trzebaby raz jeszcze przekonać ustnie dozorcę warsztatów u Baryczki.

— A kto pójdzie?

— Poszedłbym, ale nie spałem całą noc. Jestem miękki. Niech idzie Szmul Krótki. Albo lepiej Piętak. Zaraz im powiem.

Demel już się wybierał, ale wstrzymała go towarzyszka.

— Poczekaj. Ja spałam w nocy, ja pobiegnę. Oba widziałam przed chwilą.

Znowu zniknęła Ola i drzwi zamknięto, jakby przechowywano skarby w tem ubogiem mieszkaniu. Po dziesięciu minutach powróciła.

— Szmul powiedział, że sam nie pójdzie, tylko w kupie, bo słyszał, że wojsko jest przy fabryce. Szmul mówi, że ma dosyć jednej kuli w ramieniu...

— Co za kula? kontuzya... A Piętak?

— Piętak robi korektę, bo jeden, który umie. Ale pójdzie, jeżeli każesz.

Demel zerwał się z kanapy i przeciągnął ramiona:

— A no, to ja sam pójdę.

Ola przypadła do niego z błyszczącymi oczyma:

— Ze mną... prawda?

Młodzieniec popatrzył bez rozrzewnienia, ale głęboko w oczy towarzyszki:

— Chodź. — Ubierz się, jak przedwczoraj.

W strojach zaszły zmiany. Ola wzięła chustę na głowę i garnek owinięty szmatą, niby żona robotnika, przychodząca z posiłkiem do męża. Demel poszedł do swego pokoju, włożył czapkę na głowę i obuł buty z cholewami. W cholewę wsunął ciężki jakiś przedmiot. Po starannem zamknięciu drzwi spotkali się oboje na korytarzu.

Przypatrywano im się ciekawie na schodach i na podwórzu, ale gdy wyszli na ulicę, nie odbijali już od szarego tłumu przechodniów. Jakiś robotnik z żoną dąży do fabryki lub z fabryki

na posiłek. Tylko poszukiwacz błysków duszy w oczach i ruchach ludzkich, artysta lub agent policyi tajnej mógł dostrzedz w śpieszącej parze zapał i niepokój, zawieruchę idei w gorących, młodych mózgach.

Szli milcząc przez ponure, nie całkiem zabudowane ulice, migając, jak cienie gęstsze, na brudnej szarzyźnie parkanów. Naraz zatrzymała się Ola i rozejrzała się po tonącej we mgle dzielnicy miasta:

— Czy dobrze idziemy?

— Jakto? — nie zrozumiał Demel. — Czy tędy droga? Wiesz przecie. Na prawo zaraz rogatka, a tam i fabryka Baryczki.

— Prawda...

— A dlaczego pytasz?

— Nic... Tak mi strzeliło do głowy, czy dobrze idziemy...

Demel spojrzał przenikliwie na towarzyszkę:

— Ola! Jeżeli ci słabo, to ruszaj do domu.

Ola rzuciła nerwowo ramionami:

— Mnie słabo?! Toś zgadł dopiero!

— W chwili działania nie wolno wątpić o sprawie.

— Wierzę w ciebie — rzekła gorąco dziewczyna.

— To nie zawracaj głowy.

Zbliżali się do fabryki, a na zamglonym dużym froncie gmachu ujrzeli najprzód dwie szty-

wne postacie, nieruchome, jak rzeźby, ale nie dla ozdoby tam postawione.

— Strzegą wejścia — szepnął Demel, zatrzymując się.

— Co robisz, Henryk?!... idźmy prosto do drzwi, bo się domyślą.

— Racya.

I skierowali się miernym krokiem między dwóch żołnierzy, stojących przy drzwiach na warcie.

Gdy już dochodzili, oba szynele poruszyły się niby automatycznie, zagradzając drogę.

— Stoj!

Ola skurczyła się i owinęła chustą, jak kobieta zziębnięta, ale zalotnie spojrzała ku żołnierzom.

— Co to stoj, kiedy zimno. Już i tak spóźniłam się.

Młody żołnierz otaksował spojrzeniem kobietę, nie znalazł w niej nic podejrzanego, owszem uśmiechnął się niedbale:

— Nu prachadi.

Ale dużo mniej podobała mu się twarz Demla.

— A tiebie szto?

— Idę do fabryki — odrzedł szorstko Demel.

— Posmotrim książku — odrzekł żołnierz, ujmując mocno przychodnia za ramię.

Demel szarpnął się. W tej chwili ujęto go z obu stron i dano sygnał, na który zbliżył się stojący niedaleko rewirowy policyant.

— Pokazać legitymację.

— Nie mam żadnej. Gdzieby do fabryki co-
dzień nosić?

— To my odprowadzimy do domu i poszukamy.

— Jakiem prawem?

Policyant tymczasem obrzucił badawczym wzro-
kiem przybywającego i nabrał przekonania, że nie
jest robotnikiem, tylko przebranym agitatore.

— Biercie jawo! — rzekł bez wahania do żo-
nierzy.

Demel aż zachwiał się od targnięcia silnych
dłoni.

Wtedy Ola, która już była przeszła przez cen-
zurę i udawała dotychczas bezmyślną wesołość,
wyprostowała się, zrzucając chustę z głowy:

— Nie wolno go szarpać! słyszycie?!

Policyant spojrział na zdemaskowaną towarzy-
szkę z jakąś lubością fachową, pokrewną z roz-
rzewnieniem artystycznym, i rozplynał się w słod-
kich wyrazach:

— Ach, ładna pani! to może brat, albo kuzy-
nek, albo i mąż z lewej rączki? Nie bójcie się,
my jego ze wszystkimi honorami. A zresztą pro-
szę łaskawie razem.

Ola spuściła powieki, pobladła i poszła milcząc
za towarzyszem.

Biedny Demel z towarzyszką! Czy wyjrzy
kiedy na światło dzienne i zobaczy dalszy roz-

wój polskiego socjalizmu? Czy przekona się, jak i dla kogo walczył?

My śmiejmy się w dalszym ciągu... Trochę młodego zapachu, zamkniętego w zgniłych murach, przerobi się na żółć mściwą, lub stanie się nawozem pod zboża przyszłości?... Siła rwąca, zamiast się uświadomić i połączyć z rzeką sił dobrotczywnych, zetrze się na pianę, grunt rodzinny porozrywa i oplwa? Cóż z tego? Fala dziejów nad tym drobiazgiem przepłynie. Tymczasem pozostali przy polskim socjalizmie Szmul Krótki, Berkowicz, Leichtfeder, Sobirajer... pozostał cały nasz czarny milion. On potrafi wielką teorię zastosować do pożądanых reform: do obalenia przesądów nacyonalistycznych i religijnych, a wreszcie do żydowskiej autonomii.

Ale nam, którzy odmienne mamy na przyszłość poglądy i zamiary, niech będzie wolno nie błogosławić robotom tych działaczy na ziemi naszej i żałować Demla, że się z nimi zadał.

DZIEŃ SIÓDMY.

Zima nie jest atmosferą, sprzyjającą uroczystościom, z przyczyn fizycznych; w dziedzinie też duchowej przytłumia entuzjazm. Jest to może jeden z powodów, dla których powrót deputacy z Petersburga nie obfitował w szczegóły plastyczne, przydatne do barwnej powieści. Ani przybycia, ani powitania nie można było właściwie nazwać uroczystością. Nawet deputaci nie powrócili razem, specjalnym pociągami, jakby należało. Powracali kapanią i bez fanfary wcielali się w swe przyrodzone ramy. Ledwo gdzie bżyła gazeta, że ten i ów »jest oczekiwany«. Po tygodniu niepewnych wieści Warszawa ujrzała z cichem zadowoleniem najlepszych swoich mężów każdego na swem miejscu, jakgdyby nigdy nie wyjeżdżali. Już i Gwiazdowski celebry, pozornie bez przerwy, w swem historycznym mieszkaniu; już Mochnaczyński pisze w dzienniku wcale o czem innem, niż o deputacy; już hrabia Heydenstein

ustalił nową cyfrę statystyczną; już Kotulski otworzył na nowo dla kraju upusty swej dobroczynnej wymowy; już Wojciech Banucha schował do skrzyni swą »petersburską« sukmanę; już i pan Apolinary je flaki w hotelu Saskim. Wybór narodu wsiąkł w naród i jest znowu do wybrania.

Budzisz we wspólnem działaniu na obczyźnie zjednoczył się ostatecznie ze swymi przyrodzonymi przyjaciółmi politycznymi. Skoro został między nimi dygnitarzem, pogodził się z losem i uczuł, że jego zakusy frondersko-reformatorskie pochodziły tylko z niedostatecznego wnikięcia w cele — no i w hierarchię stronnictwa. Nie skwitował jednak ze swej odrębności indywidualnej, owszem — narzucał ją teraz całym zgromadzeniom. Najlepszym dowodem ta chwila, w której porwał za sobą salę obrad przy rozprawach o deputacyi. Choć wynikiem deputacyi postanowiono się nie chwalić, Budzisz zyskał świadomość swej siły: wiedział, że, gdy zechce, a natchnienie będzie szczęśliwsze, potrafi dokonać cudów. Dowiódł też, że skromny tytuł »użytecznego«, który mu dawniej przyznawano, polegał na pomyłce. Pan Apolinary nie jest już użyteczny — jest głośny. Ten awans stawiał go odrazu między naczelnikami. Mowy już być nie mogło o tem, aby mu kto wyznaczał robotę podrzędną; stanął w gronie przewodców, generałów obozu, do którego, jak się wyrażał, »sam Bóg go przeznaczył«. Dobrze

jest zapieczętować wyrokiem Opatrzności szereg działań i zabiegów, gdy owoc ich nie jest zupełnie idealny. Ingerencya nadprzyrodzona w wynikach działań ludzkich jest znaczną pociechą i uspokojeniem wewnętrznem działaczy.

Chociaż pozostał między swoimi, i to filarem, Budzisz zachował stosunki dyplomatyczne z innemi stronnictwami, wierzył bowiem niezłomnie, że wszystkie dążą, choć różnemi drogami, do jednego celu, — i że on kiedyś może dokonać dzieła skojarzenia, nad którym tyle już pracował. Gdy zaś skojarzą się stronnictwa, wtedy...

— Otóż wtedy, dobrodziejmo mój, Bóg raczy wiedzieć, co czynić wypadnie...? Póki się stronnictwa drą między sobą, potem wchodzą w kompromisy, znowu się rozejdą i znowu urządzają dla porozumienia jakąś wspólną sesję lub wiec na neutralnym gruncie, jest robota i zajmująca robota. Ale gdyby to naprzykład ustało z powodu skojarzenia stronnictw albo osiągnięcia wspólnie pożądaney szerokiej autonomii — wtedy co? Trzeba będzie rzeczywiście pracować...?

Mimo swą krewkość i niejaki wahanie w wyborze działań, których się nastroczał cały chaos w tej wielkiej epoce rewolucyjnej, pan Apolinary miał i sumienie: wiedział, że pracować trzeba i że są nawet roboty pilne. Samoistnie, a po części z obserwacyi siebie samego doszedł naprzykład do koniecznej potrzeby pracy nad oświatą, a pa-

miętał także, że wkrótce trzeba będzie silnie i fachowo walczyć za nasze prawa w Petersburgu. W obu sprawach był przecie czynny: dał pomysł seminaryum i wziął udział w deputacyi. Sumienie obywatelskie mógł mieć spokojne.

— Rzuciłem ziarna przyszłego żniwa — tłómaczył się pan Apolinary przed własnem sumieniem.

Zresztą sprawy oświaty jął się bardzo silnie Rokszycki, a gdy ten się czego uczepli, to jak rzep końskiego ogona. Co zaś do działania w Petersburgu, nie udało się jedno, to rozpoczniemy pracę w Dumie.

Nie brak było takich, którzy zwracali oczy na Budzisz, jako na przyszłego posła. Nawet różne stronnictwa oglądały go i oglądały się na niego, jako na glinę pośrednią, z której się lepi elektów kompromisowych. Ale — rzecz dziwna — po podróży do Petersburga Budzisz stracił pierwotny zapal do poselstwa. Skłaniał się bardziej do pozostania w kraju na posterunku wybitnym, do kierowania stąd forpocztami, wysłanemi na Wschód, do roboty na gruncie swojskim zamiast ryzykownych eksperymentów w atmosferze mniej znanej.

— Dobrzeby być posłem, dobrodzieju mój. Ale czyż nie szczytniejsza rola męża, pozostającego w cieniu, nie odznaczonego urzędowym tytułem, a przecie dzierżącego w ręku ster nawy

publicznej... choćby czasami? Albo czy nie milsze sercu przeświadczenie, że się jednym potężnym słowem w chwili stanowczej przyczyniło do odwrócenia karty dziejów? Gdyby naprzykład deputacya się udała, napisanoby w historii, że dzięki stanowczości Apolinarego Budzisa, deputata... nawet nie — Budzisa bez tytułu — salwowane zostały prawa narodu. A kiedyś, na grobie moim położonoby napis: człowiekowi wielkiego serca...

»O, dzika żądzo pośmiertnego żalu!« Pan Apolinary pisał historję, chociaż w trybie warunkowym i tak się nad sobą rozrzewnił, że aż łzy prawdziwe miał w oczach, gdy weszli do jego mieszkania Pawłowski z Gawłowskim.

— Pod stopki się ścielę sąsiada i deputata naszego — rzekł Pawłowski.

— Miło mi odnaleźć w dobrym zdrowiu luminarza naszej okolicy — rzekł Gawłowski.

Budzisz otworzył szeroko ramiona:

— Witajcie! Wracam z Petersburga, gdzie widziałem odmiany ludzi tak rozliczne...

Ale przerwał. To przemówienie, odruchowo przypomniane, dobre było na sesję... i nawet już na nic. Pan Apolinary kiwnął po kilkakroć wzniesioną ręką na znak, że dużo, za dużo widział i wiedział. A potem z wysokości opuścił się na fotel, wskazując dwa inne sąsiadom.

— Siadajcie, dobrodzieje kochani. Cóż u was słychać?

— Nic dobrego, panie deputacie. Terror. Człowiek życia niepewny — rzekł Gawłowski.

— Gwiżdżą kule i tutaj — rzekł Budzisz nie dbale, jakby puszczając kule mimo uszu.

— Ale chyba mniej w śródmieściu? Myśmymy przyjechali koleją obwodową na dworzec wiedeński, aby wysiąść w środku miasta.

— To przezornie — dodał pobłaźliwie Apolinary.

Pawłowski, szczerze i nietajone uosobienie ciekawości, przystąpił bez wahania do celu swych odwiedzin:

— Nie nas pytać, panie deputacie, o nowiny. Mybyśmy raczej pragnęli czegoś się dowiedzieć od naszego moralnego dowódcy, już nawet i urzędowego...

— Niby od naszego wojewody — wtrącił Gawłowski.

— A dajcież pokój, panowie bracia — odrzekł Budzisz uprzejmie, choć bez konfuzji — żyjemy w czasach demokratycznych. Na sługę waszego padł los — i tyle.

— Zawsze jednak, zawsze... — obstawali chórem przy swej uniżoności sąsiedzi.

Po chwili tej wersalskiej sprzeczki Pawłowski powrócił do ataku:

— Nie dało się tak odrazu przeprowadzić? co, panie deputacie?

— Nie liczyliśmy na to. Chodziło o postawienie sprawy.

— A gdzie ją panowie postawiliście, jeżeli łaska?

Budysz się zasępił i nie od razu odpowiedział. Przypomniawszy bowiem niesmaczny dowcip jednego pisemka, które donosiło, że »deputacya położyła sprawę naszą między pałacem Zimowym a miastem na placu — i powróciła«. Taki śmiejąc się zdrów, a nie wie jak to trudno! Pytającym zaś sąsiadom odpowiedział po namyśle:

— Kochani panowie! Sprawa nasza postawiona została *tak*, jak potrzeba, i *tam*, gdzie potrzeba. Postawiona *przez nas* — to jedna wygrana, a powtóre: u przedstawicieli jutrzejszego rządu raczej, niż obecnego.

Pawłowski i Gawłowski otworzyli usta. To było rzeczywiście jasne, nawet ogromne, chociaż niedowiedzione. Po chwili zaczęli kiwać głowami:

— A więc: *tak*, jak potrzeba, i *tam*, gdzie potrzeba.. Aha. Ale tymczasem żadnych zapewnień?

— Walka rozpocznie się w Dumie.

Tu Gawłowski wpadł w werwę:

— A że w Dumie będziemy mieli pana deputata za posła, to rzecz u nas postanowiona. Cały nasz powiat, jak jeden mąż, za panem. Na wyborcę to już pan niby wybrany.

— Na wyborcę, jak sobie chcecie, ale na posła, dobrodzieje moi, nie kandyduję.

— A to dlaczego? — zawołali obaj sąsiedzi niemal z oburzeniem.

— Zmęczony jestem.

— Pan deputat raczy żartować — spierał się Pawłowski — wygląda pan, jak młodzieniec, pełen ognia, siły, inicjatywy, już i doświadczenia.

— Klimat petersburski mi nie służy...

Pawłowski spoglądał na Budziszę z niedowierzaniem.

— Taka skromność i abstynencyja, panie deputacie, gdy chodzi o dobro publiczne?

— No, sąsiedzi kochani, jeszcze niema wyborów. Dziękuję wam w każdym razie za życzliwość i zaufanie. Umieję je cenić, a może potrafię i wyzyskać, oczywiście dla sprawy.

— Naturalnie, że dla sprawy!

— A wkrótce tutaj, w tem sercu kraju, będziemy mieli dużo do roboty.

— Daj Boże!

— Wtedy na was liczę, panowie.

— Zawsze i wszędzie... Aha, to niby pan deputat do sejmu, do naszej konstytuancy?

Pan Apolinary wznosił tylko oczy i ręce do nieba, jakby mówił:

— Tego pragnę, co Bóg i naród rozkaże.

— Już zabierać nie będziemy drogiego czasu — rzekł Pawłowski.

Ale zabrał jeszcze z kwadrans, dopytując, w postawie stojącej i między ponawianemi poze-

gnaniami, co tam w Petersburgu mówił ten, a tamten jak wygląda, a czy biurokracya jeszcze dy-szy, a czy »ziemieć« to szczerzy brat, czy lisem podszyty. Pan Apolinary odpowiadał skąpo, wie-dział bowiem, że sąsiedzi uprawiali, nawet w cza-sach zwyczajnych, plotkę polityczną i inną, a w o-kresie rewolucyjnym przybrali rozmiary olbrzy-miego gramofonu o dwóch trąbach. Jeszcze przed piątem, ostatecznem pożegnaniem, chciał się Pa-włowski upewnić o tenorze wiadomości głównej:

— A więc — *tak*, jak potrzeba, i *tam*, gdzie potrzeba. Nieprawdaż?

— Tak, tak. Możecie mnie cytować.

* * *

Po wyjściu wieśniaków Budzisz zaledwie prze-łknął śniadanie, już znowu dążył do innej pracy: dziennikarskiej.

Ponieważ do założenia samoistnej gazety znie-chęcił się, a pana Sartora dotychczas nie przenik-nął, niedawno sypnął pokaźne subsidium redak-cyi już istniejącego dziennika »swoich ludzi« i zyskał tytuł założyciela. Kapitał, uruchomiony na cele publiczne, otrzymywał tym sposobem dal-sze zastosowanie, a tytuł założyciela zdobyty zo-stał mniejszym zachodem. Sartor, który liczył je-szcze na udział Budzisz w wielkiem przedsięwzię-twie »Platformy«, gdy się o tem dowiedział, na-

pisał jadowity artykuł z alluzjami osobistemi pod tytułem »Fides Graeca«. Ale Budzisz natchnął odpowiedź w swoim dzienniku p. t. »Punica fides«, rąbiący bez pardonu »Platformę« Sartora i bank Kolejki. Tymczasem zaś, jako nawrócony fronder i dobroczyńca, miał w gabinecie redakcyjnym należyte zachowanie.

W gabinecie, uderzającym demokratyczną prostotą, siedzieli przy stole: Hugon Mochnaczyński, profesor Łokietek i Feliks Kotulski. Z sąsiedniej sali dochodziły zmieszane głosy, zdawała metaliczny łoskot maszyn, z ulicy krzyki obdartych wyrostków, czekających na świeży numer.

— Nie przeszkadzam? — zapytał Budzisz.

— Co za pytanie? — odrzekł Mochnaczyński i zatopił się w dalszą korektę jakiegoś artykułu.

Kotulski, nie przerywając również pracy, wskazał próżne krzesło i zajął w oczy panu Apolinaremu, jak brat wyższego chóru, lecz przychylny. Budzisz nie lubił tego wzroku, choć do Kotulskiego już przywykł w ciągłym koleżeństwie.

Profesor przecierał poważnie ogromne, zwłaszcza w stosunku do jego postaci, okulary i siedział bez zajęcia. Od czasu do czasu wchodził do gabinetu to metrampaż, to inny urzędnik, każdy, jakby dla okazania swych przekonań, obdarty i rozczochrany. Na zapytania odpowiadał Mochnaczyński krótko, paru słowami, lub ciachnął ołów-

kiem po karcie, Kotulski zaś wnikał obszernie w istotę rzeczy, chwycił się za głowę, cmokał, wstawał i szedł sam załatwiać różne zawikłania, które bez niego by się nie obeszły. Budzisz, jak i Łokietek, usiadł przy robocie w charakterze pogotowia ratunkowego.

Po kwadransie weszli do redakcji dwaj hrabiowie Kostkowie: Antoni i Władysław, bracia stryjeczni. Podobni byli do siebie, gdy wchodzili, wzrostem, ubraniem dobrego kroju i nieuchwytną harmonią budowy, którą zwykle nazywamy rasą. Ale gdy zdjęli płaszcze i usiedli, byli wcale odmienni.

Antoni miał wielkie oczy smutne w twarzy ciągle uśmiechniętej, pozory serdeczne i dobrodusze. Władysław zaś, hardy choć ugrzeczniony, swym profilem jastrzębim, wymową stanowczą, zaciekawiał raczej, niż pociągał. Obaj, choć żonaci, byli jeszcze młodzi, obaj bardzo zamożni, ofiarowali chętnie pieniądze i osoby swoje na usługi publiczne.

Antoniego powitano jak bywalca w redakcji, Władysława ceremonialnie.

Ten ostatni zaczął mówić. Mówił nerwowo, przerzucając długą swą postać w różne układy, jakby myśl przebiegała mu przez wszystkie członki i galwanizowała je w sposób nieoczekiwany:

— Pozwolą panowie, że wyjawię przed nimi pewne konfidencye, które otrzymałem wczoraj

z pozwoleniem, abym uczynił z nich użytek, nie wymieniając osoby. Muszę tylko nadmienić, że jest to ktoś wtajemniczony w stosunki dyplomatyczne międzynarodowe, a szczególnie angielskie. Mówiliśmy dość wyczerpująco o tem, czy Anglia miałaby swój *interes* w popieraniu naszych aspiracji narodowych. Bo tak tylko można kwestję stawiać. Liczyć na sprzyjanie nam czyjekolwiek z zasady etycznej byłoby chyba niewłaściwe. Otóż ten pan, przyznając oczywiście słuszność naszym wymaganiom, dowodzi, że w obecnej konstelacji politycznej można uważać sprawę naszej autonomii za obojętną dla Anglii. Zapewnia przytem, że wzmianki dziennikarskie w przedmiocie popierania naszej sprawy u rządu rosyjskiego nie były nigdy insynuowane przez poważne sfery dyplomatyczne.

Wiadomość ważna i sprzeczna z wielu niedawno wyrażonemi nadziejami przyjęta została z dziwną obojętnością przez słuchaczy.

Odezwał się Kotulski:

— Wiemy już o tem.

Antoni Kostka zwrócił się do krewnego:

— Mówiłem ci, Władziu, że już o tem wiemy.

Mochnaczyński wpatrywał się w nerwowego mówcę z zimnym, nieodgadzionym spokojem.

Tylko pan Apolinary, który święcie wierzył w Anglię, zaczął ruszać wargami, ale widząc, że wszyscy przyjmują wiadomość milczeniem, przez solidarność nie odezwał się.

Władysław Kostka zaciął zęby.

Zawiązała się urywana rozmowa o szczegółach redakcyjnych między Antonim Kostką, a Feliksem Kotulskim.

— Świetny artykuł, panie Feliksie, we wczorajszym wieczornym o »ciągłości ideałów«!

— To pierwszy z cyklu, który przygotowałem — odrzekł Kotulski, spuszczać powieki bez uśmiechu.

— Ach, to pan pisał?

— Tak jest. Podpisałem przecie: F. K.

— Nie zauważyłem. A kto pisał, jeżeli wolno wiedzieć, artykuł: »Fundusz szkolny zapewniony«?

— To studium zawdzięczamy naszemu profesorowi — odrzekł Kotulski, wskazując oburącz na Łokietka.

I tak dalej słaby rozmowa, gdyby nie wpadł do gabinetu zziębnięty reporter, który wyglądał jak goniec z Maratonu, lecz nie z obozu zwycięzców.

— Proszę panów, w fabryce Baryczki rzeź! Banda prowadzona przez Szmula Krótkiego napadła formalnie na robotników z naszego związku. Jest już kilkanaście ofiar...

— Z której strony? — zapytał żywo Mochna-czyński.

— Przeważnie z naszej. Teraz wojsko doszło do fabryki i pierze z karabinów po ulicy, jak mu

się podoba. A na ulicy niema już nikogo prócz przechodniów: Szmul już prysnął z całą bandą.

Słuchacze mieli stępną wrażliwość na tego rodzaju nowiny. Każdy się z tem oswoił, że krwawa wieść tych czasów przynosi po kilka lub kilkanaście zabójstw na dzień; niejeden też widział już śmierć zbliżoną. Ale nienawiść między robotnikami, ohydna walka bratobójcza, była podówczas jeszcze nowością. I nawet ludzi zżytych z rewolucją napelniała zgrozą.

Opowiadanie podzielało. Władysław Kóstka przybrał pozór oficera na barykadzie, Kotulski twarz zakrył rękami, pan Apolinary poczerwieniał i nasrożył się.

Mochnaczyński zaś mocno i długo łamał zaciśnięte palce, jakby je wstrzymać chciał od działania, a uspokoivszy się, rzekł:

— Trwa to już od pewnego czasu: od aresztowania Demla. Socjaliści rozgłaszają, że Demel został wydany przez robotników naszego związku. Ta potwarz roznieciła nienawiść zwłaszcza do pracujących w fabryce Baryczki, którzy, jak wiadomo, nie zastosowali się do nakazu socjalistów i nie przerwali pracy. Co gorsza, że nie jest to wypadek odosobniony: takie same wiadomości mamy z Łodzi. A szanowne pisma socjalistyczne nie przestają pracować w tym kierunku. Zobaczcie panowie ostatnie ich proklamacye.

Dobyl z kieszeni parę małych, drobnym dru-

kiem zaczernionych świstków i porozdawał. Zaczęto po dwóch, lub z osobna studyować skwapliwie tę jedynie poczytną literaturę czasu.

Pan Apolinary, przeczytawszy, cisnął »proklamę« na stół, przybił pięścią i zawyrokował:

— Dureń pisał.

— Dureń, albo i nie — odparł Mochnaczyński. — Może emisaryusz pruski? Ale zauważcie, panowie, że te piśmidła zapomniały, zdaje się, o walce z rządem, albo z kapitałem, lecz godzą w nas, to jest w całe prawie społeczeństwo.

— Prawda — potwierdził Antoni Kostka.

— I jeszcze jedno charakteryzuje krwawą kronikę ostatnich wypadków: przy starciach zawsze dwa razy więcej pada naszych, niż tamtych.

Pan Apolinary zerwał się z krzesła:

— A cóż to, dobrodzieju mój, czy to nasi niby tego... tchórzem podszyli?

— Ani trochę. Tylko tamci mają broń, a nasi nie mają.

— Czemże się to dzieje, dobrodzieju mój?

— Tem, że nasi są *prawdziwymi* robotnikami: pracują i powracają do rodzin. Wiedzą, że posiadanie broni przy stanie wojennym można stryczkiem opłacić, więc który co miał, zwykle oddał. Dzisiaj zaś wypada im walczyć niby z towarzyszami, ale nie z robotnikami, tylko z partią bojową, z szajką ludzi na wszystko zdecydowanych, którzy policyi się wyślizgują, zamiast domu mają

tajemny lokal schadzki, zamiast dochodów z pracy — brauning i to co ukradną.

— Oto jeszcze jeden z opłakanych skutków stanu wojennego — zaczął Kotulski.

I puścił się na szerokie plany: albo nowej deputacyi do Petersburga, albo surowego napomnienia władzom miejscowym.

Ale go nie słuchano. Nawet Mochnaczyński dawał po sobie oznaki niecierpliwości, a Budzisz, który dawno przestał ulegać urokowi pana Feliksa, dzisiaj machał poprostu ręką na jego wywody:

— Ale gdzie tam!

Więc Kotulski przerwał perorę, zniechęcony:

— Radźcie tedy, kiedy umiecie — zakończył.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Dopiero po przetarciu i ustaleniu na nosie okularów, po najeżeniu pióropusza włosów, duch ogromny wstąpił w małego profesora Łokietka:

— Panowie! W czasach olbrzymich, które przeżywamy, wszystkie dobre i złe siły społeczeństwa nabierają bajecznej, a przecie rzeczywistej potęgi. Z pomruków powstały orkany, z protestów życiodajne bunt. Ale tak samo drobne gady, drzemiące dawniej między szczelinami jaskiń, wypęzły dzisiaj i urosły w potworne kłęby Lewiatana. Taką jest Potwarz służąca teraz za narzędzie walki...

Długo jeszcze mówił »kaznodzieja rewolucyi

polskiej i bardzo pięknie, ale gdy skończył, nie wywołał dyskusyi, gdyż towarzystwo zatopione było mniej retorycznie w troskę o chwili obecnej.

— Co? jakich mamy mówców? — zwrócił się cicho Antoni Kostka do stryjecznego brata.

— Tak, tak — godził się Władysław, choć zdawał się w cierpieniach wyczekiwać końca mowy.

Budzisza zaś widocznie myślał samodzielnie. Mocno podniecony, pomrukiwał, a dłonią praworęczną wywijał to w prawo, to w lewo, to znowu chwycił się gwałtownie za podbródek. Mimikę jego takby można streścić:

— Hm... więc ci mają, tamci nie mają... Żle, dobrodzieju mój. Czy jednym odebrać, czy dać drugim?...

— Podziel-że się, kolego, swemi myślami z towarzystwem — rzekł jadownicie Kotulski, sądząc, że w kłopot wprowadzi Budzisza.

Nie obliczył, że trzeba było tego tylko pociągnięcia, aby kolega wypalił.

— Cóż tedy pozostaje, dobrodzieje moi, jeżeli nie bronić się? Mordują tamci, to palić im w łeb jak psom!

— Kiedy nasi broni nie mają — odezwał się Antoni Kostka.

— To ich uzbroić, do kroćset! Od czegoż my jesteśmy?!

— Aaa...

Budzisz radykalny, Budzisz — Mirabeau stał znowu przed zgromadzeniem rodaków i napełniał ich zarówno podziwem, jak wątpliwościami.

— Potrzeba na to pieniędzy? — grzmiał dalej pan Apolinary — Fraszka! znajdziemy je. Ja daję na ten cel trzy tysiące.

I rozejrzawszy się po obecnych, naturalnie zatrzymał wzrok magnetyczny na tych, którzy dać mogli, na obu Kostkach. Odpowiedział Władysław:

— Daję w miarę możliwości. Ale to, co jeszcze dać mogę, wolę użyć, przyznam się, na cele oświaty.

Antoni nic nie odrzekł, tylko utkwiał oczy w Mochnaczyńskiego, jak w tęczę natchnień.

Pan Hugo tymczasem odpowiedział panu Apolinaremu:

— Wydaje mi się niemożliwością przyjąć w tej formie ofiarę kolegi Budzisz, ale zgrzeszylibyśmy, zniechęcając jego szlachetną gotowość do usług publicznych. Może zgodzi się szanowny ofiarodawca obrócić ten fundusz na wzmocnienie naszych związków robotniczych?

— Wzmocnienie?... hm... Nie kijem, to pałką, dobrodzieju mój.

— A nie, kolego — rzekł Mochnaczyński, uśmiechając się, równie jak wszyscy obecni.

Chociaż wniosek Budzisz uległ modyfikacji, wywołał ogólne uznanie dla wnioskodawcy. Ścisłano go za ręce ofiarne, zaglądano mu w oczy nieustraszone.

— Takich, takich nam dzisiaj potrzeba — mówił profesor Łokietek.

— Niewątpliwie — dodał Kotulski głosem jakoby żalosnym od wzruszenia, że takiego przeczuł i wynalazł działacza.

Kostkowie spoglądali na Budziszę uważnie, Mochnaczyński zaś z natężonym namysłem, jak inżynier spogląda na potok, który pragnie ku szczęśliwości krainy obrócić.

DZIEŃ ÓSMY.

Mimo wszelkie usiłowania biurokracyi, aby wiosna nie przyszła jeszcze, lecz odłożona została na okres późniejszy, wobec niedojrzałości społeczeństwa, wiosna jednak przychodziła.

Pewien młody klon posadzony między brukiem warszawskim za czasów spokojnych, przywykł już, że w początku kwietnia wiatr łagodniał i namawiał do wypuszczenia liści, z którymi pragnął poigrać. Klon wtedy budził się ze snu zimowego, przeciągał się w słońcu i poczynął jeść ziemię, a całować się z wiatrem. — Ale tej zimy spać mu nie dano. W mieście bywało hucznie i tłumnie, i oddech stotysięczny szedł na młode drzewo oparem ciepłym, pobudzającym do przedwczesnego życia. Tejże zimy miał dwie niezapomniane chwile. Raz, gdy na ulicy szumił ten nowy wichur, rozróżnił klon w wielkim idącym głosie dziwne, cienie, szybkołotne poświsty. I przejął go ból nagły od pojedynczego ciosu. Czekał, czy to już śmierć?

czy mu przeznaczano za młodu ginąć? Ale cios nie powtórzył się; pozostał tylko ból i na korze rana wązka, wżerająca się w mięso. — A drugim razem zwałił mu się na pień i przylgnął do odziemka ciężar miękkiej — i leżał tam przez czas pewien, aż klon poczuł, że mu do najczulszych, chwytnych korzonków przesącza się przez zmarzniętą ziemię ciepła rosa, strasznie pożywna... I młody klon warszawski ledwo nie oszalał. Chciał już zielenią nową wyzywać groźne akwilony, chciał już kwitnąć i urość roku tego w potężne drzewo, chciał dorównać praojcom jednym porywem, stać się drzewem królewskim, świętym gajem! Ale dziwna rosa skrzepła i powiały znowu mroźne, trzęziące wiatry. Dopiero gdy w kwietniu przyszedł powiew odwieczny wracającej wiosny, klon się budził powoli i poznał, że mu soki żywotne uciekają z otrzymanej rany. Więc blado zielenił się, chory, lecz trzymający się mocno jeszcze ziemi swojej w soki pożywne bogatej. I pędząc instynktowo do słońca, myślał:

— Będzie, co będzie — żyć trzeba.

Tej wiosny nie kupowano na ulicach pierwszych fiołków i sasanek, lecz miliony zadrukowanych kart, i z nich wrózano, kiedy przyjdzie pora obiecana. Nie przysyłano sobie podarunków świątecznych, lecz bony na chleb dla głodnych. Nikt nie zauważył, kiedy puściły lody na Wiśle, każdy czekał tylko, rychło puszczą obręczę krępującą

siły, które się rwą do życia. Tłum, wpatrzony tęsknie w obietnice »rewolucyi«, zaledwie się wzдрыgał na sprzeczne z sobą katastrofy, na ruinę fabryk, na tępienie policyi, na puszczanie wojska przeciwko gawiedzi ulicznej, bo mniemał, że tak być musi w rewolucyi, po której przyjdzie wiosna prawdziwa.

Na wsi rolnik zaledwie okiem rzucił na młodą ruń pełną nadziei i nie wróżył dziś z wczesnego kwiatu ciernia o przyszłości sadu. Jeżeli był »obszarnikiem«, nie wiedział, czy zbierać będzie te plony; jeżeli najemnym oraczem, rzucał pług, i podążał na rajcowanie z nowymi towarzyszami, którzy obiecywali mu ziemię szeroką. Bo nadchodzi już Czas...

Pan Apolinary nie dopilnował nawet siewów wiosennych w tym roku. Polityka nie puszczała go z Warszawy. Sprowadził tu rodzinę i mieszkał, przykładając codziennie ręki do polityki wewnętrznej. Dzisiaj on ją już robił, już czuł się w znacznej części za nią odpowiedzialnym.

Rzadko teraz z kim się naradzał, rzadko zwierzał się komu. Nawet sekretarza odprawił, gdyż się okazało, że ten młodzieniec wyniósł z gabinetu Budziszki różne tajemnice stanu i anegdoty historyczne. O tajemnice mniejsza, ale anegdoty krążyły po mieście w formie często niepożądaney. Budzisz stawał się coraz ostrożniejszym, coraz większym Metternichem w rozmowach z ludźmi.

Jednak, że najwięksi nawet ludzie, którym najlepiej jest z myślą własną, jako z niezaprzeczoną równienniczką, mają choć jednego powiernika, więc i pan Apolinary zwierzał się czasem żonie swej Tekli.

Nie były to już jednak dawne rozmowy wiejskie, gospodarczo-wychowawcze, kominkowo-rodzinne. Małżeństwo przeniosło się na wyższe piętro umysłowe. O rozwinięciu się i wzniesieniu pana, powtarzać już nie warto: czyni jego przemawiają. Ale i pani Tekla, przeniósłszy się do miasta, pozbywszy się kluczy i apteczki, umieściwszy syna w nowej szkole, nabrała różnych aspiracji, polorów, wyrażeń, których nie знаła dawniej. Nic też dziwnego, że towarzystwo męża ciągnęło nawet żonę poniewolnie na wyżyny ducha. Pani Budziszowa była już na paru wiecach i skłaniała się nawet do walki za prawo wyborcze kobiet.

— A gdy zasiądziemy na zdobytych przez siebie ławach sejmowych, wtedy się okaże! — mówił działacz wpatrując się Jowiszowym wzrokiem w nadciągającą przyszłość.

Pani Tekla nie robiła już nawet robótek ręcznych przy rozmowie, miała palce — o zgrozo — splamione atramentem i obecnie trzymała jakąś gazetę. Pomyślawszy przez chwilę, co się okaże na ławach sejmowych, odezwała się do rzeczy, jednak nie jak echo posłuszne:

— Nie rozumiem dlaczego, Polciu, nie chcesz kandydować na posła do Dumy? Namawiają cię sąsiedzi, a i pisma ciągle o tobie mówią. Znowu dzisiaj — patrz!

Budysz sięgnął skwapliwie po gazetę:

— Pokaż...

Przejrzał wzmiankę i machnął ręką. Było to sprawozdanie z jakiegoś wiecu, na którym między kilkudziesięciu »zauważonymi« był i Apolinary Budysz.

— Jednak to tam zawsze dołoż, bo może mi być potrzebne.

— A jakże! to już siedemnasty numer o tobie — odpowiedziała skrzętna małżonka — mam je wszystkie pod kluczem. Ale właśnie nowy jest dowód, że nie mogą nigdzie obyć się bez ciebie Polciu. Gdybyś tam pojechał, jabym potrafiła tu się zająć wszystkim. Jabym to przeboleła dla ogólnego dobra.

Mąż słuchał z niedbałym zadowoleniem. Pomilczał trochę, potem się odezwał:

— Próbowałem — klimat mi nie służy.

Ten argument był najwymowniejszym dla poctwiej pani Tekli. Zdrowie męża jest szczęściem kochającej żony. Więc zrezygnowana zapadła w myśli, jaka to szkoda dla kraju.

— Nie frasuj się bardzo, Tekluniu, o to nasze przedstawicielstwo w Dumie. Tam nie potrzeba geniuszów.

— Zawsze lepiejby było.

— Otóż wyobraź sobie, że gorzej. Trzeba nam ludzi dobrego ducha, ale nie zbyt mocno pomysłowych i działających każdy na swoją rękę. My operujemy masami... To jest, nie tak już jak to kiedyś, dobrodziejmo mój... ale zawsze musimy tam mieć ludzi sfornych, idących zupełnie z nami. A my w sercu kraju, w centrum... rozumiesz?

Pan Apolinary przebierał palcami, potem ścisnął obie garście, jakby szereg ułamków sprowadzał do jednego mianownika. Było to wyraźne i pani Tekla zrozumiała.

— Zresztą — ciągnął dalej polityk tonem jakimś nowym, mistycznym — ja chociaż tam nie pojedę, będę miał w gronie naszych przedstawicieli swoich własnych, rodzonych... Ja ich teraz wychowuję.

Pani Tekla, pomimo szczerej chęci, nie zapytała, kogo miał na myśli pan Apolinary, bojąc się wdierać bezskutecznie w tajemnice polityczne. Ale zaczęła krążyć około pytania:

— Przecie już postawiliście kandydatów. Czy teraz będzie inna lista?

— Będą zmiany. Ja je przeprowadzę. Zamiast jakichś tam Kotulskich, dobrodziejmo mój, którzy wszędzie się pchają, zresztą zamiast mnie, który ustępuję — Zobaczysz, będą zmiany.

Przed widocznym zamiarem męża niedopowiedzenia do końca pani Tekla skłoniła głowę. Mo-

narchów i wielkich ludzi nie przypiera się do muru; jeden to z ich najcenniejszych przywilejów.

* * *

Wiosna wypędza na ulicę najzatwardziały domatorów, a coś dopiero w tym roku, gdy życie uliczne stało się normą zajęcia Warszawiaka. Stany wojenne, traktujące patrole, kule rozwydrzone — nic nie zdołało zniechęcić tłumów.

Pan Apolinary podązał pieszo, bez broni i bez pieniędzy w kieszeni, jedynie z paszportem przykrywającym mu rycerskie serce, podązał po falistym, brudnym chodniku w dzielnicy robotniczej. Miał tu świeżo podjętą missyę, wykonywał ją pilnie i przed nikim się z tem nie chwalił. I nie czuł nawet potrzeby gadania w tym wypadku: robota tego nie wymagała. Powracał już po rozmówieniu się z robotnikami fabryki Baryczki, co nie było tak proste i bezpieczne, jak sądzić by można po spokojnej powierzchowności Budzisa. Rozumował poprostu, że jeżeli nikt nigdzie karku nie nadstawi, to i nic się nie robi.

Powracał i wkroczył już w miasto weselsze, w aleję Jerozolimską. Idąc, łowił pierściami wiatr przychodzący z za Wisły, już ciepły i nasycony wonią wiosenną łąk, gdy ktoś przejeżdżający jednokonną dorożką przyjaźnie mu się uklonił.

— Pan Antoni!

Antoni Kostka już wysiadł i witał się z Budziszem.

— No, no — rzekł pan Apolinary, wskazując na mizerny wehikuł — myślałby kto, że hrabia Kostka zbankrutował.

— W tych czasach wolę na co innego wydać, niż na dryndy — odpowiedział Kostka z nadto skromną miną.

— Słusznie, słusznie. A pieniądze użyte pro publico przyniosą procenty w uznaniu społeczeństwa i potomnych.

Budzisz mówił jak Minerwa przedzierzgnięta w Mentora, ale zarazem serdecznie i po koleżeńsku, gdyż zawarł w ostatnich czasach z Kostką ścisłą komitywę po różnych wiecach, sessjach i wagonach.

— A pan skąd i dokąd, panie Apolinary?

— Skąd? Miałem do czynienia z naszym związkiem robotniczym. A wracam do hotelu.

— Sam pan był u uich?

— A także.

Kostka otworzył szeroko oczy, co czynił zwykle, gdy się dowiadywał, że ktoś coś sam wykonał. Potem uśmiechnął się przymilnie i rzekł, ściskając dłoń Budzisa:

— Dziękuję.

Teraz pan Apolinary trochę się zadziwił. I trwało przez chwilę nieporozumienie wyrażone przez

dwa kwękające uśmiechy. Kostka zaproponował nagle:

— Chce pan trochę się przejechać? Głowy nie czuję na karku, bo miałem dzisiaj sesye od rana. Tu przewodniczyłem, tam przewodniczyłem, musiałem nadto mówić. Pojedźmy do Łazienek tym karyklem, co?

— Z gustem.

Jechali przez Kruczą, bo woźnica zapewniał, że przez Nowy Świat ani Bracką nie można — »nie puszczają«. Przywykli do tych porządków dwaj działacze, nie zwrócili na nie uwagi i jechali przez Kruczą. Kostka mówił jeszcze o swych dzisiejszych pracach, obszernie i anegdotycznie. Budzisz zapytał znienacka:

— A jakże tam pan z językiem państwowym?

— Jak nastajaszczyj! — Powiedziała mi księżna *** — wie pan, ta, u której mieliśmy się zejść z Wittem, tylko uchwaliliśmy, żeby nie? — powiedziała, że mówię zupełnie jak jej nieboszczyk mąż, który był wychowany zagranicą. Toczno tak, wasze sijatelstwo! — Akcent mam już dobry; słów mi jeszcze brakuje, oczywiście.

— Bo wkrótce panu będzie bardzo potrzebne — rzekł Apolinary z błyskiem oczu obiecującym.

— Mówię nie gorzej od naszej grupy.

Jechali po drewnianych wybojach bruku, który

przybrał postać skostniałego potoku. Ulica, im dalej od śródmieścia, tem stawała się tragiczniejszą z powodu twarzy przechodniów. Jakieś oblicza nigdy nie widziane roily się tego roku po Warszawie, ubraniem, ruchem i wyrazem przypominające dzieje znane dotąd tylko z obrazków. I ludzie spokojni, którzy mieszkali podówczas w mieście, a chcieli wiedzieć i widzieć, co się dzieje na ulicy, nauczyli się chodzić po niej specjalnie, ze zdwojoną przytomnością, jak się chodzi w lesie, wypatrując zwierz, lub w nocy przez okolice niepewne.

— Jest jeszcze ciągle w powietrzu rewolucya — rzekł Kostka.

— Jest, dobrodzieju mój, ale rychło przyjdzie epoka sprawiedliwości.

— Trzeba jeszcze dużo pracować.

— A trzeba, młodzieńcze!

Setka nowych obrotów kół zmierzyła czas, toczący się z pożytkiem dla ogólnego dobra.

— Czytał pan wczorajszy artykuł mego kuzyna Władysława, niby programowy?

— Czytałem — odparł Budzisz zimno.

— Wybiera się i on na posła, ale na tym koniku pewno nie dojedzie?

— Wątpię.

Pan Apolinary rzekł to z takim uśmiechem, jakby mandaty poselskie miał w kieszeni, a chodziło tylko o wpisanie nazwisk.

— A co pan sądzi o samym artykule? — zapytał Kostka.

— Niby... nasze hasła, a krytyka naszych działań. Co tam mówi o stawianiu żądań — wcale mnie nie przekonało.

Antoni Kostka przypominał przez chwilę i wyrecytował cały ustęp z omawianego artykułu:

— Aha... »Stawiając program, który zbyt obcesowo sięga po nasze cele, a pomija wszelkie interesy i korzyści tych, którzy na żądane reformy zezwolić mają, uniemożliwiamy im przyjęcie naszego programu«.

— Świetną masz pan pamięć, panie Antoni!

— Wszystko, co mam, jest na usługę publiczną.

— Brawo! A co do pańskiego kuzyna... on nie jest na te czasy, on nie potrafi przerabąć się aż do celu.

— On nawet nie odwykł jeszcze od programu, grasującego w naszej.. powiedziałbym — rodzinie, to jest poprostu od skłonności do godzenia się z losem.

— A! tegobym znowu nie powiedział. Polak szczery.

— Ja też nie mówię inaczej. Tylko nie zupełnie zsolidaryzowany.

Wjechali w ulicę zwaną »Piękna« przez jakiegoś dawniejszego satyryka.

Od skweru na Mokotowskiej dało się sły-

sześć kilka szybko po sobie następujących dźwięków, jakby paru ludzi naraz paliło z biczem. Budzisz, Kostka i woźnica zaczęli nasłuchiwać. I koń nawet przystanął.

— Z brauningów — rzekł Budzisz.

— Nie, z karabinów — zaprzeczył Kostka — ja to znam z kniei.

— Ao! jak tam wrywa — — dodał woźnica, wskazując biczem na dalszą ulicę.

Postać młoda, snąc młoda i rącza, przypadała prawie do ziemi w pędzie rozpaczliwym, zwierzęcym, aż znikła przy jakimś parkanie, zapewne znalazłszy otwór na podwórze.

— Jechać, czy nie jechać, panie hrabio? — spytał dorożkarz, któremu droga wypadła wzdłuż wspomnianego parkanu.

Kostka się zadumał — czy nad tem, że go dorożkarz zna, czy nad odpowiedzią.

— A jechać, do licha! — fuknął pan Apolinary. — Kula, jak Bóg da, to i tutaj trafi.

— E, ulica szeroka — dodał ośmielony dorożkarz i popędził konia do szybszego kłusa.

Odetchnęli w alei Ujazdowskiej. Tłumy ozyskane, wiosenne, płynęły po obu chodnikach. Tylko po środku nie widać było, jak za dawnych czasów, powozów; panowały tam patrole i rzadkie, krzywe jednokonki. Ale od młodego parku Łazienkowskiego i od starych, budzących się Łazienek szedł odurzający zapach. Szedł na ponu-

rego, zmęczonego żołnierza i na bezbronną a ruchliwą publiczność, nie pytając, kto do jakiego należy obozu. Szedł powiew młody i drażnił osłabionych, a napełniał silnych nadzieją nowego życia.

Pan Apolinary należał kategorycznie do silnych.

— Więc tedy, panie Antoni, gdy zasiądziesz pan w gronie prawodawców, najprzód stan wojenny do dyabła! (wskazał na patrol). To jest punkt pierwszy: musimy być gospodarzami u siebie. No a potem — sam pan wiesz dobrze, czego żądać. Krew z krwi nie może źle dla kraju radzić.

— Bardzo panu dziękuję za okazywane mi zaufanie — rzekł Kostka przechylając się całą postacią naprzód, jakby na sesyi — ale z tą resztą... Naprzykład czy się upierać absolutnie przy żądaniu konstytuandy?

Budzisz zamilkł poważnie, sięgał do wnętrza swej istoty, coś tam porządkował, i wydobył wreszcie na wierzch:

— Z konstytuandą można się tymczasem wstrzymać.

Posłyszawszy zdanie umiarkowane, Kostka się orzeźwił:

— Jeżeli tak, to łatwiej pójdzie.

Jednak pan Apolinary nie był kameleonem politycznym. Gdy się zmieniał, to tylko po wierzchu, dla taktyki i upatrzenia chwili. Gdyby koniecznie przyszło określić jego odcień, trzeba by wynaleźć

nową denominację. Apolinary Budzisz był w polityce... empirykiem. Tak. Zaczę dłoń próbował to tak, to owak odwalić kamień zagrażający zmartwychwstanie, to pchał, to dźwigał, to dłużał — zawsze jednak z najlepszymi zamiarami. Był w polityce empirykiem.

Miał także w sobie na dnie leżący zapas konserwatyzmu i zdrowego sensu, których to ordynarnych zalet wstydził się poniekąd przed szeroką publicznością w mniemaniu, że nie są dość efektywne w ustach działacza rewolucyjnego. Ale w pojedynkę można się z nim było pożytecznie dogadać.

Ponieważ Łazienki były, dla wygody policyi, zamknięte, a strudzeni miastem politycy pragnęli zbliżka pociągnąć wiosennej woni od wielkich drzew i stawów, skierowali się więc na dół w aleję Agrykołę. Niebawem zaczął im migać przez drzewa śliczny pałacyk Łazienkowski stojący na obramionych lustrach, jak kosztowna zastawa stołowa z najlepszej epoki warszawskiego smaku — i teatrzyk romantyczny, nad którym »kochanka brzoza« rozpuściła warkocze swe, zielonym muślinem już przesłonięte. A na moście dumny Sobieski deptał Turków.

Raźnie, wesoło zagrzało się w sercu panu Apolinaremu, że jeszcze coś, tego... tu król, tam pałac — i wskazując na posąg bohatera, odezwał się:

— O tak, panie Antoni, za przykładem ojców! Kostka chwiał głową podniesioną, patrząc w błękitniejące niebo, ale tymczasem nie był pewien, co ma wykonać za przykładem ojców? — Deptać? kogo?... albo o jakie ubiegać się wawrzyny?..

Spostrzegłszy niedostateczne działanie swej apostrofy, pan Apolinary dodał energicznie:

— Jechać!

— A tak... jechać — powtórzył Kostka.

Słowo było szczytne, tylko obraz psuła drynda, która jechała krzywo i powoli.

DZIEŃ DZIEWIĄTY.

Salon pani Maryi Siecińskiej nie należy do największych, lecz do najwygodniejszych w Warszawie. Wpada się tam, wychodzi, wraca, zostaje się na obiedzie, a gdy się przyjdzie po obiedzie, jeszcze się coś znajduje do jedzenia. Pani Siecińska, wdowa bezdzietna, uprawia cnotę gościnności z zapalem, zapraszając na to, co posiada: na kawalek pieczeni i na gawędę, jaka się uda. Pozostawszy w mieście pomimo rewolucyi, pani Marya przyjmowała od południa do północy całe szeregi postaci, które tu tylko, a nie gdzieindziej spotkać się mogły: matrony, fircyków, mężów stanu, elegantki, nawet nudziarzy. Ale swoboda taka i zmysł organizacyjny panowały w tem mieszkaniu, że nikt nikomu nie zawadzał.

Z konieczności salon nabrał obecnie barwy politycznej, czego dowodem chociażby dzisiejsze zebranie w godzinach popołudniowych. — W jednym pokoju na kanapie siedzi pani Olga Ostrze-

szewska, niewiasta ze wszech miar polityczna, choćby z tego względu, że była niegdyś *primo voto* za hrabią Kozodusinem. Pani Ostrzeszewska, chociaż Polka, czuła jednak całą odpowiedzialność, która wkładała na nią ta koligacya wysoce biurokratyczna i w polityce swej zachowała skłonność do przekonań pierwszego męża. Wpływy jej w sferach urzędowych były, według mniemania wielu, nieograniczone. Nie ukrywała się z tem zresztą, że, gdy zechce poruszyć Kozodusinów i innych koligatów »wysoko postawionych«, może przeprowadzić wszystko — nawet autonomię Królestwa. Ale nie chciała. Że była przytem zła, jak osa, a bardzo skłonna do różnych knozań, choćby i nie politycznych, rachowano się z nią w pewnych sferach i kołach. — To też i dzisiejszy jej sąsiad na kanapie, hrabia Heydenstein, rozmawiał z nią z winnym szacunkiem, a nawet jakby się udawał do jej protekcji.

W drugim saloniku grupa młodsza i weselsza. Hrabia Antoni Kostka leży prawie na wygodnym fotelu, otoczony trzema muzami. Pani Siecińska nalewa mu herbatę, hrabina Hańska opowiada »plamami« jakieś wrażenie literackie, a pani Englert z domu także Hańska, pochyla śliczną głowę płową i patrzy fijołkowemi oczyma na Kostkę. Dwie ostatnie przyszły tu dzisiaj na zapewnienie pani Siecińskiej, że będzie »Tolo«.

Tolo — to Antoni Kostka w postaci codzien-

nej, sympatycznej, dostępnej tylko dla tych, którzy go znają z czasów kawalerskich i z bliższej zażyłości. Niepodobna ciągle być działaczem i mę-
żem zaufania w narodzie; kark by można odpa-
rzyć od nieustannego dźwigania chomąta społec-
znego, a umysł nadwerężyć od ciągłego układa-
nia stosownych przemówień. Tolo, zwłaszcza że
żona była zagranicą, przychodził odpoczywać po
trudach u pani Siecińskiej. Ale i tutaj polityka nie
dawała mu spokoju, była tylko znacznie lżejsza.

Telefon! — Kostka przeczuwa, że do niego;
zrywa się z fotelu, w pogotowiu na usługi publi-
czne. Po chwili wchodzi służący:

— Pana hrabiego proszą do telefonu.

Trzy damy pozostały bez zajęcia około opró-
żnionego przez Kostkę fotelu. Pani Hańska ani
myślała gadać dalej dla kobiet, opowiadała bo-
wiem »plamami« tylko dla mężczyzn. Pani Englert
nie ma też przed kim pozować na ofiarę, a lubi
tę pozę interesującą, wyszła bowiem w przystępie
niecierpliwości za mieszczanina, fabrykanta, tę-
giego człowieka, ale zawsze dla hrabianki Hań-
skiej...

Tymczasem Kostka już powrócił od telefonu
i rozsiadł się znowu w fotelu, dusząc się od
śmiechu.

— Jeżeli to taki śmieszny interes, to i my
mogłybyśmy się dowiedzieć — rzekła pani Hań-
ska.

— Nie, nic... będą mnie tam zaraz... próbowali.

— Próbowali?! — zapytały chórem panie.

— Mądrej głowie dość dwie słowie.

Pani Hańska aż zaczerwieniła się od wysiłku myśli, gdyż jej stanowisko kobiety handlującej inteligencją obowiązywało ją do natychmiastowego odgadnięcia słów Kostki. Po chwili spojrzała głęboko, kiwając głową: już wiedziała.

Ale nie wiedziały inne. Pani Siecińska, nie przywiązując żadnej wagi do swej przenikliwości w polityce, której dała miejsce w swym salonie tylko przez generalną gościnność, zaczęła mówić:

— Pewno jakiś kawał pan nam urządza swoim zwyczajem, tak jak z tem wkroczeniem Prusaków, o którym pan wiedział, że bajka, a tutaj ja się już pakowałam na wyjazd.

— Wcale nie kawał — próbować mnie będą, może już nawet próbują?

— E, niech pan powie wyraźnie — odezwała się pani Englert, dotykając ramienia Kostki szybkim, kocim głośnięciem, pod którym drgnął nasz polityk.

— Seryo mówię: odbywa się nasz wiec ogólny i próbne głosowanie wyborcze.

— Ach tak! a dlaczegoż pan nie tam, ale tutaj? — spytała pani Siecińska.

— Pewno przez skromność? — wtrąciła pani Hańska.

Kostka wykonał parę ruchów, które mogły znaczyć: tak albo nie, — jakąś gimnastykę dyplomatyczną.

Okazało się niebawem, że z powodu ostrej emocji woli tu być, niż tam, gdzie go mają próbować. Zadzwoił znowu telefon, a Kostka zerwał się tak obcesowo, że aż roztrącił pochylone ku niemu panie.

Po chwili wrócił. Telefon był od kantoru najmu powozów. Ochłonał, bo przypominał, że na wiecu zaczął mówić Kotulski, co w najpomyślniejszym wypadku potrwa pół godziny. Więc Kostka, między trójkwiatem tych pań, okadzających go perfumami i zachętą do życia publicznego, szukał, coby pożytecznego wykonać przez pół godziny oczekiwania. Kiwając ręką, zwołał ku sobie blisko trzy głowy, aż dotknął popielato-płowych, elektrycznych włosów pani Englert, i uczynił cicho takie zwierzenie:

— Muszę na chwilę przysiąc się do starej »Strzechy«, bo się obrazi i gotowa jakie świństwo rozpuścić o nas po mieście.

Młode towarzyszeki, choć niechętnie, uznały wszystkie potrzeby tej wycieczki w krainę wysoce poważną, do kanapy w drugim pokoju, skąd dochodziło skrzeczenie pani Ostrzeszewskiej przerywane umiarkowym, zwiędłym głosem hrabiego Heydensteina. I wkrótce Kostka, na czele damskiego oddziału, wkroczył do sąsiedniego pokoju

i zajął miejsce z rezygnacją na krześle, w pobliżu starej »Strzechy«.

Pani Ostrzeszewska miała wielką twarz złowieszczą, jak ministeryalna »bumaga«, siwe obfite włosy uczesane piramidalnie, z dworską pretensją, a wymowę jakąś urzędową, nawet gdy mówiła po polsku, chociaż zwykle używała języka francuskiego.

Zrazu Kostka nie znalazł stosownego przedmiotu rozmowy, zacierał ręce, a pani Siecińska, aby wzbudzić jakąś akcję, proponowała herbatę, podawała ciastka.

— Dziękuję ci, Maryniu, mam wszystko, czego mi potrzeba — rzekła pani Ostrzeszewska — zajmujcie się sobą, młodzi.

Odezwał się Heydenstein do Kostki:

— Tolu, czy wasza dzisiejsza próba ma być absolutną dyrektywą na przyszłe wybory?

— Ha, znowu polityka! przyszedłem tutaj, aby trochę od niej odpocząć — odpowiedział Kostka.

— Polityką się żyje, kochany hrabio; trudno od życia odpocząć, chyba kiedy się śpi — rzekła pani Ostrzeszewska, przysłuchując się z dumą swej wymowie. — Z hrabią Heydensteinem mówiliśmy właśnie, że trzeba koniecznie, aby między posłami znaleźli się tacy, którzy mają stosunki w Petersburgu, bo inaczej jakże porozumiecie się z rządem?

Kostka puścił się na drogę grzecznej ironii:

— Gdybyśmy mieli prawo wyborcze dla kobiet, nie łamałibyśmy sobie głowy nad wyborem kandydatki, znając szanowną panią.

Pani Ostrzeszewska nie dała się zbić z tropu tym wybiegiem.

— Nie przyjęłabym. Ja tam nie jestem za nowościami. Rola kobiet w polityce jest inna, inspiacyjna. Niech pan się nie wykręca od odpowiedzi, bo my z panem Heydensteinem jesteśmy bardzo dobrze poinformowani, a u Maryni możemy mówić otwarcie. Więc doskonale, że pan pojedzie do Petersburga. *Il nons faut des noms*. Ale innych także trzeba znających drogi u Dworu, w ministeryach...

— Przecie tu chodzi o przedstawicielstwo narodowe. Kogo naród wybierze, ten będzie posłem.

— Tak, tak, wiadoma rzecz. — Trzeba aby ludzie mądrzejsi wpływali na wybory, bo inaczej będzie głosowanie powszechne, rząd tłumu.

— Dążymy do powszechnego głosowania.

— A nie, nigdy! to są mrzonki, kochany hrabio. Pozwolono już wam bardzo wiele, ale nie trzeba tego nadużyć.

— Jakto: wam? — zapytał Kostka — przecie nam wszystkim, i szanownej pani także?

— Naturalnie, ale mówię, że trzeba przecie okazać wdzięczność za wszystkie łaski, którymi nas obdarzono, a z wyborów wysłać ludzi umiar-

kowanych, z którymi rząd mógłby współdziałać. Rozumie pan, kochany hrabio?

Kostka rozumiał i nie podzielał zdania, ale myślał zarazem, jak to dobrze, że nie jest na sesyi, ani przed szerszą publicznością, i nie potrzebuje się oburzać. Pani Ostrzeszewska nie może być inna. Do niej i do podobnych przywykł oddawna w swojej sferze.

Ale Heydenstein zapragnął tym razem odgrodzić się od zbyt jaskrawego zdania pani Ostrzeszewskiej, które uchodziło kobiecie wyjątkowo spokrewnionej, ale zgubne być mogło dla mężczyzny pragnącego dzisiaj, w Warszawie, utrzymać swą kandydaturę do jakiegokolwiek funkcji obywatelskiej. Przezorny więc statysta i statystyk zaoponował łagodnie:

— Dzisiejsze programy już są inne, szanowna pani. Dzisiaj bądź co bądź wszystkie stronnictwa walczą z rządem, a nie idą z rządem. To, które z nim pójdzie, musi się dopiero utworzyć.

— Tak — powtórzył Kostka — to nie jest program na dzisiaj.

Sama pani Ostrzeszewska zaczęła trochę rejterować:

— Zapewne. Ale trzeba ludzi, którzyby to przyszłe stronnictwo stworzyć mogli. Niech będą przynajmniej i tacy obok tych... jak wy się tam nazywacie?... szowinistów... Ile też mandatów macie zamiar odstąpić ludziom umiarkowanym, jak

naprzykład hrabia Szafraniec, albo tu obecny hrabia Heydenstein?

— Wybaczysz szanowna pani, że na to odpowiedzieć nie mogę. Najprzód, właśnie nad tem toczą się dopiero narady.

— Rozumiem, że wyborami nie kieruje się z absolutną pewnością, ale musicie przecie wiedzieć, do czego dążycie.

— Owszem, wybory są zupełnie w naszych rękach, oprócz może paru okręgów.

Kostka powiedział to silnie i spokojnie, aż zadziwił słuchaczów. Obca siła, o którą się oparł, wzmacniała jego twierdzenie kategoryczne.

— A więc?

— A więc, szanowna pani, przejdą zapewne sami, jak ich pani nazywa — »szowiniści«.

— To byłoby wielce niepolityczne i »źle widziane« — odrzekła pani Ostrzeszewska z naciśkiem.

Heydenstein znowu próbował naprawić skrajne nieporozumienie:

— Nie, Tolu; nie chciej znowu przedstawiać swego stronnictwa jako tak bardzo »intransigeant«. Miewaliśmy przecie wspólne narady, z których się okazało, że wszyscy jesteśmy zasadniczo zgodni, a różnimy się tylko w zapatrywaniach na sposoby wykonania. Doszliśmy nawet, jak zapewne pamiętasz, do pewnego układu. Tam, gdzieby nasze współzawodnictwo mogło wywołać rozstrzele-

nie głosów na korzyść zupełnie nam obcego obozu, tam ustępujemy. Ale przecie są okręgi, gdzie tej obawy niema i w tych macie nam parę mandatów ustąpić. Jesteście dużo liczniejsi, więc słusznie więcej wam miejsc się należy. Jednakże wszyscy jesteśmy Polakami.

Kostka zaciął się teraz i nic nie odpowiedział. Heydensteina znał oddawna i nie lubił oddawna. Ten jegomość starszy, trochę krewny, miał niezaprzeczoną przewagę erudycji i doświadczenia. To przeszkadzało stale Kostce w rozmowach z Heydensteinem. Ale Tolo, dawniej polityk przypadkowy i w niejednej akcji jednomyślny kolega Heydensteina, teraz wyrobił się, dojrzał, a zarazem wynalazł sobie wyższość nad Heydensteinem i jemu podobnymi: pasowany został na prawdziwego Polaka. Tą wyższością gnębił obecnie swych dawnych, jeżeli nie przyjaciół, to przynajmniej towarzyszyów politycznych.

Więc Leon Heydenstein, który dawniej wykładał Tolowi politykę — małą wprawdzie i zbankrutowaną w założeniu politykę — obecnie dopraszał się nieledwie posłuchania u Tola. Gryzło go to wewnętrznie. Że jednak duma nie cechowała go wybitnie, znosił to upokorzenie.

— Byle służyć sprawie ogólnej — dawał do zrozumienia.

A myślał może:

— Byle pozostać w pierwszych rzędach. Gdy

się piwo i nowa era i nowa polityka wyszumi, my przyjdziemy znowu...

Tak zapewne dumali politycy dwóch barw przez chwilę milczenia, która zaległa.

Pani Ostrzeszewska powstała, aby się pożegnać. Zatrzymywała ją dla zasady gościnności pani Siecińska, ale słabo. Matrona była zimna. Wprawdzie, gdy już na dobre wychodziła, wszyscy zdwoili grzeczność wobec niej, wrywając nawet służącemu i podając jej płaszcz, ale pani Ostrzeszewska, przyzwyczajona do attencyi, na takie plewy się nie brała. Zdanie jej w polityce zostało dzisiaj pominięte, a to się mogło zemścić kiedyś na kraju, zaraz zaś jutro na osobach prywatnych. Wtem Kostka znalazł się genialnie:

— Ach, szanowna pani była łaskawa przysłać mi ten cyrkularz... *pour votre oeuvre*. Jeszcze nie odpowiedziałem, bo tyle jest teraz do roboty. Czy mógłbym złożyć mój skromny datek na ręce pani?

Wyjął storubłówkę i uprzejmie podawał ją matronie.

— A dobrze. Bardzo panu dziękuję. Kwit odeślę dzisiaj wieczorem. Chociaż rozumiem, że to tylko okup za pańskie przekonania polityczne, ale dla biednych przyjmuję. Zawsze proszę o nas nie zapominać. Bardzo dziękuję.

— A jakże... na cel tak użyteczny... — mówił

Kostka poważnie, z ukłonami, aż dopóki »stara Strzecha« nie wyszła.

Gdy zaś wyszła, zapanowała szczerą wesołość oswobodzenia, do której i Heydenstein się przyłączył.

— Paradny ten Tolo! — A na co to ona zbiera?

— Czy ja wiem? Na jakichś tam połamańców, broń Boże nie politycznych. Ale musiałem babie plaster przyłożyć — co? Inaczejby mnie oszcze-kała bez pardonu.

— Teraz już wiem — rzekła pani Hańska. — Jak będę miała jakąś karotę, najprzód się z panem pokłócę.

— Dla pań, bez żadnej kłótni, cały mój pugilares! O — proszę brać.

I dobył pugilaresu, wyrzucił, okazując że nic w nim niema.

Rozmowa by się rozigrała, gdyby grasującej gorączki politycznej nie oznajmił znowu sygnał telefonu.

— Teraz to pewno do mnie — rzekł Kostka. — Pani daruje, że tak nadużywam jej adresu?

— Proszę nie żartować — odpowiedziała pani Sיעińska — bardzom rada, że się przysłużę sprawie.

Kostka ledwo chwilę bawił przy telefonie i powrócił.

— Muszę niestety pożegnać panie, bo przez

telefon nie chcą mi dawać szczegółowych wiadomości. Muszę też z kimś się zobaczyć.

— Ach nie, panie! — zawołała pani Englert, odymając usta słodko nadąsane.

— A jakżeż to urządzić?

— Bardzo prosto — rzekła gospodyni domu — trzeba sprowadzić tego pana do mnie. Pewno jakiś miły człowiek?

— A tak... Nie, to jakoś nie wypada... Chybaby go pani znała?

— Któż to taki?

— Apolinary Budzisz.

— Budzisz? ten z hotelu Saskiego? Jakżeż! któżby go nie znał!

— To mogę mu zaproponować przez telefon.

— Doskonale! Wybornie! Cudownie! — odezwały się wszystkie panie.

Znowu Kostka poszedł do telefonu, a tymczasem pani Siecińska zwróciła się do Heydensteina:

— Panie Leonie! Ja właściwie nie znam tego pana Budzisz. Więc może się obrazi?

— Wątpię — odrzekł Heydenstein — wytłomaczmy to przez nagłą potrzebę publiczną.

— Pan go zna?

— Któżby go nie znał! — jak pani mówi. Ale ja znam go rzeczywiście.

— Jaki to człowiek?

— Ach... bardzo szczery człowiek, bardzo porządny.

— To znaczy po polsku: głupi? — zapytała pani Hańska.

— Pani hrabino, ja w dzisiejszym chaosie przestałem rozróżniać.

Tymczasem Kostka wracał rozpromieniony:

— Zaraz tu będzie.

Panie aż klasnęły w dłonie z zadowolenia, wszystkie trzy bowiem były dzisiaj z politycznego obozu Kostki. Pani Hańska obmyślała, jakaby płamę ułożyć na olśnieniu Budzisa, pani Siecińska: czy taki działacz pija herbatę popołudniu? — a pani Englert wiedziała z góry, że jest dostatecznie przez naturę przygotowana, aby olśnić każdego nieprzygotowanego mężczyznę. Cisza znamienna dla emocyi oczekiwania zalegała w saloniku, przerywana drobnemi, nerwowemi odezwaniami. Tylko Heydenstein nie podzielał ogólnego wzruszenia i namyślał się, czy nie opuścić tych kulisów politycznych, z których dla... sprawy nic sobie nie obiecywał pomyślnego. Został jednak przez ciekawość.

Gdy zabrzmiał dzwonek elektryczny, wydało się wszystkim, że prąd, poruszający aparat, przechodzi przez połączone serca obecnych.

Kostka zeszywniał, jakby włożył na siebie insygnia jakieś dygnitarskie, wyszedł do przedpokoju i po chwili wprowadził tryumfalną, rumianą, obleczoną w czarny surdut postać naszego pana Apolinarego.

Dowiedziawszy się już, że panie go nie znały osobiście, przedstawił go trójkwiatowi, zgrupowanemu w postaciach stojących, niby trzy muzy gotowe do wieńczenia zasług położonych dla narodu.

— Pan Apolinary Budzisz.

Pani Siecińska, odłączając się od grupy, wyciągnęła do słynnego męża drobną swą dłoń dającą jeżeli nie kształt, to przynajmniej zapach buketu.

— Niezmiernie się cieszę, że potrzeba publiczna przyprowadziła pana prezesa do mego mieszkania.

Pan Apolinary, natchniony zapachem z ucałowanej ręki, odpowiedział:

— Służba publiczna ma swe chwile niezrównane.

Poczem przywitał innych z odcieniami cechującymi wysokie wyrobienie towarzyskie i polityczne. Pani Hańskiej powiedział: Aaa! — pani Englert nieledwie: ach! — a dłoń Heydensteina ścisnął potężnie tak, jak »witają się nie wrogowie, lecz dwa na krańcach swych przeciwnych...«

— Uszanowanie hrabiemu.

Nie warto było prawie pytać o wynik próbnego głosowania na wiecu. Oblicze pana Apolinarego zwiastowało tryumf absolutny.

Heydenstein podjął się wywołania stanowczej wieści:

— Może się wdzieram w tajemnice?... ale ponieważ całe miasto wie, że odbywa się u panów próbne głosowanie, zatem śmiem zapytać...

— Niema w tem tajemnicy — odrzekł Budzisz. — Hrabia Kostka, Antoni — wszystkimi głosami!

Szmer uznania pochylił głowy obecnych. I wszystkie muzy oczyma rzewnemi spojrzały na Kostkę, który stał blady, namaszczony.

Zaś Heydenstein pytał dalej:

— Położył pan nacisk na imię «Antoni». Czyby to znaczyło, że Władysław Kostka...

— Przepadł, jak było do przewidzenia — odpowiedział Budzisz z gięstem swobodnie zrezygnowanym.

— To szkoda! — rzekł Heydenstein podstępnie i sprawdził wszystkie wyrazy twarzy po kolei.

Dwóm paniom było to obojętne. Pani Hańska, poczuwając się jednak do solidarności z ludźmi inteligentnymi, powtórzyła dość szczerze:

— Szkoda...

A Kostka, któremu zrazu zaświeciła w oczach iskra zadowolenia, opanował się prędko i rzekł:

— Zapewne, że szkoda — no, ale tylu jest kandydatów... A co do innych, panie Apolinary?

— Są pewne komplikacje. Zresztą więc jeszcze nie skończony. Wyszedłem, żeby oznajmić panu to, o co mi najbardziej chodziło.

Spojrzał w oczy Kostce serdecznie, bez cienia przebiegłości. Ten zaś jakby się zachłysnął, i nie odpowiedział tym razem: »dziękuję«. Ostatecznie bowiem załudze własnej zawdzięczał zaszczyt, który mu przyznano.

DZIEŃ DZIESIĄTY.

Gdy nadeszły dni ostatnie walki wyborczej, Apolinary dorósł do swego zenitu. Energia i stanowczość wynikające z niezłomnego przekonania nadały jego akcyi trafność nieporównaną.

— Teraz to nie skrócona akcja wyborcza, ale wybory, co się zowie! A kogo wybierać — to także jasne, jak na dłoni: swoich dla swoich. Teraz to życie, dobrodzieju mój!

W przeciągu paru tygodni był na różnych, najbardziej odległych posterunkach: w Warszawie, w miastach gubernialnych i powiatowych, w klubach, pałacach i chałupach. Tu przemawiał jak przyrząd o sile dziesięciu mówców, tam użył własnej »krwawicy« na ucztę dla wyborców; w jednym trudnym wypadku wyzwał nawet na pojedynkę kandydata z przeciwnego obozu. Prasy drukarskie jedne jęczały od sprawozdań, gdzie i jak działa nasz bohater, drugie wyciskały na świstkach różne jego odezwy lapidarne, ale sku-

teczne. »Precz!« i »niech żyje!« — wylaływały jak pociski ostre lub fajerwerkowe z tej kaptuły, którą się stał podówczas pan Apolinary — i działały niechybnie. Gdzie tylko dopadł, zwyciężał. Kampanię tę możnaby porównać do Napoleońskich, gdyby cel jej był krwawy. Ale ponieważ chodziło tylko o wynik parlamentarny, o wybór swoich ludzi, ponieważ żywioły spokojniejsze ustąpiły z drogi huczącym zastępom; ponieważ wreszcie Żydzie stchórzyli — zdobycie placu przez Budziszów, Kotulskich, Łokietków i innych trębaczy narodowych nie miało nic wspólnego z krwi rozlewem, było raczej wesołym świętem. Sprawdziły się dowodnie słowa prorocze: »ogarniemy naród cały« — i jeżeli o ten tylko wynik chodziło — został osiągnięty.

Apolinary, jako trybun ludu, tak przemawiał na zgromadzeniu wyborczem w Ryczywole:

»Szeroka i głęboka demokratyzacja społeczeństwa jest skarbem, któryśmy wynaleźli. W was, bracia dobrodzieje od pług, ujrzała dzisiaj ojczyzna swe zbawienie. Kto potrafił działać kosą przeciwko armatom, potrafi też zdrową, a nieprzewrotną radą obalić chytre zamysły wrogów naszych. Was wszystkich, którzyście prawo do ziemi nabyli wiekowym nad nią potem, pragniemy widzieć jej dziedzicami, sąsiadami naszymi. Już nie szlachcic tylko, ale i kmieć na zagrodzie, równy wojewodzie, bo wspólnym z wami, równym i bez-

pośrednim wysiłkiem budować będziemy odtąd szczęśliwość krainy, która oto leży przed nami rozłogiem...»

Mowę tę miał Budzisz na otwartem powietrzu, i z podwyższenia ukazywał zebranym rozległe pola i łąki. Porwał za sobą prawyborców i przeprowadził na wyborcę kandydata z mniejszej własności, Macieja Fizyka, którego potem, na zebraniu w mieście gubernialnem, obleczone w sukmanę poselską. Maciej Fizyk, służąc wojskowo na Kaukazie, ćwiczył się w języku państwowym, uchodził za znawcę stosunków agrarnych, i, jako przedsiębiorca robót ciesielskich, czynny był przy budowie szkół wiejskich. Liczono na niego przy dyskusyi o szkole i budżecie.

Lotem błyskawicy przeniósł się pan Apolinary na inne pole wyborcze, do miasta swego, gdzie już działał dawno i rozlicznie. Trzeba tam było obalić silnego kandydata, doktora Węzłowskiego, który, aczkolwiek istotny demokratą z pochodzenia i z przekonań, miał wadę niedopuszczalną, że nie należał ani do panującego, ani do żadnego stronnictwa. Choć człowiek dzielny, był na razie bez użytku, bo wybór jego na posła nie byłby ani tryumfem, ani kompromisem. Może nabytkiem dla koła polskiego?... Tak się to mówi. Jednem słowem, wybór jego nie był »wskazany«. Doktor Węzłowski miał jednak licznych popleczników między miejscowem obywatelstwem, któremu się

niejednokrotnie zasłużył. Wymowna też była bestya i pociągała wymową. Tu pan Apolinary użył innej taktyki. Był to właśnie okręg, w którym on sam mógł kandydować, gdzie także postawił swą kandydaturę Feliks Kotulski, od niedawna właściciel młyna w okolicy. Istotny dramat w sumieniu Budzisa, ostra kolizya interesów partyjnych z osobistymi, gdyż wybór Węzłowskiego byłby porażką przyjaciół politycznych pana Apolinarego (i to w jego okręgu!), a wybór Kotulskiego, choć w duchu stronnictwa, był Budzisowi nie w smak, prawdę mówiąc — wstrętny. Znajdował się w okręgu jeszcze jeden kandydat, pan rejent Pliszka, zapisany do prawowierznego stronnictwa, człek obojętnie szanowny, towarzyski i nie pozbawiony ambicji: mrugał z zadowolenia, gdy mu przez grzeczność wrócono godność poselską. Ale p. Pliszka, choć załatwiał przyjacielom akta po zniżonej opłacie, choć zajmował kancelaryę Nr. 1, nie miał dostatecznego miru, aby pobić tak silnych współzawodników.

W tem zawikłaniu nie było pozornie innego wyjścia dla Budzisa, jak dążyć do funkcji poselskiej dla siebie samego. W ostatnich więc dniach przed wyborami nie tylko pozwalał agitować za sobą Pawłowskiemu z Gawłowskim i ich dość licznej koteryi, ale dawał nadzieje swym poplecznikom, że przyjmie mandat. Pobłażliwie też spoglądał na akcyę przeciwko Węzłowskiemu, która wy-

łaziła z ziemi, posiana czyjąś przezorną ręką. Nagle w opinii prowincjonalnej, a nawet tu i ówdzie w druku rozchodzić się zaczęły o Węzłowskim jakieś jadowite pobrzęki: to o braku rachunków z takich a takich sum dyskrecyonalnych, to o jego zbyt bliskich stosunkach z Prusami, to o przewrotności obyczajów. Nikt o nim nic podobnego nie słyszał dawniej — i teraz nie bardzo dawano wiarę pogłoskom; jednak codziennie kilku chwiejnych elektorów porzucało Węzłowskiego.

Pan Apolinary zbyt dużo miał już do czynienia z kolegą Feliksem, aby nie poznać tu jego stylu.

— Majstruj, dobrodzieju najosobliwszy — cieszył się w duchu Budzisz — sam nie wiesz dla kogo majstrujesz.

Okazało się z różnych prób i wieców przedwyborczych, że Apolinary Budzisz stał się u mety jednym z faworytów i tyle miał za sobą głosów, że mógł nie na żarty zostać posłem, a w każdym razie ważyć się będzie wybór między nim, Kotulskim i Węzłowskim.

Wtedy, przed samym obrzędem wyborów, wystąpił Budzisz z mową, godną Rzymianina.

Oświadczył zebranym, że nie mogąc przyjąć funkcji poselskiej dla ważnych względów osobistych i publicznych, wzruszoną niesie podziękę obywatelom za doznane w dniach ostatnich dowody ich zaszczytnego zaufania, a zarazem ośmiela

się wystosować do nich prośbę. Nie chodzi tak bardzo o osobę — prawil — bo wielu jest w tem zacnem gronie godnych wyboru — chodzi o tryumf idei. Zarówno miłość ojczyzny, jak praktyczne rozejście się w sytuacji przedwyborczej skłaniają go do prośby, aby ci łaskawcy, którzy zaszczytili go swemi próbnemi votami, przenieśli obecnie kreski ostateczne na jedyne go człowieka odpowiadającego wszystkim wymaganiom, wszystkim nadziejom ojczyzny — na naszego zasłużonego, dzielne go reagenta Pliszkę.

Tu, w przystępie natchnionej fakundy, uczynił z Pliszki orła, utożsamił go niemal z herbowym ptakiem naszych sztandarów. W zakończeniu zaś wyraził nadzieję, że kolega Kotulski, ożywiony tą samą bezinteresownością, zechce również cofnąć swą kandydaturę na korzyść reagenta Pliszki.

Feliks Kotulski przymknął oczy i dość długo strzymywał w sobie tak zwykle płynną wymowę. Nareszcie odezwał się, że zgodnie ze zdaniem kolegi Budzisz »sprawa jest mu celem jedynym«, z czego choć nie wywiódł konieczności rezygnowania, musiał jednak, dla proporcji i dla związku z mową poprzednika, pochwalić reagenta Pliszkę. Zniechęcił tem wielu ze swych stronników, zwłaszcza że twarz jego, już zwykle męczeńska, wyrażała w tej chwili pospolitą żółtaczkę.

Powstało zamieszanie w zgromadzeniu. Wielu szlachty braci, z Pliszką na czele, rzuciło się ku

Budziszowi, błagając go »w imieniu ojczyzny«, aby dał się wybrać, Budzisz zaś tem samem zakłębieniem przekonywał upatrzonego na posła rejenta. Tymczasem stronnicy Węzłowskiego w złowrogiem skupieniu oczekiwali swego tryumfu. Czem znowu strwożeni przeciwnicy Węzłowskiego, wobec chwiania się swoich dwóch kandydatów głównych, zestrzelili swe głosy na trzeciego aspiranta, w każdym razie przyzwoitego, posiadającego census, znajomość języka państwowego, no i przyszłość. Takim sposobem zadziwiona nieco Ojczyzna zyskała za przedstawiciela z pomienionego okręgu pana rejenta Pliszkę.

Podobnych zwycięstw po całym kraju było prawie tyle, ile okręgów. A że okręgów, jak wiadomo, liczba była ograniczona, wyliczyć łatwo, jaka część zasługi przypada na Apolinarego Budziszę, który własnoręcznie stworzył aż trzech posłów z różnych, że tak powiem, kruszców, ożywionych wszelako jednym duchem demokratycznym: Macieja Fizyka, rejenta Pliszkę i Antoniego hrabiego Kostkę!

Teraz dopiero, gdy pchnął ich na szerokie tory, zaczął im się ciekawie przyglądać i wróżyć z rozmaitych konstellacyi, co też ci przedstawiciele zdziałać będą w stanie.

— Udali mi się, czy się nie udali??... Dubium, dobrodziejmo mój. Przyszłości nie przeniknie nawet członek komitetu.

Ale terazniejszość jest tryumfem. Szumią świeże laury nad głowami wybrańców — tylko ręką sięgnąć, aby z nich upleść wieńce. Szumią laury, a w ich cieniu ucztuje naród, spełnia kielichy za pomyślność kampanii prawodawczej. Podniecony ucztą pan Apolinary wypowiedział tak daleko sięgające poglądy o wszechwładztwie konstytuancy, o kilkunastu autonomiach, o prawie ludu do podziału ziemi, że go ktoś na miejscu nazwał polskim Robespierrem. Przydomek ten dano mu w toaście na cześć jego wzniesionym — i Budzisz przyjął go bez wahania.

Dopiero nazajutrz, gdy się obudził z ciężką głową i wyschlą krtanią, przeglądał krytycznie treść swych przemówień na wczorajszej uczcie:

— Powiedziałem za dużo... Oni tam już pojechali, a jeżeli słowa moje wezmą *praeter propter* za instrukcję poselską?... stanowczo za dużo powiedziałem. Polskim Robespierrem mogę sobie być, ale głów ścinać nie myślę, ani szlachcie majątków odbierać. Przecie jednak za rewolucyi można się w mowie posunąć dalej, niż za zwykłych czasów. Nie zaszkodzi, byle w dobrym kierunku.

Tak się rozgrzeszał, a tymczasem, nie mając już nic do roboty w Warszawie po zebraniu i ustaleniu laurów, wyruszył na wieś.

Droga była po europejsku nie daleka, po polsku zaś mówiąc — opętana. Koleją dojeżdżało się do stacyi w parę godzin, ale od stacyi było

jeszcze ośm mil tak zwanym traktem, który z początku był niby szosą, czyli szeregiem wybojów natury twardszej, przechodził przez osady źle ubitym brukiem, wkrótce jednak porzucał pretensje do miana drogi bitej i ciągnął się pasem żółtym lub ciemnym, suchym lub mokrym, stosownie do natury gruntu i pory roku. Na punkcie znaczącym połowę tej wyprawy stał wielki, starożytny, żółty zajazd pocztowy, w którym zmieniano konie, lub dawano im wytchnąć.

Pan Apolinary dotarł właśnie do zajazdu. Czekając, że konie popaszą i usiadł na ławie pod karczmą. Od żyta, już falującego wysoką zielenią, od łąk młodych i kwiecistych wiało tak świeżo, że ginęła w tym przemożnym zapachu wiosny stęchła woń starej karczmy. Do niskiego, wystającego okapu dachu dolatywały jaskółki, ubierając go w czarne, jęłowabne, trzepoczące się w wietrze kokardki. Po szarzyźnie ziemi, ozłoconej gdzieś rozsypaną słomą, pomykały frasośliwe i łakome kurczaki, kradnąc w szybkich pokłonkach upatrzone ziarna. Lipa, której pień znękany długą służbą publiczną miał pozór umierający, strzelała jednak paru bukietami nowej zieleni ponad dach zajazdu. Z ciemnej otchłani stajni ukazały się za tęgim parobczakiem dwa łby końskie wyciągnięte, mrużące czarne powieki pod nagłym blaskiem, i dwa gniade, spocone kadłuby, niechętnie prze stępujące wysoki próg stajni.

Malowałby to z umiłowaniem Chełmoński lub Witkiewicz i zakląłby w ten obrazek ducha polskiej drogi wiejskiej, pełnej fatygi i przypadku, stworzonej dla malarzy, lecz nie dla podróżnych. Ale w obrazku umieściłby malarz pana Apolinarego jako szczegół współrzędny z kurami, z końmi, a w najlepszym razie ze spracowaną pro publico lipą. My zaś, którzy go znamy, my, którzy wiemy na jakie zasłużył sobie wyróżnienie, widzimy jego tylko jednego na tem tle pospolitem, widzimy Cyncynata, który porzucił Forum i powraca do ojczystego sprzężaju.

— A pan, panie Piasecki, głosowałeś? — pyta Budzisz stojącego przed nim pocztmistrza.

— Ledwie tam byłem prawyborcą, panie deputacie. Człowiek dziś chodzi z miejsca na miejsce za kawałkiem chleba, — nie to, co dawniej.

— Miałeś pan dawniej posiadłość?

— Mój dziad miał pół powiatu w Kalskiem. Ale co tam i wspominać! Niepowetowana strata, że pan deputat nie zechciał zostać posłem naszym.

— Pojechali inni, którzy potrafią za naszą sprawą się ująć.

— Już jabym tam wolał, żeby pan deputat. Naprzykład co do sprawy nadziału ziemi bezrolnym.

— To pan jesteś za nadziałem? — zapytał Budzisz ciekawie potomka wielkich posesyonatów w Kalskiem.

— Sądzę, że i pan deputat? Sam przecie sły-
szałem na zebraniu w Ryczywole — a i pan Ga-
włowski, który przejeżdżał dzisiaj rano, powtarzał
mi świetną mowę na zebraniu pożegnalmem.

— Do licha! — pomyślał pan Apolinary —
gdy człowiek jest na świeczniku, nie może pofol-
gować sobie w wymowie, żeby zaraz słów nie
pochwycono i nie wyprowadzono z nich konse-
kwencyi.

— Widzisz pan, panie Piasecki, kwestya na-
działu — to dalsza przyszłość. Pierwsza nasza
autonomia. Gdy będziemy u siebie gospodarzami,
weźmiemy to pod rozagę.

W tej chwili zajęchała przed dom fura chłop-
ska porządna i wylał z niej znajomy gospodarz
z Ziembowa, Antoni Sikora.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków. Jak się macie, sąsiedzie?

— Ano, panie dziedzicu, jeszcze się ta mamy.
Ale niech gront poczęliby rozdawać nie dworski,
nie kazonny, jeno gospodarski na te wszystkie
chudziaki, co go nie mają, toby człek z torbami
poszedł. My ta swego bez sprzeczki nie puścimy.

— Nie bójcie się, Sikora, to nie na dzisiaj
jeszcze.

— Czy dzisiaj, czy jutro, panie dziedzicu, my,
gospodarze, nie damy. I naszemu posłowi Fیزی-
kowi my tak od rady starszych przykazali. Ma
się ostać po staremu.

— Naradzimy się nad tem, gdy będziemy sejmowali u siebie — rzekł Budzisz.

— A niech ta sejm będzie — na to jesteście zgodni — ale gruntu nie puścimy.

Gdy się chłop trochę oddalił, pan Apolinary zwrócił się cicho do Piaseckiego:

— Widzisz pan — sami nie chcą.

— Wiadomo, panie deputacie: kto ma, ten oddać nie chce, ale kto nie ma, tenby wziął.

Na ten pewnik psychologiczno-agrarny, rażący pospolitością w czasach rewolucyjnych, odpowiedział pan Apolinary tajemniczym uśmiechem i kazał konie zakładać.

— A nie doczeka się pan deputat pana Rokszyckiego z Ziemkowa? Jego konie rozstawne od rana u mnie czekają. Tylko go patrzeć.

— Jedzie pan Jan? A cóż mi pan odrazu nie mówiłeś?

Pierwszym odruchem Budzisz był radość, że ujrzy przyjaciela, którego od paru miesięcy nie spotkał; drugim — że czuł się winnym wobec niego, ale to nie wiedzieć z jakiego powodu? Działał w ostatnich czasach pożytecznie, nawet chlubnie. Jednak przewidywane zetknięcie się z Janem budziło w Apolinarym jakąś pół-świadomość, że można działać jeszcze inaczej: mniej chlubnie, a trochę pożyteczniej. I nuż pan Jan, który wie zawsze wszystko pierwszy o sprawach publicznych, jak Żyd o giełdzie, dowiedział się już o świeżych

posunięciach Apolinarego na szachownicy politycznej, na przykład o jego mowach agrarnych...?

Trudno. Pan Apolinary nie takim już niebezpieczeństwom zaglądał w oczy, jak spotkanie z niezadowolonym przyjacielem. Postanowił poczekać tutaj na niego, usiadł znowu przed zajądem i rozwinął gazetę.

Tu się obrazek psuje, ze stanowiska malarzkiego. Sam środek zajęła wielka plama szara z kilku tłustymi liniami czarnymi, jest to bowiem, jak na złość, dodatek nadzwyczajny. Do wsi polskiej dodatek nadzwyczajny! Ginie pod nim postać naszego Cyncynata, mąci się harmonia barw drzemiących w łagodnej poźłocie majowego południa. Pierzchły jaskółki z pod okapu, kury zgorszonym, okrąglem okiem spozierają na szeleszczącą płachtę, bocząc się od niej trawersem swych naprężonych do ucieczki łapek.

Oto i tuman kurzu od strony pożądanej. He, he — wali ta bryczka wierzchem wybojów, jak po szynach... Co to? Trakeny z Ziembowa?... Nie — para od czwórki rozjazdowej z lica. Niema wątpliwości: dojeżdża pan Jan.

— Przecie że choć na rozstajnych drogach, Janie dobrodzieju!

— Á tuś mi, Apolinary!

Uścisnęli się serdecznie, po dawnemu, ale potem przydługo oglądali się nawzajem.

— Cóż tedy, panie Janie? Do Warszawy jedziesz? Tam już pusto.

— Pusto? A nasze seminaryum? A sprawa robotnicza? To wszystko chyba pozostało na miejscu...

— Racya, racya. Tylko już ja muszę odsapnąć na wsi.

— Należy ci się to, Apolinary.

Rokszycki mówił poważnie, pogodnie, bez cienia ironii.

— Ki dyabeł? — myślał Apolinary — kontent ze mnie, czy nie kontent?

Czasu na wyczerpującą rozmowę było skąpo, bo Rokszycki śpieszył na ostatni pociąg do Warszawy, więc Budzisz zagadnął obcesowo, chcąc ogarnąć jak najszersze horyzonty:

— Co sądzisz o przyszłości, Janie dobrodzieju?

— A wiesz, mój serdeczny, że nie zdążyłbym... Ale tymczasem wszystko w porządku. Sprawiliście się gracko przy wyborach.

— Co? — zawołał Apolinary uradowany — uważałeś, jak mi tu Kotulski młyn pod nosem kupił? No — i już po wyborach. Ja nie zostałem posłem, bo nie chciałem. Ale on chciał serdecznie. I masz — posłem jest Pliszka, a Kotulski niech sobie miele na swym młynie!

Pan Apolinary rozśmiał się prawie szatańsko. Uśmiechnął się i pan Jan.

— Nie o tym wypadku chciałem mówić. Tu byłem za Węzłowskim, za którym ty oczywiście nie mogłeś... Ale naogół wybory dały wynik względnie dobry. Zajęliście stanowisko, które zając należało, bo w razie waszej niesforności lub opieszałości mogliby je zająć inni, wcale niepożądani. Dowiedliście siły i jedynej w kraju skutecznej organizacji. To dobrze wróży i o przyszłości.

Budzisz rozpromienił się: pan Jan niedwuznacznie go chwali. Nic także nie wie o świeżych mowach agrarnych...

— Wiesz co, Janie — musimy zastanowić się pospołu nad przyszłością. Siądziemy tu pod lipą. Piasecki ma jeden niezgorszy zieleniaczek...

— A nie, Apolinary. Jutro rano mam posiedzenie szkolne. Na pociąg się nie spóźnię.

— Ej że!

— Stanowczo nie. Powracam za cztery dni do Ziembowa — przyjadę do ciebie.

Apolinary wiedział, że gdy Jan się uprze, niema rady. Bryczki stały już zresztą gotowe do podróży, zwrócone w przeciwnych kierunkach.

Droga przed zajazdem była szeroka, jak Bóg dał. Woźnice, miarkując, że panom ciężko rozstać się z sobą, bo nie przestają gadać, a zarazem dla rozstrzygnięcia wątpliwości, który pierwszy ma zajechać, zajechali razem, ustawiając tak bryczki, że Jan z Apolinarym, gdy wsiedli, znaleźli się w odległości wyciągniętego ramienia.

Obie bryczki były jednego typu i rozmiarów używanych w okolicy. Obie pary koni musiały mieć chyba jednego protoplastę, tak były pokrewne: konie Rokszyckiego trochę rańniejsze, ale i para Budzisz nadržbiała fantazyą, może przez emulacyę. A gdy zasiedli na swych wózkach dwaj sąsiedzi, nabrali uderzającego podobieństwa. Obaj nosili płóciennę kitle od kurzu i czapki praktyczne osobliwego modelu, który pierwszy Jan zaszczerpił w okolicy, od czego nawet zwały się pospolicie »Janówkami«. Obaj mieli tę samą krew, te same zwyczaje i potrzeby i, mimo różnice indywidualne, lubili się szczerze nawzajem. Tylko że rozjeżdżali się dzisiaj w kierunkach odwrotnych.

Kończyli rozmowę:

— Dziwi mnie tylko — mówił Jan — że głównych sił waszych nie posłaliście do Petersburga Dla czego naprzykład Mochnaczyński...

— Ach, Mochnaczyński jest nam tutaj do wszystkiego potrzebny — przerwał Budzisz z głębokim przekonaniem.

— To wiem. Ale i tam przecie głów potrzeba.

— A czy nie można stąd?...

Budzisz powiedział to filuternie, ręce rozpostart, a potem je zwolna do siebie przyciągał, jakby trzymając niemi magnetycznie dwie bryczki rwące się do jazdy.

Rokszycki rozśmiał się.

— No można... zapewne... ale przecie łatwiej

kierować będąc posłem, niż nie będąc. Do widzenia, mój serdeczny.

— Do widzenia, Janie drogi. Zobaczysz: krew z krwi — bratnia solidarność — cel jasny. Przyszłość nasza, dobrodziejmo mój!

— Daj Boże! — odrzekł Jan — nie o moją nieomylność mi chodzi, kochany panie Apolinary!

I rozjechały się dwie bryczki bliźnie, dwie pary koni pokrewne, dwa kitle białe, dwaj synowie jednej ziemi. Budzisz jechał, by kierować wielką polityką, której nici trzymał związane w ręku; Rokszycki dążył do skromniejszych wyników pracy wewnętrznej, do swej umiłowanej roboty przy oświacie ludu po wsiach i miastach.

DZIEŃ JEDENASTY.

Już dawno przypiekał czerwiec, piękny miesiąc dojrzewania. Spotykamy znowu pana Apolinarego na ganku umajonym glicynami — i druga wiosna pachnie, brzęczy, przelewa się przez powietrze, druga wiosna roczna i polityczna. Trochę mi wstyd przypominać pierwszy obraz mej kroniki*), tak różny ten rok nowy od poprzedniego, tak wyolbrzymiał nasz bohater. Grzesznie powątpiewałem o nim, gdym go tu ujrzał po raz pierwszy, powołanego na przewodnie w kraju stowiska. Teraz jego dzień odwetu, bo dowiódł nie broszurą, lecz szeregiem czynów, że zamiary, które przed rokiem wyglądały na nieprawdopodobne: ogarnięcie kraju całego, przeciwdziałanie siłom wstęcznym, ujęcie naczelnego kierunku polityki — wykonał pospołu z przyjaciółmi. Tylko jeszcze reform prawodawczo zagwarantowanych niema,

*) Dni polityczne. Serya I. Narodziny działacza.

ale już teraz spodziewać się ich nietylko można, lecz należy.

Czy pan Apolinary przez ten rok postarzał?... Oczy trochę zapadły, lecz wyraz ich przez to stał się silniejszym. Schudł znacznie, zato ruchy nabrały nerwowej stanowczości. Gazetę przegląda, jak gdyby ją sam napisał, a czynił tylko autorską rewizję. Nie drzemie po obiedzie; jeżeli zamyka oczy, to myśli. Wciąż myśli i nie błąka się już, obijając sobie głowę o zagadki, gubiąc się w przypuszczeniach i konjunkturach. Zna wszystkie przesłanki, wniosek jest niemal matematyczny. Z konstytucyi i przyjaźni z »kadetami« cóż się urodzić dla nas może, jeżeli nie autonomia? Wprawdzie przyszłość ma swe niespodzianki, wprawdzie dużo tam uprzedzeń zwalczyć i mnóstwo sprzecznych interesów pogodzić trzeba. Właśnie w tem sztuka parlamentarna. Nasi to potrafią, ho, ho!

— Czy potrafią?

Było to istotnie bardzo ciekawem zagadnieniem, i nietylko dla pana Apolinarego. Apolinary zaś miał nadto emocyę osobistą, jak mu się tam popiszą jego najwłaśniejsi elekcji: Fizyk, Pliszka i Kostka.

Działania Budzisa w przeciągu tego miesiąca nie ograniczyły się do prenumeraty gazet. Wyjeżdżał parę razy do Warszawy dla najwyższych obrad w komitecie, odbył parę konferencyi na

wsz z panem Janem i nawiązał nawet osobiste stosunki z Petersburgiem.

Gazety przychodziły regularnie, komitet działał jak ministeryum, pan Jan był zawsze ten sam: roboczy, przyjazny, a nawet teraz zgodniejszy. Tylko nie udały się Budziszowi jego osobiste stosunki z Petersburgiem.

Napisał listy do trzech członków Koła, którzy mu niejako zawdzięczali swe mandaty. — Pierwszy odpisał Pliszka, nie nasycił jednak szerszych pragnień pana Apolinarego. List był długi, kaligraficznie wybitny, ale zawierał tylko rzeczy znane już dokładnie z gazet. Poszedł do archiwów politycznych Budzisa.

Kostka nie odpisał wcale. Czy niedokładność poczty, czy nawał pracy parlamentarnej? Pan Apolinary zamiast pociechy miał z tego powodu niesmak polityczny.

Najlepiej jeszcze popisał się brat dobrodziej od pługa, poseł Fizyk, gdyż do krótkiego listu dołączył fotografię sali obrad w pałacu Tauryckim. Usłużny fotograf umieścił na pierwszym planie malowniczą sukmanę Fizyka, a nieopodal zamysłone głowy Kostki i Pliszki, oparte o autentyczne drzewo ław poselskich.

Odkąd otrzymał ten obrazek, Budzisz polubił go, stawiał sobie przed oczyma, przenosił z biurka na ganek, na miejsca pracy i rozmyślał, a nawet czasem z nim rozmawiał:

— Przemówcie też kiedy, postowie dobrodzieje..

Ale waliły gromy deklaracyi, huczały groźne głosy trybunów, trząsał się stary gmach bizantyjski i wyła szeroka ziemia od pożądań nowych, a właśni elekci Budziszka przezornie milczeli.

Gdy zformułowano w Petersburgu grzmiące hasło: ziemia dla wszystkich! a Polacy zajęli wobec niego stanowisko przychylnie, Budziszka ogarnęły wyrzuty sumienia:

— Źle mnie zrozumiano w Ryczywole i gdzieindziej... Później tam jakieś obszary nieużyteczne, naprzykład rządowe, rozkolonizować — no, można. Ale podkopywać prawo własności — to nie obywatelska robota! — Szkoda wogóle, żem gadał o sprawie agrarnej.

Pocieszało Budziszka jedno. Ogromne słowa wybuchały ogniście krwawymi szmermelami, ale gasły w powietrzu, lub spadały na ziemię zabezpieczoną od pożarów przez rozległe, starożytne bagna.

— Tego nie będzie — to się rozlezie, bo niepodobieństwo. Ale nuż nic nie będzie z całego krzyku?

Z rosnącą gorączką szukał w stosach nadchodzących dzienników postępów sprawy naszej, a zwłaszcza jakiegokolwiek odezwy swoich własnych postów.

Raz tylko znalazł w »korespondencyi« — nie w depeszy lub artykule wstępnym — że postawa

i sukmana Fizyka zyskują mu powszechne uznanie; innym znów razem, że Pliszka wybrany został na zastępcę do podkomisji porządkowej.

— Porządkowej... phii -- żeby autonomicznej!

Na wiadomości zaś o Koscie i od Kostki ciągle jeszcze czekał pan Apolinary.

Co gorsza, że zjeżdżano się do niego z okolicy po informacje i tłumaczenia zawikłanego biegu historii społecznej, która rwała się raz gwałtownie w kierunkach niebezpiecznych, to znowu wlokła się zbyt opieszale w kierunku pożądanym. Pan Apolinary był prawie pociągany do odpowiedzialności za wypadki, uśmierzał jak mógł napaśtniczą ciekawość Pawłowskiego i Gawłowskiego, a gdy ci wyjechali, zjawiali się inni, najczęściej proboszcz, a już oczywiście codziennie żona i rządcą.

Z początku pan Apolinary dawał gościom swym i domownikom istną mannę polityczną. To jest tak, bo tak być musi — to było przewidziane. Teraz tu nasi skorzystają z sojuszu, tu uczynią się niezbędnymi, tam nastraszą — i tryumf, dobrodziejstwo moje! Ale gdy o tryumfie spóźniała się uporczywie wiadomość, manna Apolinarego stawała się kwaśniejszą i mniej pożywną. Mógłby się przetrząsnąć do krytyki Dumy, ale jak tu krytykować zebranie, oddawna ogłoszone jako zbawcze? Ta daleka zawierucha deklaracji, interpelacji i deklamacji, w której ledwie dosłyszeć było można bzykanie »sprawy naszej«, zaczęła nareszcie

samemu Budziszowi niepokoić. Coraz trudniej mu przychodziło z wokalno-papierowej konstytuenty rosyjskiej wyrabiać mannę odżywczą dla rodaków. Doszło do tego, że pan Apolinary w godzinach zwykłych odwiedzin, przed wieczorem, znikał ze dworu, pozostawiając gości staraniom pani Tekli. Sam zaś, unosił skołataną głowę od gwary polityki do cichych, doświadczonych ukojeń przyrody.

Był za oborami, na miejscu dawnego, zarzucanego okólnika, ogród owocowo-warzywny, szczególnie oparkaniony, prawdziwy skarbiec botaniczno-kulinarny, rozrośnięty na odwiecznych, wskroś ziemię sycących nawozach. W tym ogrodzie zwanym »letnią spiżarnią«, lubił oddawna pan Apolinary spędzać godzinę, gdy się już upał ostudzał, przeglądać nowe codziennie zjawiska wybujałych gąszczów, wdzierać się w ich tajemnice, macać dojrzewające owoce, oddychać tłustą wonią warzyw i lżejszymi zapachami kwiatów. Lubiał głównie jedną ścieżkę »pomidorową«, gdzie doglądał dojrzewania soczystych, purpurowych owoców, cennych do przekąski z cebulką, do sosów, i w postaci faszerowanej, jako jarzyna.

Kroczy pan Apolinary między podwójnym szpalerem, zwieszającym pękate, zielone jeszcze grona pomidorów, a niżej kłócą się o miejsce przy ścieżce pachnące groszki, lewkonie, rzedy, bratki — pospółstwo ogrodowe; górują nad niem misternie ziewające »lwie paszcze« i cieniutko zawieszane

fuksye. Rąbkem przy samej drodze ogniste kielichy nasturcyi nęcą oko i podniebienie tych, którzy znają ich smak pieprzny i rzeźwiący.

Od pampasów strączkowych bobu, grochów rozlicznych i fasoli, pnących się aż do koron drzew owocowych zrzadka w tym stepie zanurzonych, idzie ledwo dosłyszalny szmer, czy to wietrzyku? — ale wietrzyk śpi; czy to owadów o muzykalnych skrzydełkach? — ale ich niema znowu dosyć na orkiestrę. Zdaje się, że słyhać jak step strączkowy rośnie.

Pan Apolinary słucha, wchłania zapachy i obietnice sadu, dającego rozkosz wzrostu i pożytek owocu na każdy niemal dzień roku. Oto już dzisiaj zarumieniło słońce najlepsze nasze czereśnie; oto w inspektach, przez spalone szyby, widać węzowe sploty tłustych, szorstkich liści i młody ogórek sam wyrzwał poza ramę skrzyni na sąsiedni zagon, pełen dziwów. Odurzony pachnącym czadem nurza się nasz działacz w dobrobycie i zapomnieniu o ciężkich sprawach publicznych. Przykucnął przy inspektach, urwał świeży ogórek, rozgarnął liście, wytropił drugi, trzeci i podebrał najwybitniejsze na dzisiejszą mizeryę.

— Masz znowu jakieś lichol...

Posłyszał gwar głosów za sobą i, zanim pozeuszlachetnił, ujrzał żonę swą w towarzystwie Pawłowskiego, Gawłowskiego i proboszcza. Pani Te-

kła nigdyby nie wydała kryjówki męża, gdyby nie powód nadzwyczajny.

— Duma rozwiązana! — krzyczał z daleka Gawłowski, wymachując gazetą.

Przed pocztą wieczorną, jakimś cudem, dostał już dodatek nadzwyczajny zwiastujący katastrofę.

Zadrżał Apolinary, jednak nie upuścił z rąk ogórków. Złożył je najprzód w ręce pani Tekli, a potem wziął gazetę i przeczytał.

— Mówiłem: kwestya agrarna rozsadzi Dumę.

Pawłowski mu przypomniał, że jednak na wyborach w Ryczywole i gdzieindziej...

— Ależ nie w tych rozmiarach, dobrodzieju mój! Nie na dzisiaj! Najprzód reformy autonomiczne.

— Cóż teraz będzie, panie deputacie? Jakiż dla nas pożytek z tej Dumy?

— Będzie druga.

Oprócz Budzisa wszyscy zwiesili głowę. Zakończony okres pierwszej walki parlamentarnej rzucał wątpliwe promienie na przyszłe kampanie. Tylko pan Apolinary nie upadł na duchu. Zaprowadziwszy gości do domu, wynalazł słowa pociechy. Prawił o pożytecznych sojuszach zawartych przez nas w pierwszej Dumie, o tem, jak daliśmy się poznać...

Wieczorem kółko ziemian grzebało w stosach dzienników, przyniesionych przez pocztę, które powtarzały na różne tony fakt i epizody rozwiązania Dumy. Nagle Gawłowski, istny ogar na no-

winy, rozwinąwszy ostatni numer przyjaznej gazety, zawołał:

— A to co?! Mowa Antoniego hrabiego Kostki! Przeczytano ją na głos.

— Wcale, wcale nieźła. Kiedyż on ją powiedział?

Szukano niedługo; dopisek zaznaczał, że tej pierwszej mowy swojej nie zdążył hrabia Kostka wygłosić, ale dał ją do druku zaraz po zamknięciu Dumy.

— Oryginalne! — rzekł Pawłowski.

— Nie, to mu się nie udało — zawyrokował Gawłowski — lepiejby ją schował do kieszeni.

— No, »mowa dziewicza« — odezwał się proboszcz pojednawczo.

Zaległo na chwilę milczenie — pobieżne porównanie wyników z nadziejami.

— A mówiłem... — rzekł Gawłowski, zerkając ku Budziszowi.

— Oj, i ja mówiłem — powtórzył Pawłowski.

Oczy sąsiadów zwróciły się na pana Apolinarego, który, wątpliwościami ogarnięty, już niemal sądził, że będzie ukamienowany, gdy złęczone myśli obecnych streścił ksiądz proboszcz, przystępując do Budzisa owacyjnie, z rozkrzyżowanymi ramionami:

— Bo pana tam było potrzeba. W tem cała rzecz.

Działacz odrazu odzyskał otuchę i marszcząc brwi myślące, wzrok utopił w przyszłości.

